ALFRED ADLER

SENS ŻYCIA

SENS ŻYCIA

ALFRED ADLER

SENS ŻYCIA

PRZEŁOŻYŁA

MARIA KRECZOWSKA

KRAKÓW
GEBETHNER I WOLFF

DRUKARNIA POSPIESZNA W KRAKOWIE.

„Człowiek wie znacznie więcej, niż rozumie". *(Adler).*

PRZEDMOWA.

Jako doradca lekarski w przypadkach zachorzeń duchowych, jako psycholog i wychowawca w szkole i w domach prywatnych, miałem zawsze w ciągu swojego życia sposobność przeglądania ogromnego materiału ludzkiego. Postawiłem sobie surowe zadanie nie wypowiadania żadnych poglądów, których nie potrafiłbym udowodnić i uzasadnić na podstawie własnego doświadczenia. Nic dziwnego, że z tego powodu popadałem w konflikt z góry przyjętymi poglądami drugich, którzy często mogli znacznie mniej intensywnie obserwować ludzkie losy. Starałem się też rozważać dokładnie rzeczowe argumenty drugich, co przychodziło mi z tym większą łatwością, że nie czuję się związanym żadną surową regułą ni uprzedzeniem, hołdując raczej zasadzie: wszystko może też być inaczej. Jednorazowość jednostki nie da się ująć w krótką formułę, a reguły ogólne, jak je też stawia stworzona przeze mnie psychologia indywidualna, nie powinny być niczym więcej jak tylko środkami pomocniczymi, mającymi na razie oświetlać pole widzenia, w obrębie którego można poszczególną jednostkę znaleźć — lub nie znaleźć. Ta ocena reguł, silniejsze podkreślanie przystosowalności i wczuwania się w odcienie, wzmacniały raz po raz

moje przekonanie o swobodnej, twórczej sile jednostki w pierwszym okresie dziecięctwa i jej skrępowanej sile w późniejszym życiu, kiedy dziecko nadało już swemu życiu stałe prawo ruchu. Z tego punktu widzenia, pozostawiającego dziecku wolną drogę w jego dążeniu ku doskonałości, pełni, wyższości lub ewolucji, można wpływ zdolności wrodzonych, czy to w ogóle, czy w ludzkim zmodyfikowaniu, podobnie jak wpływy otoczenia i wychowania uważać za kamienie budowlane, z których dziecko igrając, buduje swój styl życiowy.

I narzuciło mi się jeszcze dalsze przekonanie. Budowa dziecięcego stylu życia mogłaby bez podlegania nawrotom ostać się w życiu tylko wtedy, gdyby została wzniesiona należycie *sub specie aeternitatis*. Raz po raz dziecko napotyka rozmaite zadania, których ani przy pomocy wyuczonych odruchów, (odruchów uwarunkowanych) ani też wrodzonych zdolności duchowych rozwiązać nie można. Byłoby największym hazardem, gdybyśmy dziecko z wyuczonymi odruchami lub też uposażone we wrodzone zdolności wystawili na próby ze strony świata, stawiającego coraz inne zagadnienia. Największe zadanie pozostałoby zawsze dla nigdy nie spoczywającego umysłu twórczego, który co prawda pozostaje wciśnięty na tor dziecięcego stylu życia. Tam też dokonywa się wszystko, cokolwiek posiada nazwę w rozmaitych szkołach psychologicznych: instynkty, popędy, uczucie, myślenie, działanie, nastawienie do chęci i niechęci, a na koniec miłość własna i poczucie spólnoty. Styl życiowy rozporządza wszystkimi formami wyrazu, całość — częściami. Jeśli istnieje błąd, to tkwi on w prawie ruchu, w końcowym celu stylu życiowego, a nie w jego wyrazie częściowym.

To zrozumienie nauczyło mnie czegoś trzeciego: wszelka pozorna przyczynowość w życiu duchowym wypływa ze skłonności wielu psychologów do przedsta-

wiania swych dogmatów w przebraniu mechanistycznym lub fizykalnym. Do przeprowadzenia porównania posługują się to pompą, poruszającą się w górę i na dół, to magnesem o biegunowych końcach, to zwierzęciem, ciężko walczącym w celu zaspokojenia swych elementarnych potrzeb. Taki obraz ujawnia oczywiście niewiele z podstawowej różnolitości, jaką wykazuje duchowe życie człowieka. A odkąd nawet fizyka odjęła im grunt przyczynowości, by w przebiegu wydarzeń bronić statystycznego prawdopodobieństwa, odtąd nie należy już chyba także traktować poważnie ataków na psychologię indywidualną z powodu zaprzeczania przez nią przyczynowości w wydarzeniach duchowych. Także dla laika powinno stać się jasnym, że milionową różnolitość w dokonaniach chybionych można „zrozumieć" jako chybienie, ale nie można pojąć przyczynowo.

Jeśli więc słusznie opuszczamy grunt absolutnej pewności, na którym uwija się tylu psychologów, to pozostaje tylko jedna miara, którą możemy człowieka mierzyć: jego ruch wobec nieuniknionych zagadnień ludzkości. Każdy człowiek musi nieodwołalnie rozwiązać trzy zagadnienia; są nimi: nastawienie do współludzi, zawód, miłość. Wszystkie trzy, bezpośrednio z sobą złączone przez pierwsze, nie są zagadnieniami przypadkowymi, lecz nieuniknionymi. Wyrastają ze stosunku człowieka do społeczności ludzkiej, do czynników kosmicznych i do drugiej płci. Rozwiązanie ich stanowi o losie ludzkości i jej pomyślności. Człowiek jest częścią całości. Także jego wartość zależy od indywidualnego rozwiązania tych zagadnień. Zagadnienia te można sobie przedstawić jako zadanie matematyczne, które musi zostać rozwiązane. Im większy błąd, tym więcej powikłań grozi nosicielowi błędnego stylu życiowego; powikłania te zdają się tylko nie jawić do chwili, kiedy nośność jego

poczucia spólnoty zostanie poddana próbie. Czynnik egzogeniczny, bliskość zadania, wymagająca współpracy i współczłowieczeństwa, jest zawsze czynnikiem, wyzwalającym błędny objaw, trudność wychowawczą, newrozę i neuropsychozę, samobójstwo, zbrodnię, żądzę i perwersję seksualną.

Po zdemaskowaniu w ten sposób braku zdolności do spółżycia, narzuca się pytanie, nie czysto akademickie, lecz ważne dla leczenia: jak i kiedy został zatamowany wzrost poczucia spólnoty? W poszukiwaniu odpowiednich wydarzeń natrafia się na okres najwcześniejszego dziecięctwa i na sytuacje, które, jak wykazało doświadczenie, mogą spowodować przeszkodę w należytym rozwoju. Odpowiedź na to pytanie otrzymuje się jednak zawsze równocześnie z błędną odpowiedzią dziecka. I przy dokładniejszym wglądzie w ujawnione stosunki zrozumie się raz, że na uprawnione wkroczenie odpowiedziano błędnie, drugi raz, że na błędne wkroczenie odpowiedziano błędnie, trzeci raz — znacznie rzadziej — że na błędne wkroczenie odpowiedziano bezbłędnie; zrozumie się także, że w dalszym ciągu istniał trening w tym kierunku, zmierzającym zawsze ku przezwyciężeniu, a żadne przeciwne wrażenia nie wiodły do porzucenia raz obranej drogi. Wychowanie, jakkolwiek daleko wytknęlibyśmy jego granice, wymaga zatem, by nie tylko umożliwić oddziaływanie wpływów korzystnych, lecz także baczyć dokładnie, co z nich kształtuje twórcza siła dziecka, by następnie w razie błędnego kształtowania torować drogę poprawie. Tą lepszą drogą jest wśród wszelkich okoliczności spotęgowanie współpracy i zainteresowania dla drugich.

Jeśli dziecko znalazło swoje prawo ruchu, przy czym należy obserwować rytm, temperament, aktywność, a przede wszystkim stopień poczucia spólnoty, —

zjawiska, dające się często rozpoznać już w drugim, a z pewnością w piątym roku życia, to tym samym wszystkie jego inne uzdolnienia są w swojej właściwości związane z tym prawem ruchu. Głównym zadaniem tej książki ma być rozpatrzenie nawiązującej tu apercepcji: jak człowiek widzi siebie i świat zewnętrzny. Innymi słowy: jakie mniemanie zdobyło dziecko, a później człowiek dorosły, o sobie i o świecie. Tego mniemania nie można również poznać ze słów i myśli badanej jednostki. Wszyscy pozostają zbyt silnie w mocy prawa ruchu, które zmierza ku przezwyciężeniu, więc nawet w razie samopotępienia, jeszcze każe zerkać ku wyżynie. Ważniejszą jest ta okoliczność, że całość życia, nazwana przeze mnie konkretnie stylem życiowym, zostaje przez dziecko zbudowana w okresie, kiedy ono nie posiada jeszcze ani dostatecznego języka, ani dostatecznych pojęć. Jeśli w dalszym ciągu rozwija się według swojego zrozumienia, to wyrasta w ruchu nigdy nie ujętym w słowa, przeto niedosiężnym dla krytyki, a usuwającym się także spod krytyki doświadczenia. Nie można tu mówić o wyparciu nieświadomego, lecz raczej o niezrozumiałym, usuniętym spod zrozumienia. Człowiek mówi jednak do znawcy swoim stylem życiowym i swoim nastawieniem do kwestyj życiowych, których rozwiązanie wymaga poczucia wspólnoty.

A co się tyczy mniemania człowieka o sobie i o świecie zewnętrznym, to najlepiej można je poznać ze sensu, jaki dana jednostka znajduje w życiu i jaki nadaje swojemu własnemu życiu. Jasnym jest, że tu właśnie przebija wyraźnie ewentualny dysonans z idealnym poczuciem wspólnoty, współżyciem, współpracą, współczłowieczeństwem.

Teraz jesteśmy przygotowani do zrozumienia, jakie znaczenie posiada dowiedzenie się czegoś o sensie życia

i o tym, w czym rozmaici ludzie upatrują sens życia. Jeśli dla sensu życia pozostającego poza obrębem naszego doświadczenia istnieje bodaj częściowo nośne poznanie, to jasną jest rzeczą, że sens ten wykazuje niesłuszność tych, którzy pozostają do niego w rażącej sprzeczności.

Jak widać, autor jest dość skromny, by dążyć początkowo do częściowego powodzenia, które wydaje mu się dostatecznie uzasadnione przez jego doświadczenia. Zadanie to podejmuje tym chętniej, ponieważ błyska tu nadzieja, że przy poniekąd jasnym poznaniu sensu życia wyrośnie stąd nie tylko naukowy program dalszych badań w jego kierunku, lecz ponadto, że z wzrastającym poznaniem powiększy się liczba tych, których dzięki łepiej poznanemu sensowi życia, będzie można dla sensu tego pozyskać.

I.

MNIEMANIE O SOBIE I O ŚWIECIE.

Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że każdy człowiek zachowuje się w życiu tak, jak gdyby posiadał całkiem określone mniemanie o swojej sile i zdolnościach; i jak gdyby już na początku swego działania jasno sobie zdawał sprawę z trudności czy łatwości danego zadania; jednym słowem, że jego zachowanie się wypływa z jego mniemania. Jest to tym mniej zdumiewające dlatego, że za pomocą swoich zmysłów nie możemy ujmować faktów, lecz tylko subiektywny obraz, odbicie świata zewnętrznego. *„Omnia ad opinionem suspensa sunt"*. Przy badaniach psychologicznych nie powinno się zapominać o tych słowach Seneki. Nasze mniemanie o wielkich i ważnych faktach życia zależy od stylu naszego życia. Jedynie tam, gdzie bezpośrednio napotykamy fakty, zdradzające nam sprzeczność z naszym mniemaniem o nich, jesteśmy skłonni pod wpływem bezpośredniego doświadczenia skorygować w drobnych rozmiarach swój pogląd i pozwolić oddziaływać na nas prawu przyczynowości, nie zmieniając swego mniemania o życiu. W rzeczywistości działa na mnie tak samo gdy jadowity wąż zbliża się do mojej nogi, czy też gdy tylko sądzę, że jest to wąż jadowity. Rozpieszczone dziecko zachowuje się w swojej trwodze tak samo, gdy po odejściu matki boi się włamywaczy, czy też gdy

włamywacze istotnie są w mieszkaniu. Tak czy owak trwa przy swoim mniemaniu, że nie może pozostawać bez matki, pomimo że wykazano mu bezpodstawność jego przypuszczenia, wywołującego w nim uczucie trwogi. Człowiek cierpiący na lęk przestrzeni i unikający ulicy, gdyż ma uczucie i przekonanie, że ziemia chwieje mu się pod nogami, nie mógłby się zachowywać inaczej w pełni zdrowia, gdyby ziemia istotnie chwiała mu się pod nogami. Włamywacz unikający pożytecznej pracy, gdyż nie przygotowany do współpracy, mylnie uważa włamywanie za coś łatwiejszego, mógłby okazywać taką samą niechęć do pracy, gdyby naprawdę była trudniejsza od zbrodni. Samobójca uważa, że śmierć jest lepsza od życia, które wydaje mu się beznadziejne. Mógłby postąpić tak samo, gdyby życie było istotnie beznadziejne. Nałogowiec znajduje ulgę w swej truciźnie, którą ceni wyżej od uczciwego rozwiązania swoich kwestyj życiowych. Gdyby tak było naprawdę, mógłby postępować w podobny sposób. Homoseksualista uważa za niepociągające kobiety, których się boi, natomiast pociąga go mężczyzna, którego zdobycie wydaje mu się tryumfem. Oni wszyscy wychodzą z założenia, które, gdyby było słuszne, nadałoby też ich postępowaniu obiektywną słuszność.

Oto przykład: Trzydziestosześcioletni adwokat stracił wszelką chęć do swojego zawodu. Nie ma powodzenia i przypisuje to temu, że widocznie robi złe wrażenie na swoich nielicznych klientach. Zawsze mu też sprawiało trudność zbliżenie do drugich, a zwłaszcza przed dziewczętami zdejmował go zawsze wielki lęk. Małżeństwo, które zawarł bardzo ociągliwie, prawie że wbrew woli, zakończyło się po roku rozwodem. A teraz żyje w zupełnym odosobnieniu od świata u swych rodziców, którzy przeważnie muszą się o niego starać.

Jako jedynak był nieprawdopodobnie rozpieszczony

przez matkę. Ciągle się nim zajmowała. Zdołała przekonać dziecko i ojca, że jej syn będzie kiedyś niezwykle wybitnym człowiekiem, a chłopiec żył w tym samym przekonaniu, w czym utwierdzały go świetne wyniki w szkole. Dziecięcy samogwałt zdobył nad nim niesamowitą władzę, jak bywa u przeważnej liczby dzieci, nie umiejących sobie niczego odmówić. Zrobiło go to wcześnie przedmiotem pośmiewiska u dziewcząt w szkole, które odkryły jego tajemną wadę. Usunął się od nich całkowicie. W swoim odosobnieniu oddawał się najbardziej tryumfalnym fantazjom o miłości i małżeństwie, ale czuł się pociągnięty tylko do swojej matki, którą całkiem zawładnął i do której też przez długi czas zwracał także swoje pragnienia seksualne. Także z tego przykładu wynika jasno, że tak zwany kompleks Edypa nie jest „podstawą“, lecz złym sztucznym wytworem rozpieszczających matek, przejawiającym się wyraźniej w tych przypadkach, gdy chłopiec czy młodzieniec widzi się oszukanym przez dziewczęta, a rozwinął w sobie zbyt mało zainteresowania społecznego, by zbliżyć się do innych. Na krótki czas przed ukończeniem studiów, w obliczu kwestii stworzenia sobie samodzielnej egzystencji, zachorował na melancholię, więc znów rozpoczął odwrót. Jak wszystkie rozpieszczone dzieci był w dzieciństwie trwożny i usuwał się od obcych. Później od kolegów i koleżanek. A tak samo od swego zawodu, co trwa dotychczas w formie mało złagodzonej.

Poprzestaję na tym opisie i pomijam akordy akompaniamentu, „motywy“, wybiegi, inne objawy chorobowe, którymi zabezpieczał sobie swój „odwrót“. Jasne jest jedno: człowiek ten nie zmienił się przez całe życie. Chciał być zawsze pierwszym i zawsze się cofał, ilekroć powątpiewał o pomyślnym wyniku. Jego mniemanie o życiu da się (jak możemy odgadnąć, co jednak dla

niego pozostało ukryte) ująć w formułę: „Ponieważ świat nie przyznaje mi tryumfu, więc wycofuję się". Nie da się zaprzeczyć, że jako człowiek, upatrujący cel swych dążeń w tryumfie nad innymi, postępował w danym przypadku słusznie i inteligentnie. W przyjętym przez niego prawie ruchu nie ma „rozsądku", nie ma „common sense", lecz jest to, co nazwałem „inteligencją prywatną". Gdyby życie odmówiło komuś istotnie w s z e l k i e j wartości, nie mógłby postępować o wiele inaczej.

Podobnie, lecz nacechowany innymi przejawami, słabszą chęcią wyłączania, przedstawia się następujący przypadek: Człowiek dwudziestosześcioletni wychował się obok dwojga rodzeństwa, cieszących się większymi względami matki. Z wielką zazdrością przyglądał się wybitnemu działaniu starszego brata. W stosunku do matki zajął bardzo rychło stanowisko krytyczne i oparł się na ojcu — co bywa zawsze drugą fazą w życiu dziecka. Jego niechęć do matki przeniosła się niebawem na cały rodzaj żeński, a to wskutek nieznośnych przyzwyczajeń babki i piastunki. Jego ambicja nie poddania się kobiecie, lecz opanowania mężczyzn rosła olbrzymio. Na wszelkie możliwe sposoby starał się też obniżyć wyższość brata. Znienawidził wszelkie wyczyny fizyczne, ponieważ brat górował siłą fizyczną, w gimnastyce i na polowaniu. Wszystko to usunął ze sfery swojego działania, podobnie jak zamierzał też usunąć ze swego życia kobiety. Wszelka działalność pociągała go tylko wtedy, gdy szła u niego w parze z uczuciem tryumfu. Przez jakiś czas kochał i adorował pewną dziewczynę z odpowiedniej oddali. Dziewczynie tej nie podobała się widocznie ta powściągliwość, więc zdecydowała się wyjść za innego. Fakt, że brat jego żył w szczęśliwym małżeństwie, przejmował go lękiem, że on sam mógłby nie być tak szczęśliwym i w mniema-

niu świata, znów tak samo jak w dzieciństwie u matki, odegrać rolę gorszą. Oto przykład, ilustrujący dostatecznie, jak bardzo parło go do zaprzeczenia bratu wyższości: Razu pewnego brat przyniósł z polowania wspaniałą skórę lisa, z której był bardzo dumny. Nasz gagatek odciął potajemnie biały koniec ogona, by brata pozbawić tryumfu. Jego popęd płciowy przybrał kierunek, jaki mu pozostał po wyłączeniu kobiety, a wobec silniejszej aktywności w ramach zmniejszonych, stał się homoseksualistą. Jego mniemanie o sensie życia było łatwe do odcyfrowania: żyć, to znaczy zdobyć przewagę we wszystkim, co podejmuje. I starał się zdobyć tę przewagę przez wyłączenie działalności, po której nie przyrzekał sobie osiągnięć tryumfalnych. Że w obcowaniu homoseksualnym także partner przypisywał sobie tryumf z powodu swojej magicznej siły atrakcji — fakt ten był pierwszym krępującym, gorżkim poznaniem w toku naszych wyjaśniających rozmów.

Także w tym przypadku wolno nam twierdzić, że „prywatna inteligencja“ pozostała nienaruszona i że może większość ludzi weszłaby na tę samą drogę, gdyby odmowa ze strony dziewcząt była ogólną prawdą. W rzeczywistości napotyka się niezwyle często wielką skłonność do uogólniania, jako podstawowy błąd w budowie stylu życiowego.

„Plan życia“ i „mniemanie“ wzajemnie się dopełniają. Jedno i drugie ma swe korzenie w czasie, kiedy dziecko jest niezdolne do ujęcia w słowa i pojęcia swych wniosków, wypływających z jego przeżyć, ale kiedy już zaczyna z bezsłownych wniosków, z przeżyć często nieważkich lub z silnie uczuciowo zaakcentowanych bezsłownych doświadczeń, rozwijać ogólniejsze formy swego zachowania się. Te ogólne wnioski i odpowiednie skłonności, powstałe w czasie, kiedy dziecku brak jesz-

cze mowy i pojęć, działają, wprawdzie rozmaicie złagodzone, w późniejszym czasie, kiedy *common sense* wpływa mniej czy więcej korygująco i może człowieka powstrzymać od zbytniego opierania się na regułach, frazesach i zasadach. To uwolnienie się od nazbyt daleko idących prób opierania się i zabezpieczania, będących wyrazem ciężkiego poczucia niepewności i niepełnowartości, należy, jak to później zobaczymy, przypisać owemu *common sense,* spotęgowanemu przez poczucie spólnoty. Że ten sam błędny proces zdarza się też u zwierząt, można między innymi wykazać na następującym, często zaobserwowanym przypadku. Młodego psa nauczono chodzić na ulicy za swoim panem. Doprowadził już w tej sztuce dość daleko, gdy pewnego dnia wpadło mu do głowy skoczyć na jadący samochód. Został przez niego odrzucony, nie doznawszy szwanku. Było to niewątpliwie doświadczenie jednorazowe, na które nie mógł chyba mieć odpowiedzi wrodzonej. Nie można też mówić o *„conditioned reflex"*, gdy się dowiemy, że pies ten robił dalsze postępy w swej tresurze, a tylko nie można go było zmusić do pójścia na miejsce nieszczęśliwego przypadku. Bał się, nie ulicy i nie pojazdów, lecz miejsca owego wydarzenia i doszedł do ogólnego wniosku, jaki też nieraz wysnuwają ludzie: wina spada na miejsce, a nie na własną nieuwagę i niedoświadczenie. I z a w s z e na tym miejscu grozi niebezpieczeństwo. Zarówno ów pies jak niejeden człowiek, postępujący podobnie, trwają przy tym mniemaniu, osiągając przynajmniej to, że „na tym miejscu" nie mogą już doznać szwanku. Takie struktury napotyka się często przy neurozie, kiedy człowiek bojąc się grożącej mu klęski, utraty poczucia swojej osobowości, usiłuje zabezpieczyć się przez to, że objawy fizyczne lub duchowe, wywołane przez jego duchowe wzburzenie, przyjmuje i zużytkowuje wobec zagadnienia, które

uważa za rzekomo nierozwiązalne, by przy pomocy owych objawów móc rozpocząć odwrót.

Jest rzeczą jasną, że podlegamy wpływowi nie „faktów“, lecz naszego mniemania o nich. Nasza większa lub mniejsza pewność, że wytworzyliśmy sobie mniemania odpowiadające faktom, tkwi całkowicie, zwłaszcza u niedoświadczonych dzieci i ludzi pozbawionych poczucia wspólnoty, w stale niedostatecznym doświadczeniu i w sprzeczności naszego mniemania z wynikiem naszego działania, odpowiadającego naszemu mniemaniu. Że te kryteria są często niedostateczne, gdyż zakres naszego działania bywa ograniczony, a także dlatego, że drobniejsze niepowodzenia i sprzeczności można często bez trudu lub przy pomocy drugich mniej lub więcej usunąć — fakt ten da się łatwo stwierdzić i pomaga do trwałego zachowania raz powziętego planu życia. Dopiero większe niepowodzenia zmuszają do bystrzejszego zastanowienia, co jednak bywa owocne tylko u ludzi, współuczestniczących w rozwiązywaniu kwestyj życiowych, a wolnych od osobistych celów zdobycia wyższości.

Dochodzimy tedy do wniosku, że każdy ma swoje „mniemanie“ o sobie i zadaniach życiowych, swoją linię życiową i prawo ruchu, które trzymają go na uwięzi, jakkolwiek on sam tego nie rozumie i nie zdaje sobie sprawy, że tak jest. To prawo ruchu powstaje w ciasnym obrębie dziecięctwa i w mało ograniczonym wyborze rozwija się wśród swobodnego zużytkowania przyrodzonych sił i wrażeń świata zewnętrznego, — zużytkowania, nieograniczonego przez żadną akcję, dającą się sformułować matematycznie. Kierunek i celowe zużytkowanie „instynktów“, „popędów“, wrażeń świata zewnętrznego i wychowania są artystycznym dziełem dziecka, które można rozumieć nie w sensie „psychologii posiadania“, lecz „psychologii użytkowania“. Typy,

podobieństwa, zbliżona zgodność, są często tylko stanami, popieranymi przez ubóstwo naszej mowy, niezdolnej po prostu do wyrażenia zawsze istniejących odcieni, albo też wynikami statystycznego prawdopodobieństwa. Jej stwierdzenia nie powinny nigdy wyrodzić się w ustanowienie reguły; nie może ona nigdy ułatwić zrozumienia poszczególnego przypadku, lecz winna służyć jedynie do oświetlenia pola widzenia, w obrębie którego poszczególny wypadek musi być odkryty w swojej jednorazowości. Stwierdzenie na przykład zaostrzonego poczucia niepełnowartości nic jeszcze nie mówi o rodzaju i charakterystyce poszczególnego przypadku, podobnie nic nam nie mówi wskazanie na jakieś braki wychowania lub warunków społecznych. Przejawiają się one w nastawieniu jednostki do świata zewnętrznego zawsze w rozmaitej formie, która pod wpływem interferencji twórczej siły dziecka i jego stąd wypływającego „mniemania" jest za każdym razem indywidualnie inna.

Oto kilka ogólnych przykładów wyjaśniających. Dziecko, które od urodzenia cierpiało na nieprawidłowe funkcjonowanie żołądka i kiszek, więc na przyrodzoną niepełnowartość aparatu trawienia, nie otrzymywało jednak całkowicie odpowiedniego pożywienia, co w formie idealnej bywa prawie niemożliwością, jest tak łatwo skłonne do specjalnego zajmowania się pożywieniem i wszystkim, co pozostaje w związku z tą kwestią. (Porównać: *Adler, Studie über Minderwertigkeit der Organe und ihre seelische Kompensation, Hirzel, Lipsk, II wydanie).* Jego mniemanie o sobie i o życiu łączy się przeto silniej z zainteresowaniem dla pożywienia, a później, wskutek rychło poznanego związku, zostaje skierowane na pieniądze, co jednak w każdym poszczególnym przypadku wymaga ponownego zbadania.

Dziecko, za które od początku jego życia matka

spełnia wszystkie prace, zatem dziecko rozpieszczone, rzadko tylko będzie skłonne do utrzymywania także później swoich rzeczy w porządku. Wobec innych podobnych zjawisk uprawnia nas to do powiedzenia: dziecko to żyje w mniemaniu, że wszystko powinni za niego spełniać drudzy. Także w tym przypadku jak w następujących innych, można potrzebną pewność sądu zdobyć jedynie na podstawie daleko posuniętych potwierdzeń. Dziecko, któremu wcześnie daje się sposobność narzucania swojej woli rodzicom, pozwala odgadnąć, że zawsze pragnęłoby rządzić w życiu drugimi, co przy przeciwnych doświadczeniach w świecie zewnętrznym zwykle wypada tak, że dziecko okazuje wobec świata „postawę ociągliwą" (Por. Adler, *Praxis und Theorie der Individualpsychologie,* wyd. IV, Bergmann, Monachium) i z wszystkimi swoimi pragnieniami, często łącznie z seksualnymi, ogranicza się do rodziny, nie dokonawszy potrzebnych poprawek w duchu poczucia wspólnoty. Dziecko wychowywane wcześnie jako równouprawnione do współpracy, odpowiednio do jego sprawności, będzie zawsze usiłowało rozwiązać wszystkie kwestie życiowe w duchu swego mniemania o właściwym życiu społecznym — o ile nie stanie wobec żądań nadludzkich [1]).

W taki sposób u dziewczyny, mającej niesprawiedliwego ojca, zaniedbującego rodzinę, może rozwinąć się łatwo mniemanie, — zwłaszcza jeśli przyłączą się podobne doświadczenia z bratem, krewnymi, sąsiadami, a także z lektury, — że wszyscy mężczyźni są tego samego pokroju, przy czym inne doświadczenia, po krótkim trwaniu tego uprzedzenia, prawie już nie posia-

---

[1]) Fakt, że nawet ludzie, którzy przez długie lata studiowali psychologię indywidualną, rozumieją przez to wspólnoty współczesne, a nie wspólnotę sub specie aeternitatis, świadczy, że poziom psychologii indywidualnej jest dla nich zbyt wysoki.

dają wagi. Jeśli, powiedzmy, brat zostanie przeznaczony do wyższych studiów czy zawodu, może to łatwo skłonić do mniemania, że dziewczęta są niezdolne lub też niesprawiedliwie wyłączone od możności wyższego rozwoju. Jeśli któreś dziecko w obrębie rodziny czuje się upośledzone lub zaniedbane, może to wywołać ten skutek, że zacznie je ogarniać coraz większe onieśmielenie, jak gdyby chciało powiedzieć: „zawsze będę zmuszony stać na uboczu". Albo też opierając się na mniemaniu, że również potrafi tego dokonać, rozbudzi w sobie gorączkowe pragnienie przewyższenia wszystkich i nie uznawania nikogo obok siebie. Matka, rozpieszczająca nadmiernie swojego syna, może w niego wpoić mniemanie, że jedynie dzięki swojej osobie musi wszędzie zajmować miejsce centralne, bez właściwego współuczestnictwa w życiu. Odnosząc się zaś do niego z ustawiczną krytyką i gderaniem, a w dodatku przenosząc nad niego wyraźnie innego syna, może doprowadzić do tego, że będzie się później podnosił z nieufnością do wszystkich kobiet, co może spowodować tysiączne konsekwencje. Dziecko narażone na liczne nieszczęśliwe przypadki i choroby, może na tej podstawie wysnuć mniemanie, że cały świat jest pełen niebezpieczeństw i będzie się też odpowiednio zachowywać. To samo może przejawić się w innych odcieniach, jeśli tradycja rodzinna rozwija w stosunku do świata zewnętrznego lęk i nieufność.

Jest rzeczą oczywistą, że te rozmaite tysiączne mniemania mogą być i są też sprzeczne z rzeczywistością i jej społecznymi żądaniami. Błędne mniemanie człowieka o sobie i o zadaniach życia natrafia wcześniej czy później na opancerzony sprzeciw rzeczywistości, wymagający rozwiązań w duchu poczucia wspólnoty. Następstwo tego zderzenia można porównać z działaniem gwałtownego wstrząsu. Mniemanie błądzącego, jego

styl życiowy nie sprostają żądaniu, nie sprostają czynnikowi egzogenicznemu, ale nie zostaną przez to unicestwione, ani zmienione. Dążenie do wyższości osobistej kroczy dalej w tym samym kierunku. Nie pozostaje przy tym nic innego, jak tylko większe czy mniejsze ograniczenie się do skromniejszego terytorium, wyłączenie zadania zagrażającego klęską stylu życiowego, odwrót od zagadnienia, do rozwiązania którego brak należytego przygotowania w prawie ruchu. Działanie wstrząsu przejawia się jednak duchowo i fizycznie, niweczy resztki poczucia spólnoty i stwarza wszystkie możliwe niepowodzenia życiowe, zmuszając jednostkę do odwrotu, podobnie jak przy newrozie, albo do przesunięcia się z istniejącą jeszcze aktywnością, która żadną miarą nie oznacza odwagi, na tor antyspołeczny. W każdym razie jest rzeczą jasną, że obraz świata człowieka opiera się na „mniemaniu", które decyduje o jego myśleniu, woli i działaniu.

II.

PSYCHOLOGICZNE ŚRODKI I DROGI BADANIA STYLU ŻYCIOWEGO.

W celu wykrycia mniemania jednostki co do jej nastawienia do zagadnień życiowych, w celu całkowitego wykrycia sensu, jaki nam życie pragnie wyjawić, nie odrzuci się *a limine* żadnego środka i żadnej drogi. Mniemanie jednostki o sensie życia nie jest sprawą obojętną. Jest ono bowiem ostatecznie wytyczną jej myślenia, czucia, postępowania. Prawdziwy sens życia ukazuje się atoli w oporze, jaki przeciwstawia się jednostce postępującej niewłaściwie. Pomiędzy tymi dwiema danymi rozpina się zadanie nauczania, wychowywania, leczenia. Wiedza o jednostce jest prastara. Wystarczy wymienić tylko opisy historyczne i biograficzne starożytnych narodów, biblię, Homera, Plutarcha, wszystkich tych poetów greckich i rzymskich, podania, opowieści, bajki i mity, — wszystko to wykazuje szczytowe punkty poznania osobowości. Aż do najnowszych czasów byli głównie poeci tymi, którym najlepiej udawało się odkrywanie stylu życiowego człowieka. Co najbardziej potęguje nasz podziw dla ich dzieła, to właśnie umiejętność przedstawiania człowieka jako niepodzielnej całości, któremu każą żyć, umierać i działać w najściślejszej łączności z zadaniami jego kręgu życia. Nie ulega wątpliwości, że istnieli też ludzie prości, którzy przodowali w znajomości człowieka i swoje do-

świadczenia przekazali potomnym. Zarówno ich jak geniuszów znajomości człowieka cechował widocznie głębszy wgląd w związki bodźców ludzkich — zdolność, która mogła wyróść jedynie z ich łączności ze społecznością, z ich zainteresowania dla ludzkości. Większe doświadczenie, lepsze zrozumienie, głębsze wniknięcie były nagrodą za ich poczucie wspólnoty. To, bez czego dzieło ich nie mogło się obejść: umiejętność opisania nieobliczalnych, tysiącznych gestów w taki sposób, by drugi zrozumiał je w przybliżeniu i pojął, bez uciekania się do pomocy miary i wagi, — umiejętność ta była zawsze darem odgadywania. Tylko w ten sposób mogli dojść do widzenia tego, co tkwi poza i pomiędzy gestami: do widzenia prawa ruchu jednostki. Niektórzy nazywają ten dar „intuicją" i sądzą, że jest ona przywilejem jedynie najwyższych umysłów. W rzeczywistości jest ten dar najbardziej ogólnoludzki. Każdy ćwiczy go bezustannie w chaosie życia, w niemożności zgłębienia przyszłości.

Ponieważ każde stające przed nami zadanie, zarówno najmniejsze jak największe, zawsze jest nowe, zawsze odmienne, popadalibyśmy stale w nowe błędy, gdybyśmy byli zmuszeni rozwiązywać te zadania podług jednego szematu, na przykład podług uwarunkowanych odruchów. Ciągła różnorakość raz po raz domaga się od człowieka, by swoje poprzednie postępowanie wystawił na nową próbę. Nawet przy grze w karty nie wystarczają „odruchy uwarunkowane". Dopiero trafne odgadywanie pomaga nam sprostać zadaniom. To odgadywanie cechuje jednak najsilniej tego człowieka, który jest współgraczem, współczłowiekiem, zainteresowanym w szczęśliwym rozwiązaniu wszelkich zagadnień ludzkości. Spojrzenie w przyszłość wszelkich wydarzeń ludzkich jest jego przywilejem i pociąga go, bez względu na to, czy bada dzieje ludzkości czy losy poszczególnego człowieka.

Psychologia pozostawała niewinną sztuką aż do czasu, kiedy się nią zajęła filozofia. W niej i w antropologii filozofów kiełkują korzenie naukowej znajomości człowieka. Różnorodne próby ujęcia wszystkiego co się dzieje, w ogólne prawo świata, nie mogły przeoczyć poszczególnego człowieka. Poznanie jedni wszystkich przejawów jednostki stało się prawdą niezbitą. Przeniesienie praw wszelkiego dziania się na ludzką naturę, stworzyło rozmaite stanowiska, a niezgłębiona, nieznana siła kierująca, poszukiwana była przez Kanta, Schellinga, Hegla, Schopenhauera, Hartmanna, Nietzschego i innych w nieświadomej sile motorycznej, nazywanej to prawem etycznym, to wolą, to znów wolą potęgi lub nieświadomym. Obok przeniesienia zasad ogólnych na dzieje ludzkie, doszła do władzy samoobserwacja. Ludzie mieli wypowiedzieć coś o wydarzeniach duchowych i ich przebiegu. Metoda ta trwała niedługo. Spotkała się słusznie z niedowierzaniem, ponieważ nie można było uważać ludzi za zdolnych do wypowiedzeń obiektywnych.

W epoce rozwiniętej techniki wzięła rozpęd metoda eksperymentalna. Przy pomocy aparatów i starannie dobranych pytań urządzano egzaminy, które miały dać wyjaśnienie co do funkcjonowania zmysłów, inteligencji, charakteru i osobowości. Zatracał się przy tym wgląd w łączność osobowości lub mógł być uzupełniony przez odgadywanie. Późniejsza doktryna o dziedziczności uznała cały trud za stracony i znajdowała satysfakcję w dowodzeniu, że chodzi o posiadanie zdolności, a nie o używanie ich. W tym kierunku zmierzała też teoria o wpływie gruczołów, o wydzielaniu wewnętrznym, zajmująca się specjalnymi przypadkami poczucia niepełnowartości i jego kompensaty w przypadkach organów niepełnowartościowych.

Renesansu doczekała się psychologia w psychoana-

lizie, która w seksualnej libido pozwoliła odżyć wszechpotężnej władczyni ludzkich losów i starannie malowała ludziom grozę piekła w sferze nieświadomego i grzech pierworodny w „poczuciu winy“. Zaniedbanie nieba zostało później powetowane przez stworzenie „idealnego ja“, w oparciu o „idealny“ cel doskonałości psychologii indywidualnej. Bądź co bądź było to ważką próbą czytania pomiędzy wierszami świadomości, krokiem naprzód do ponownego odkrycia stylu życiowego, wytycznej linii jednostki, sensu życia, pomimo że autor, pławiący się w metaforach seksualizmu, nie dostrzegł przyświecającego tu celu. Psychoanaliza była też nazbyt uwikłana w świecie rozpieszczonych dzieci, wskutek czego struktura duchowa wydawała się jej zawsze odbitką tego typu, a głębsza struktura duchowa jako część ewolucji człowieka pozostała dla niej ukryta. Jej przejściowe powodzenie wypływało ze skłonności mnóstwa rozpieszczonych ludzi, którzy poglądy psychoanalityczne przyjmowali chętnie za ogólnoludzkie, co utwierdzało ich w ich własnym stylu życiowym. Technika psychoanalizy zmierzała do przedstawiania z cierpliwą energią stosunku gestów i objawów do seksualnej libido i ukazywania działania człowieka jako zależnego od jego nieodłącznego popędu sadystycznego. Dopiero w poglądzie psychologii indywidualnej okazało się z dostateczną jasnością, że te ostatnie zjawiska są sztucznie wyhodowanym urazem rozpieszczonych dzieci. W każdym razie uwzględniono też w przybliżeniu moment ewolucyjny, jakkolwiek mylnie i w zwykły sposób pesymistyczny, przez ideę pragnienia śmierci jako celu dokonania, oczekując nie czynnego przystosowania lecz zamierania, w przystosowaniu do bądź co bądź wątpliwego, drugiego podstawowego prawa fizyki.

Psychologia indywidualna stoi całkowicie na gruncie ewolucji (patrz: „Studie ueber Minderwertigkeit der

Organe", 2. Aufl. Bergmann, Monachium) i widzi wszelkie ludzkie dążenie w świetle tego samego dążenia do doskonałości. Pęd życia jest fizycznie i duchowo niezmiennie związany z tym dążeniem. Dlatego wszelki przejaw duchowy przedstawia się naszemu poznaniu jako ruch, wiodący od sytuacji minusowej do sytuacji plusowej. Droga, prawo ruchu, jakie każda jednostka nadaje sobie sama na początku swego życia przy stosunkowej swobodzie użytkowania swoich wrodzonych zdolności i niezdolności, a również swych pierwszych wrażeń z otoczenia, wykazuje u każdej jednostki odmienne tempo, rytm i kierunek. W ciągłym porównywaniu z niedosięgłą, idealną doskonałością, każda jednostka jest stale przejęta poczuciem niepełnowartości, które ją też prze naprzód. Wolno nam stwierdzić, że wszelkie ludzkie prawo ruchu, oglądane *sub specie aeternitatis* i z fikcyjnego stanowiska bezwzględnej słuszności jest zawsze błędne.

Każda epoka kultury kształtuje sobie ten ideał w dosięgu swoich myśli i uczuć. Tak samo jak dziś, możemy zawsze tylko w przeszłości znaleźć przejściowy poziom ludzkiej zdolności pojmowania w stawianiu tego ideału i mamy prawo podziwiać w najwyższym stopniu tę zdolność pojmowania, która dla nieprzejrzanych czasów ujęła nośny ideał ludzkiego współżycia. Takie nakazy jak: „Nie zabijaj!" albo „Kochaj bliźniego swego!" nie mogą chyba nigdy zniknąć z wiedzy i czucia jako najwyższa instancja. Te i inne normy współżycia ludzkiego, niezaprzeczalne wyniki ludzkiej ewolucji, zakotwiczone w naturze ludzkiej jak oddychanie i prosty chód, dają się ująć w idei idealnej społeczności ludzkiej, rozważanej tu czysto naukowo jako ewolucyjny przymus i ewolucyjny cel. Stwarzają one dla psychologii indywidualnej wytyczną „δὸς ποῦ στῶ', i nią jedynie można wszystkie inne cele i formy ruchu, sprzeczne z ewo-

lucją, oceniać jako słuszne lub fałszywe. Na tym punkcie psychologia indywidualna staje się psychologią wartościującą, podobnie jak medycyna, popierająca ewolucję, w swych badaniach i stwierdzeniach jest wiedzą wartościującą.

Poczucie niepełnowartości, dążenie do przezwyciężenia i poczucie wspólnoty, te główne filary badań psychologii indywidualnej nie dadzą się przeto usunąć z rozważań nad jednostką czy masą. Można ich istotność obchodzić i parafrazować, można je rozumieć fałszywie, można próbować rozszczepiać włos na czworo, ale nie można ich wykreślić. Wszelkie należyte rozważanie osobowości musi w jakikolwiek sposób uwzględnić te fakty i stwierdzić, jaki jest stan poczucia niepełnowartości, dążenia do przezwyciężenia i poczucia wspólnoty.

Ale tak samo jak inne kultury abstrahowały z przymusu ewolucji inne pojęcia i niewłaściwe drogi, tak samo czyni też każda poszczególna jednostka. Myślowa i połączoną z nią uczuciowa budowa stylu życiowego w prądzie rozwoju jest dziełem dziecka. Za miarę jego siły służy mu ujęta uczuciowo i w przybliżeniu sprawność, w otoczeniu wcale nie neutralnym, będącym zaledwie kiepskim przedszkolem życia. Budując na podstawie wrażenia subiektywnego, wiedzione często przez mało miarodajne powodzenia lub klęski, dziecko stwarza sobie drogę, cel i możność oglądania wyżyny, leżącej w przyszłości.

Wszystkie środki psychologii indywidualnej, mające prowadzić do zrozumienia osobowości liczą się z mniemaniem jednostki o celu wyższości, z siłą jej poczucia niepełnowartości i stopniem poczucia wspólnoty. Przy bliższym wglądzie w stosunek tych czynników widzi się, że wszystkie stanowią o stopniu i rodzaju poczucia wspólnoty. Badanie odbywa się podobnie jak w psychologii eksperymentalnej, albo przy próbach czynno-

ściowych w przypadkach medycznych. Tylko że tu życie samo przeprowadza egzamin, co świadczy o głębokiej łączności jednostki z zagadnieniami życia. Całość jednostki nie może bowiem być wyrwana ze związku z życiem — a raczej ze spólnotą. Jej nastawienie do spólnoty zdradza dopiero jej styl życiowy. Dlatego badanie doświadczalne, uwzględniające w najlepszym przypadku tylko częściowy udział w życiu, nie może nic wypowiedzieć o charakterze, a tym mniej o przyszłej działalności w społeczności. A tak samo „psychologia postaci“ wymaga jeszcze uzupełnienia przez psychologię inndywidualną, by móc się wypowiedzieć o nastawieniu jednostki w procesie życia.

Technika psychologii indywidualnej przy badaniu stylu życiowego zakłada więc przede wszystkim znajomość zagadnień życiowych i wymagań, jakie stawiają jednostce. Okaże się, że ich rozwiązanie zakłada pewien stopień poczucia spólnoty, zespolenia z całokształtem życia, zdolność do współpracy i współczłowieczeństwa. W razie braku tej zdolności, będzie można w tysiąckrotnych odmianach zauważyć spotęgowanie poczucia niepełnowartości i jego następstw, wyrażające się na ogół jako „ociągliwa postawa“ i wymykanie się. Występujące tu zjawiska fizyczne lub psychiczne określiłem w ich związku jako „kompleks niepełnowartości“. Nigdy nie ustające dążenie do wyższości usiłuje przesłonić ten kompleks k o m p l e k s e m w y ż s z o ś c i, zmierzającym zawsze do pozoru wyższości osobistej, poza poczuciem spólnoty. Uświadomiwszy sobie jasno wszystkie zjawiska, występujące w razie nieudolności, należy przyczyn nienależytego przygotowania szukać we wczesnym dziecięctwie. W taki sposób udaje się zdobyć wierny obraz jednolitego stylu życiowego jednostki, a równocześnie w przypadku chybienia, ująć stopień odchylenia, który okaże się zawsze brakiem zdol-

ności do zespolenia z całością. Dla wychowawcy, nauczyciela, lekarza, doradcy duchowego wynika stąd zadanie wzmocnienia poczucia spólnoty a tym samym odwagi, przez przekonanie danej jednostki o prawdziwych przyczynach niepowodzenia, przez ujawnienie błędnego mniemania, mylnego sensu, jakie podsuwała życiu, by w ten sposób zbliżyć ją do sensu, jaki dla człowieka ustanowiło życie.

Zadanie to można rozwiązać jedynie przy wnikliwej znajomości zagadnień życiowych i gdy w kompleksie niepełnowartości i kompleksie wyższości, podobnie jak we wszystkich typach ludzkich chybień zrozumie się zbyt nikły wkład poczucia spólnoty. Tak samo potrzeba wielkiego doświadczenia odnośnie do owych okoliczności i sytuacyj, które w dziecięctwie przeszkadzają prawdopodobnie rozwojowi poczucia spólnoty. Jako najlepsze środki do zbadania osobowości, uznałem w swoim dotychczasowym doświadczeniu, rozległe zrozumienie pierwszych wspomnień dziecięctwa, pozycji dziecka w szeregu rodzeństwa, wszelakich błędów dziecięcych, marzeń dziennych i nocnych, oraz rodzaju czynnika egzogenicznego, wywołującego chorobę. Wszystkie wyniki takiego badania, łącznie z nastawieniem do lekarza, należy oceniać z największą ostrożnością, a ich przebieg badać stale co do zgodności z innymi stwierdzeniami.

III.

ZADANIA ŻYCIA.

Oto punkt, na którym psychologia indywidualna styka się z socjologią. Niepodobna zdobyć słuszny sąd o jednostce, jeśli nie zna się struktury jej zagadnień życiowych, oraz zadania, jakie jej zagadnienia te stawiają. Dopiero rodzaj nastawienia do nich, stwierdzenie, co się w jednostce przy tym dokonywa, wyjaśniają nam jej istotę. Musimy stwierdzić, czy dotrzymuje kroku lub waha się, przystaje, stara się wymknąć, szuka i znajduje preteksty, czy zadanie swe rozwiązuje częściowo, wyrasta ponad nie, lub też pozostawia je nierozwiązane, by na drodze szkodliwej dla spólnoty zdobyć pozór osobistej wyższości.

Od dawien dawna trzymałem się poglądu, że wszystkie zagadnienia życia należy podporządkować trzem wielkim problemom: problemowi życia społecznego, pracy i miłości. Jak widzimy, nie są to kwestie przypadkowe, lecz nieustannie stojące przed nami, które napierając i żądając, nie pozwalają na ucieczkę. Cały nasz stosunek do tych trzech zagadnień jest bowiem odpowiedzią, jakiej udzielamy na mocy swojego stylu życiowego. Wobec tego, że są one ściśle z sobą złączone, a mianowicie tym, że trafne rozwiązanie tych trzech zagadnień wymaga należytej miary poczucia spólnoty, jest rzeczą jasną, że styl życiowy każdego człowieka odzwierciedla się mniej lub więcej wyraźnie w nastawieniu

do tych trzech kwestii. Mniej wyraźnie w nastawieniu do kwestii pozostającej chwilowo na dalszym planie, lub ofiarowującej korzystniejsze warunki, wyraźniej, o ile bada się jednostkę surowiej co do jej zdolności. Problemy, jak sztuka i religia, przewyższające przeciętne rozwiązanie zagadnień, mają udział w tych wszystkich trzech kwestiach.

Wynikają one z nierozerwalnej łączności człowieka z koniecznością uspołecznienia, z troską o utrzymanie i staranie o potomstwo. Są to kwestie naszego bytu ziemskiego, które stają przed nami. Człowiek, jako produkt tej ziemi mógł się w swym stosunku kosmicznym rozwinąć i ostać jedynie w łączności ze społeczeństwem, przy fizycznym i duchowym staraniu o nie, przy podziale pracy i pilności i przy dostatecznym rozmnożeniu. W swojej ewolucji został do tego uposażony fizycznie i duchowo przez dążenie do lepszej zdolności fizycznej i lepszego rozwoju duchowego. Wszystkie doświadczenia, tradycje, nakazy i prawa były tak czy owak próbami, trwałymi lub znikomymi w dążeniu ludzi do wyższości nad trudnościami życia. W naszej obecnej kulturze widzimy osiągnięty dotychczas, co prawda nie wystarczający stopień tego dążenia. Ruch zarówno jednostki jak masy jest nacechowany dążeniem od sytuacji minusowej do plusowej i uprawnia nas do mówienia o trwałym poczuciu niepełnowartości tak jednostki jak masy. W prądzie ewolucji nie ma stanu spoczynku. Pociąga nas cel doskonałości.

Skoro jednak te trzy kwestie o wspólnej podstawie interesu społecznego są nieuniknione, to jasne jest, że mogą być rozwiązane jedynie przez ludzi, posiadających dostateczną miarę poczucia spólnoty. Łatwo powiedzieć, że do dzisiejszego dnia istnieje wprawdzie u każdej jednostki zdolność do zdobycia tej miary, że jednak ewolucja ludzkości nie posunęła się jeszcze do-

statecznie, by poczucie spólnoty wcielić w każdego człowieka do tego stopnia, aby się przejawiało automatycznie jak oddychanie lub prosty chód. Dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, że kiedyś — może w bardzo późnej epoce — stopień ten zostanie osiągnięty, jeśli ludzkość nie rozbije się o ten rozwój, co do czego istnieje dziś lekkie podejrzenie.

Ku rozwiązaniu tych trzech głównych kwestyj zmierzają dziś wszystkie inne, czy to chodzi o zagadnienie przyjaźni, koleżeństwa, zainteresowania miastem i wsią, narodem i ludzkością, czy też o dobre formy, o przyswojenie sobie kulturalnego funkcjowania organów, o przygotowanie do współpracy, w zabawie, szkole i nauce, o poważanie i ocenę drugiej płci, o fizyczne i duchowe przygotowanie do tych wszystkich zagadnień, oraz o wybór partnera czy partnerki drugiej płci. Tego przygotowania, od pierwszego dnia życia dziecka, w sposób właściwy czy niewłaściwy dokonuje matka, która w ewolucyjnym rozwoju miłości macierzyńskiej jest już z natury najodpowiedniejszą partnerką współludzkich przeżyć dziecka. Od matki, pierwszego współczłowieka u wrót rozwoju poczucia spólnoty, wychodzą dla dziecka pierwsze podniety w kierunku zajęcia w życiu miejsca jako część całości i szukania właściwego kontaktu z światem.

Trudności mogą tu powstać z dwóch stron. Ze strony matki, jeśli nieporadna, ociężała, nieoświecona, utrudnia dziecku nawiązanie kontaktu, albo jeśli w sposób beztroski traktuje swoje zadanie zbyt lekko. Albo, co zdarza się najczęściej, jeśli zwalnia dziecko od wszelkiej współpracy i pomocy, obsypuje je pieszczotami i czułościami, stale za nie działa, myśli i mówi, pozbawia je wszelkiej możliwości rozwoju i przyzwyczaja do świata urojonego, który nie jest naszym światem, do świata, gdzie dla rozpieszczonego dziecka spełniają wszystko

drudzy. Wystarczy stosunkowo krótki okres czasu, by doprowadzić dziecko do błędnego mniemania, że jest zawsze ośrodkiem wszelkich wydarzeń, i do odczuwania wszystkich innych sytuacyj i ludzi jako czegoś wrogiego. Nie należy ponadto nie doceniać różnorodności wyników, płynących ze swobodnego zrozumienia i współpracy swobodnej, twórczej siły dziecka. Dziecko posługuje się wpływami z zewnątrz, by je przetworzyć podług swojego mniemania. W razie rozpieszczenia przez matkę, dziecko uchyla się od rozszerzenia swego poczucia spólnoty na inne osoby, usiłuje usunąć się od ojca, rodzeństwa i innych ludzi, nie darzących je równą miarą uczucia. Trenowanie w tym stylu życiowym, w mniemaniu o życiu, jakoby wszystko można zaraz na początku zdobyć z łatwością, jedynie przez pomoc z zewnątrz, dziecko staje się później mniej czy więcej niezdolne do rozwiązania zagadnień życiowych, a stanąwszy przed nimi nie przygotowane do wymaganego przez nie poczucia spólnoty, przeżywa wstrząs, który w lżejszych przypadkach staje się przejściową, w ciężkich natomiast trwałą przeszkodą przy rozwiązywaniu tych zadań. Rozpieszczone dziecko korzysta z każdej okazji zajęcia matki swoją osobą. Ten swój cel wyższości osiąga najłatwiej przez opór w spełnianiu swych czynności, czy to przez krnąbrność — stan usposobienia, który mimo wyjaśnienia psychologii indywidualnej został niedawno przez Karolinę Buehler określony ponownie jako naturalne stadium rozwoju — czy też przez niedostateczne zainteresowanie, które należy też zawsze rozumieć jako brak zainteresowania społecznego. Inne spazmatyczne próby tłumaczenia takich wad dzieci, jak zaparcie i moczenie w łóżku, przez wywodzenie ich od seksualnej libido lub popędów sadystycznych, w mniemaniu, że odkrywa się przez to pierwotniejsze czy nawet głębsze pokłady życia duchowego — próby takie

biorą skutek za przyczynę, nie zrozumiawszy zasadniczego usposobienia takich dzieci, ich przesadnej potrzeby czułości. Mylą się także w tym, że ewolucyjną czynność organów uważają za coś, czego rąz po raz trzeba się uczyć od nowa. Rozwój tych czynności jest tak samo nakazem i zdobyczą natury ludzkiej, jak prosty chód i mowa. W urojonym świecie rozpieszczonych dzieci mogą być co prawda pomijane, podobnie jak zakaz kazirodztwa, na znak, że dzieci te pragną rozpieszczania w celu wykorzystywania drugich, lub w celu zemsty i oskarżań, jeśli nie nastąpi rozpieszczanie.

Rozpieszczone dzieci sprzeciwiają się na tysiączne sposoby wszelkiej zmianie w zadowalniającej je sytuacji. Jeśli mimo to zmiana taka nastąpi, można zawsze obserwować opór reakcyj i akcyj, wyrażający się w sposób bardziej czynny lub bierny. Atak lub odwrót — ostateczne ukształtowanie zależne jest przeważnie od stopnia aktywności, ale także od sytuacji zewnętrznej (od czynnika egzogenicznego) domagającej się rozwiązania. Doświadczenia, uwieńczone w podobnych przypadkach powodzeniem, służą następnie jako szablony i wskutek niedostatecznego zrozumienia bywają nieraz brane za regresję. Inni autorzy posuwają się jeszcze dalej w swoich przypuszczeniach i próbują kompleks duchowy, który należy obecnie uważać za trwałą i stałą zdobycz ewolucji, sprowadzić do pozostałości z pradawnych czasów, dochodząc przy tym do fantastycznych odkryć jednozgodności. Najczęściej wprowadza ich w błąd to, że ludzkie przejawy, zwłaszcza jeśli nie bierze się w rachubę ubóstwa naszej mowy, wykazują podobieństwo we wszystkich epokach. Usiłując wszystkie ludzkie formy postępowania sprowadzić do seksualizmu, natrafia się tylko na inne podobieństwo.

Wytłómaczyłem, że rozpieszczone dzieci czują się poza kołem rozpieszczania stale zagrożone, niby w nieprzyjacielskim kraju. Wszystkie ich rozmaite rysy charakteru muszą zgadzać się z ich mniemaniem o życiu, przede wszystkim ich często wręcz niepojęta miłość własna i narcyzm. Wynika z tego niezaprzeczenie, że te wszystkie rysy charakteru są sztucznym wytworem, że są nabyte, a nie wrodzone. Nie trudno zrozumieć, że wszystkie rysy charakteru, wbrew rozumieniu tak zwanych charakterologów, oznaczają zawsze zależności społeczne i wypływają ze stylu życia, wytworzonego przez dziecko. W ten sposób zostaje też rozwiązana stara kwestia sporna, czy człowiek jest z natury dobry czy zły. Wzrastający na drodze ewolucji, niepowstrzymany postęp poczucia spólnoty uprawnia do mniemania, że istnienie ludzkości jest nierozdzielnie złączone z dobrocią człowieka. Co pozornie przeciw temu przemawia, musi być uważane za chybienie w ewolucji i da się sprowadzić do błędów, tak samo jak na wielkim doświadczalnym polu natury zawsze też istniał w gatunkach zwierząt bezużyteczny materiał fizyczny. Charakterologia będzie jednak rychło zmuszona przyznać, że charakter, określony jako „odważny, cnotliwy, leniwy, wrogi, wytrwały itd.“ stosuje się zawsze do naszego, stale zmieniającego się świata zewnętrznego, bez którego w ogóle nie istnieje.

Jak wykazałem, istnieją w dziecięctwie jeszcze inne ciężary, które podobnie jak rozpieszczanie przeszkadzają rozwijaniu się poczucia spólnoty. Także przy rozpatrywaniu tych przeszkód musimy zaprzeczyć istnieniu zasadniczego prawa przyczynowego, a w ich działaniu widzimy tylko moment zachęcający, który wyraża się w prawdopodobieństwie statystycznym. Nie wolno też nigdy przeoczyć odmienności i jednorazowości zjawiska indywidualnego. Jest ono wyrazem niemal do-

wolnej twórczej siły dziecka w kształtowaniu jego prawa ruchu. Tymi innymi ciężarami są: zaniedbanie dziecka i niepełnowartość jego organów. Podobnie jak rozpieszczenie, odwracają one wzrok i zainteresowanie dziecka od „współżycia“ i skierowują je na własne niebezpieczeństwo i własne dobro. Że to ostatnie da się zabezpieczyć jedynie przy dostatecznym poczuciu spólnoty, udowodnię wyraziściej w dalszym ciągu. Łatwo jednak zrozumieć, że ziemskie wydarzenia przeciwstawiają się temu, kto pozostaje z nimi w zbyt słabym kontakcie i zgodzie.

O wszystkich trzech ciężarach wczesnego dziecięctwa można powiedzieć, że twórcza siła dziecka może je przezwyciężyć raz lepiej, raz gorzej. Wszelkie powodzenie lub niepowodzenie zależy od stylu życiowego, od — przeważnie człowiekowi nieznanego — mniemania o własnym życiu. Tak samo jak mówiliśmy o statystycznym prawdopodobieństwie następstw tych trzech ciężarów, musimy teraz stwierdzić, że także zagadnienia życia, zarówno wielkie jak małe, wykazują jedynie, znaczne co prawda prawdopodobieństwo statystyczne, jako kwestie wstrząsu dla zajętego do nich stanowiska jednostki. Z niejaką pewnością można przepowiedzieć następstwa, jakie wynikną dla jednostki z zetknięcia się z zagadnieniami życia. Zawsze jednak musimy się tego trzymać, że dopiero z trafnie przeprowadzonych następstw można wnioskować o trafności założenia.

To, że psychologia indywidualna, jak żaden inny kierunek psychologiczny, potrafi na podstawie swego doświadczenia i praw prawdopodobieństwa odgadywać przeszłość, jest chyba dobrym znakiem dla jej podstaw naukowych.

Jesteśmy teraz zobowiązani zbadać, czy także owe pozornie podrzędne zagadnienia wymagają do swego

rozwiązania rozwiniętego poczucia spólnoty. I w pierwszym rzędzie nasuwa nam się tu nastawienie dziecka do ojca. Normą byłoby jednakowe niemal nastawienie do ojca i matki. Warunki zewnętrzne, indywidualność ojca, rozpieszczanie przez matkę, albo choroby i trudny rozwój organów, których pielęgnowanie przypada raczej matce, mogą między dzieckiem a ojcem wytworzyć dystans i w ten sposób przeszkodzić rozwojowi poczucia spólnoty. Surowsza interwencja ojca, o ile stara się przeciwdziałać skutkom rozpieszczania przez matkę, powiększa jeszcze ten dystans. Tak samo, często dla niej samej niezrozumiała skłonność do przeciągania dziecka na swoją stronę. Jeżeli przeważa rozpieszczanie przez ojca, to dziecko zwraca się do niego a odwraca od matki. Ten przypadek należy zawsze rozumieć jako drugą fazę w życiu dziecka; wskazuje on, że z przyczyny matki dziecko przeżyło tragedię. Jeśli jako rozpieszczone dziecko będzie się trzymać matki, to rozwinie się w większym czy mniejszym stopniu w pasożyta, oczekującego od matki zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb, niekiedy też seksualnych. A to tym łacniej, że zbudzony w dziecku popęd płciowy zastaje dziecko w stanie nastroju, w którym nie umie odmawiać sobie żadnego życzenia, gdyż stale oczekuje od matki jedynie zaspokojenia wszystkich swych pragnień. To, co Freud określił jako kompleks Edypa, uważając go za naturalne podłoże rozwoju duchowego, nie jest niczym innym, jak tylko tylko jedną z wielu form przejawów w życiu rozpieszczonego dziecka, bezbronnej piłki swoich podniecionych pragńień. Musimy też pominąć, że ten sam autor z nieprzepartym fanatyzmem wciska wszystkie stosunki dziecka do matki w przenośnię, której podstawą jest dla niego kompleks Edypa. Musimy również odeprzeć pogląd, wydający się wielu autorom faktem pozornie słusznym,

że córki bardziej się przywiązują do ojca, a synowie do matki. Gdzie taki stosunek ułożył się bez rozpieszczania przez jedno z rodziców, możemy w nim widzieć zrozumienie dla przyszłej roli płci, zatem dla okresu znacznie późniejszego, kiedy dziecko bawiąc się i przeważnie bez rozbudzania popędu płciowego, przygotowuje się do przyszłości, co czyni przecież także w innych zabawach. Wcześnie rozbudzony i prawie że nie dający się poskromić popęd płciowy, świadczy przede wszystkim o egocentryzmie dziecka, najczęściej rozpieszczonego, nie umiejącego sobie odmówić żadnego życzenia.

Także z postawy wobec rodzeństwa, rozważanej jako zadanie, można poznać stopień zdolności dziecka do nawiązywania kontaktu. Scharakteryzowane tu trzy grupy dzieci będą najczęściej uważać drugie dziecko, zwłaszcza młodsze, za przeszkodę i zacieśnienie swego wpływu. Skutki są rozmaite, pozostawiają jednak w plastycznym okresie dziecka wrażenie tak wielkie, że ujawnia się przez całe życie jako rys charakteru, jako trwałe współzawodnictwo w życiu, jako żądza górowania, a w najłagodniejszym przypadku jako trwała skłonność do traktowania innych ludzi jak dzieci. Przy tym ukształtowaniu się charakteru zależy wiele od powodzenia lub niepowodzenia we współzawodnictwie. Nigdy natomiast, zwłaszcza u dziecka rozpieszczonego, nie zatrze się wrażenie wyparcia go z jego stanowiska przez młodsze dziecko, a także wynikłych stąd następstw.

Inne zagadnienie dotyczy zachowania się dziecka wobec choroby i nastawienia, na które się zdecyduje. Dziecko liczy się tu zawsze z zachowaniem się rodziców, zwłaszcza przy chorobach, wyglądających na cięższe. Wczesne choroby jak rachityzm, zapalenie płuc, koklusz, taniec św. Wita, szkarlatyna, grypa o typie

mózgowym itd. podczas których dziecko zauważa nieostrożnie trwożliwe zachowanie się rodziców, mogą sprawić, że nie tylko choroba wyda mu się cięższą niż jest w istocie, przyzwyczai je do niezwykłych pieszczot i wywoła olbrzymie poczucie własnej wartości bez współudziału z jego strony, lecz mogą też wytworzyć w dziecku skłonność do chorowania i skarg. Gdy po odzyskaniu zdrowia, ustanie to niezwykłe rozpieszczanie, dziecko bywa często rozgrymaszone, okazuje trwały nastrój chorobowy, skarży się na zmęczenie, niechęć do jedzenia, lub bez powodu uporczywie kaszle. Zjawiska te uważa się nierzadko za następstwa choroby, często całkiem niesłusznie. Dzieci takie skłonne są do zachowania na całe życie wspomnień o swoich chorobach, czym wyraża się ich mniemanie, że roszczą sobie pretensje, by je oszczędzano lub w stosunku do nich uwzględniano okoliczności łagodzące. Nie wolno przeoczać, że w takich przypadkach, istnieje z braku kontaktu z warunkami zewnętrznymi stały powód potęgowania sfery uczuciowej, emocyj i afektów. Dalszemu badaniu co do zdolności współdziałania — niezależnie od tego, czy dziecko stara się być użyteczne w domu, czy należycie uczestniczy w zabawie i zachowuje się po koleżeńsku — zostaje ono poddane po wstąpieniu do przedszkola czy do szkoły. Można tu dokładnie obserwować jego zdolność do współpracy. Stopień podniecenia, formy oporu, trzymanie się na uboczu, brak zainteresowania i skupienia, oraz mnóstwo innych postępków, wynikających z wrogości do szkoły, jak spaźnianie się, chęć przeszkadzania, skłonność do opuszczania godzin szkolnych, ciągłe gubienie przyborów, marnowanie czasu, zamiast opracowywania zadań domowych — wszystko to wskazuje na brak przygotowania do współpracy. W takich przypadkach dowodzi niedostatecznego poznania procesu duchowego, jeśli się nie rozumie, że dzieci te, wiedząc czy nie

wiedząc, mają równocześnie ciężkie poczucie niepełnowartości, przejawiające się jako kompleks niepełnowartości w formie nieśmiałości, stanów wzburzenia, z wszystkimi możliwymi objawami fizycznymi i psychicznymi, albo też jako egoistyczny kompleks wyższości, który wyraża się w kłótliwości, psuciu zabawy, braku koleżeńskości itd. Nie można się w tym dopatrzeć odwagi. Nawet zuchwałe dzieci okazują tchórzostwo, gdy chodzi o robotę użyteczną. Kłamliwość ukazuje je na drodze chytrości; skłonności do kradzieży występują jako szkodliwe kompensaty w poczuciu pokrzywdzenia. Ustawiczne porównywanie i mierzenie się ze zdolniejszymi dziećmi nie doprowadza do poprawy, lecz do stopniowego stępienia, a często do obniżenia postępów w szkole. Właśnie szkoła działa na dziecko jak eksperyment i od pierwszego dnia wykazuje stopień zdolności współdziałania dziecka. I właśnie szkoła jest też odpowiednim miejscem, gdzie przez mądre zrozumienie należy podnieść poczucie spólnoty dziecka, by nie wyszło z niej jako przeciwnik spólnoty. Te właśnie doświadczenia spowodowały, że urządziłem w szkołach poradnie, oparte na psychologii indywidualnej, pomagające nauczycielowi do znalezienia właściwej drogi w wychowywaniu dzieci, nie mogących sprostać wymaganiom.

Rozumie się, że dobre wyniki w przedmiotach szkolnych zależą także przede wszystkim od poczucia wspólnoty u dziecka, kryjącego w sobie przecież perspektywę przyszłego ukształtowania jego życia w społeczności. Zagadnienie przyjaźni, tak ważne dla późniejszego współżycia, koleżeństwa, z wszystkimi koniecznymi rysami charakteru wierności, odpowiedzialności, chęci do współpracy, zainteresowania dla państwa, narodu i ludzkości są włączone do życia szkolnego i wymagają fachowej opieki. W mocy szkoły jest rozbu-

dzenie i popieranie współczłowieczeństwa. Jeśli nauczyciel zrozumie nasz punkt widzenia, to potrafi też w przyjacielskiej rozmowie unaocznić dziecku jego brak poczucia wspólnoty, przyczyny i sposób usunięcia ich, a także zbliżyć je do społeczności. W ogólnych rozmowach z dziećmi uda mu się przekonać je, że ich przyszłość, a także przyszłość ludzkości zależy od spotęgowania naszego poczucia spólnoty i że wielkie błędy w naszym życiu, wojna, kara śmierci, nienawiść rasowa i narodowościowa, ale także newroza, samobójstwo, zbrodnie, pijaństwo itd. wypływają z braku poczucia spólnoty i że należy je uważać za kompleksy niepełnowartości, za zgubne usiłowania rozwiązania sytuacji w sposób niedozwolony i bezcelowy.

Wysuwające się w dzisiejszych czasach zagadnienie seksualne, może również wywołać zamęt wśród chłopców i dziewcząt. Nie wśród tych jednak, których pozyskano dla współpracy. Ci, którzy przywykli czuć się jako część całości, nie będą nigdy obnosić się z podniecającymi tajemnicami, zamiast pomówić o nich z rodzicami lub poradzić się nauczyciela. Inaczej postąpią ci, którzy już we własnej rodzinie widzą wrogi żywioł. Ci, a przede wszystkim znów dzieci rozpieszczone, najłatwiej pozwolą się nastraszyć i uwieść pochlebstwami. Postępowanie rodziców w kwestii uświadomienia wynika samo przez się z ich współżycia. Dziecko powinno wiedzieć tyle, ile chce wiedzieć, a należy objaśnić je w taki sposób, by tę nową wiedzę potrafiło należycie przyjąć i strawić. Nie należy odwlekać, ale pośpiech jest także zbyteczny. Niepodobna prawie uniknąć, by dzieci w szkole nie mówiły o sprawach seksualnych. Dziecko samodzielne, patrzące w przyszłość, usunie od siebie sprosność i nie będzie też wierzyć w głupstwa. Rozbudzanie lęku przed miłością i małżeństwem jest oczywiście wielkim błędem, ale przyjmie

się tylko u dzieci niesamodzielnych, i bez tego pozbawionych już odwagi.

Okres pokwitania, jako dalsze zagadnienie życiowe, uważany jest przez wielu za ciemne misterium. Także w tym okresie znajduje się tylko to, co już poprzednio drzemało w dziecku. Jeśli aż do tego czasu było pozbawione poczucia wspólnoty, to także okres pokwitania będzie mieć odpowiedni przebieg. Wyraźniej tylko ujawni, w jakim stopniu dziecko przygotowane jest do współpracy. Rozporządza ono większą przestrzenią, w obrębie której może się poruszać. Ma więcej siły. Przede wszystkim ma pragnienie wykazania w jakiś sposób, odpowiadający mu a pociągający, że nie jest już dzieckiem, lub — co zdarza się rzadziej — że jeszcze nim jest. Jeśli w rozwoju poczucia spólnoty zaznało przeszkód, to niespołeczny zwrot jego błędnej drogi uwidoczni się wyraźniej niż przedtem. Wiele z nich, pragnąc uchodzić za dorosłych, przyswoi sobie raczej błędy niż zalety dorosłych, gdyż jest to dla nich znacznie łatwiejsze niż na przykład służenie społeczności. W ten sposób może dojść do najrozmaitszych deliktów, znów łatwiej u dzieci rozpieszczonych niż u innych, gdyż wdrożone do natychmiastowego zaspokojania swych pragnień, z trudem zdołają się oprzeć jakiejkolwiek pokusie. Takie dziewczęta i chłopcy padają łatwo ofiarą pochlebstw lub swej podnieconej próżności. Mocno zagrożone są też w tym okresie dziewczęta, które w domu przeżywają uczucie upośledzenia i mogą w swoją wartość wierzyć tylko wtedy, gdy słuchają pochlebstw.

Dziecko pozostające dotychczas w zapleczu, zbliża się następnie niezadługo do frontu życia, gdzie widzi stające przed nim trzy wielkie zagadnienia życiowe: społeczeństwo, pracę i miłość. Do ich rozwiązania konieczne jest rozwinięte zainteresowanie dla drugich.

Decyduje o tym przygotowanie. Napotykamy tu lęk przed ludźmi, nienawiść do nich, nieufność, radość z cudzego nieszczęścia, wszelkiego rodzaju próżność, nadwrażliwość, stany zdenerwowania przy zetknięciu z drugimi, tremę, kłamstwo i zdradę, oszczerstwo, żądzę władzy, złość itd. Człowiek wychowany w duchu wspólnoty, łatwo pozyska sobie przyjaciół. Będzie się też interesował wszystkimi zagadnieniami ludzkości i swoje poglądy i postępowanie nastawi ku ogólnemu pożytkowi. Nie będzie upatrywał swojego powodzenia w wyróżnianiu się w dobrym czy w złym. Jego życiu w społeczeństwie będzie zawsze towarzyszyć życzliwość, pomimo że będzie występował przeciw szkodnikom społecznym. Bo także człowiek dobrotliwy nie zdoła się czasem ustrzec od pogardy.

Skorupa ziemska, na której żyjemy, zmusza ludzkość do pracy i do podziału pracy. Poczucie wspólnoty wyraża się tu jako współpraca na pożytek drugich. Człowiek uspołeczniony nie będzie nigdy wątpił, że każdemu należy się nagroda za jego pracę i że wyzyskiwanie życia i pracy drugich nie może nigdy przyczynić się do dobra ludzkości. Bo ostatecznie, my, potomkowie pokoleń poprzednich, żyjemy wszak przeważnie z pracy wielkich przodków, którzy przyczynili się do dobra ludzkości. Wielka idea spólnoty, wyrażająca się też w religiach i wielkich prądach politycznych, słusznie wymaga możliwie najlepszego podziału pracy i konsumcji. Ktoś, robiący buty, jest użyteczny dla drugiego i ma prawo do wystarczającego utrzymania, do wszystkich korzyści higienicznych i dobrego wychowania swojego potomstwa. Fakt, że otrzymuje za to pieniądze, jest w dzisiejszej epoce rozwiniętego targu uznaniem jego użyteczności. W ten sposób dochodzi on do poczucia swojej wartości dla ogółu, jedynej możliwości złagodzenia ogólnego, ludzkiego po-

czucia niepełnowartości. Człowiek spełniający pożyteczną pracę, żyje w rozwijającej się spólnocie i popiera ją. Ten stosunek współzależności jest tak silny, jakkolwiek nie zawsze przemyślany, że nim kieruje się ogólny sąd o pilności i lenistwie. Nikt nie nazwie lenistwa cnotą. Tak samo zostało dziś ogólnie uznane prawo do wystarczającego utrzymania ludzi, dotkniętych bezrobociem wskutek kryzysów nadprodukcji — co należy uważać za wypływ, jeśli nie niebezpieczeństwa społecznego, to potęgującego się poczucia spólnoty. Także przyszłe zmiany w sposobie wytwarzania i podziału dóbr będą musiały z konieczności odpowiadać lepiej niż dziś sile poczucia spólnoty, bez względu, czy będzie to zmiana wymuszona czy dobrowolna.

W miłości, wyposażonej w tak silne zaspokojenia pragnień fizycznych i psychicznych, poczucie spólnoty okazuje się bezpośrednim i niezawodnym czynnikiem, kształtującym los. Podobnie jak w przyjaźni, w stosunku rodzeństwa czy rodziców, chodzi też w miłości o zadanie dwojga ludzi, w tym przypadku odmiennej płci, z perspektywą potomstwa i utrzymania rodzaju ludzkiego. Może żadne z zagadnień ludzkich nie dotyczy tak blisko pomyślności i dobrobytu jednostki w społeczeństwie, jak problem miłości. Zadanie dla dwojga ludzi posiada swoją własną strukturę i nie może być dobrze rozwiązane podług zadania dla jednego człowieka. Wygląda to tak, jak gdyby każde z tych dwojga musiało całkowicie zapomnieć o sobie i całkowicie oddać się drugiemu, by sprostać zagadnieniu miłości — jak gdyby z dwojga ludzi musiała powstać jedna istota. Ta sama konieczność odnosi się też w pewnej mierze do przyjaźni i do takich zadań jak taniec lub gra, lub praca dwojga ludzi tymi samymi narzędziami i nad tym samym przedmiotem. Struktura ta wymaga bezwzględnie usunięcia kwestii nierówności, wzajemnego powątpie-

wania o sobie, wrogich myśli lub uczuć. A w istocie miłości tkwi też niemożność wyłączenia pociągu fizycznego. Prawdopodobnie tkwi to także w istocie i indywidualnym działaniu ewolucji, że do pewnego stopnia, odpowiadającego koniecznemu wyższemu rozwojowi ludzkości, ten pociąg fizyczny wpływa na wybór partnera.

W ten sposób stawia ewolucja nasze uczucia estetyczne na usługi rozwoju ludzkości, każąc nam, świadomie i nieświadomie przeczuwać wyższy ideał w partnerze. Obok często jeszcze przez mężczyzn i kobiety źle dzisiaj zrozumianej, a samej przez się zrozumiałej równości w miłości, niepodobna obejść uczucia wzajemnego oddania. To uczucie całkowitego oddania bywa niezmiernie często fałszywie rozumiane przez mężczyzn, a jeszcze bardziej przez dziewczęta, jako niewolnicza uległość, odstraszając od miłości lub czyniąc niezdolnymi do oddania się jej zwłaszcza tych, którzy w swoim stylu życiowym doszli do zasady samolubnej wyższości. Brak uzdolnienia we wszystkich trzech punktach, w przygotowaniu do zadania we dwoje, w poczuciu równowartości i zdolności do oddania, charakteryzuje wszystkich ludzi o niedostatecznym poczuciu spólnoty. Trudność, wyrastająca dla nich z tego zadania wiedzie ich ustawicznie do prób ułatwienia w kwestiach miłości i małżeństwa, które w swojej formie monogamicznej jest chyba najlepszym czynnym przystosowaniem do ewolucji. Nakreślona tu struktura miłości, będąca zadaniem, a nie punktem końcowym rozwoju, wymaga ponadto stanowczego rozstrzygnięcia na wieczność, — rozstrzygnięcia, które ma jako wieczne przejawić się w dzieciach i ich wychowaniu dla dobra ludzkości. Otwiera się tu perspektywa niesamowita, pozwalająca nam widzieć, że pomyłki i błędy, brak poczucia spólnoty w miłości mogą spowodować wykluczenie z wiecznego byto-

wania na tej ziemi w dzieciach i dziełach wychowania. Bagatelizowanie miłości, wyrażające się chaosem płciowym, prostytucją, wszelkiego rodzaju perwersją i tajemnymi kryjówkami kultury nagości, odjęłyby miłości wszelką wielkość, wszelki blask i czar estetyczny. Wzbranianie się przed zawarciem trwałego związku sieje wątpliwości i nieufność między partnerami wspólnego zadania i czyni ich niezdolnymi do całkowitego wzajemnego oddania. Podobne trudności, w każdym przypadku odmienne, można jako znak zmniejszonego poczucia spólnoty wykazać we wszystkich przypadkach nieszczęśliwej miłości i małżeństwa, we wszystkich przypadkach niespełnienia słusznie oczekiwanych funkcyj, a jedynie korektura stylu życiowego może tu przynieść poprawę. Dla mnie nie ulega też wątpliwości, że bagatelizowanie miłości, więc brak poczucia spólnoty, na przykład w chaosie płciowym, spowodowało wtargnięcie chorób płciowych i doprowadziło do zniszczenia życia jednostki, rodzin i szczepów. Jak w życiu nie możnaby znaleźć reguły, bezwzględnie nieomylnej, tak samo istnieją też powody, przemawiające za rozwiązaniem związków miłosnych czy małżeńskich. Nie każdy co prawda posiada tyle zrozumienia, by sam był zdolny do wydania słusznego sądu. Dlatego należałoby tę sprawę powierzyć doświadczonemu psychologowi, od którego można oczekiwać sądu, kierującego się poczuciem spólnoty. Obrona przed nadmiarem dzieci jest również w naszej epoce kwestią, wywołującą silne zainteresowanie. Od czasu, kiedy ludzkość spełniła przypowieść biblijną i rozmnożyła się jak piasek w morzu, musiało mocno osłabnąć poczucie spólnoty ludzi, odnośnie do żądania nieograniczonego potomstwa. Także olbrzymi rozwój techniki uczynił nadmiar rąk roboczych zbytecznym. Pragnienie zdobycia współpracowników znacznie osłabło. Warunki społeczne nie nęcą do dal-

szego szybkiego rozmnażania się ludzi. Zdolność do miłości, spotęgowana do wysokiego stopnia, liczy się więcej niż dawniej z dobrem i zdrowiem matki. Wzrastająca kultura zniosła także dla kobiet granice możności kształcenia się i zainteresowań duchowych. Dzisiejszy stan techniki pozwala mężczyźnie i kobiecie poświęcać więcej czasu kształceniu się i wypoczynkowi, przyjemnościom i wychowaniu dzieci, pozwala na przedłużenie przerwy wypoczynkowej po trudzie pracy. Przerwa ta przedłuży się jeszcze w bliskiej przyszłości, a jeśli zostanie należycie zużytkowana, to przyczyni się znacznie do dobra danej jednostki i jej bliskich. Wszystkie te fakty wpłynęły na to, że obok zadania służenia rozmnożeniu, przydzielono miłości rolę prawie że niezależną od tego zadania, wyższy poziom, spotęgowanie szczęścia, co z pewnością przyczyni się do dobra ludzkości. Ustawy i formuły nie zdołają zahamować tego raz zdobytego postępu rozwoju, który odróżnia wszak także człowieka od zwierzęcia. Rozstrzygnięcie co do liczby urodzeń najlepiej będzie pozostawić całkowicie doświadczonej położnej. W sprawach sztucznego przerwania ciąży, matka i dziecko będą najlepiej chronione, jeśli poza decyzją lekarską, odpowiedni doradca psycholog zbije nieistotne motywy, przytaczane dla przerwania ciąży, natomiast uwzględni istotne i jeśli w poważnym przypadku to przerwanie będzie zawsze dokonywane bezpłatnie w zakładzie.

Celem trafnego wyboru partnera należy jednak obok fizycznej zdatności i pociągu uwzględnić głównie następujące punkty, mające udowodnić, że posiada dostateczny stopień poczucia wspólnoty:

Partner musi dowieść, że umie dochować przyjaźni; musi mieć zainteresowanie dla swojej pracy; musi okazywać więcej zainteresowania dla swojego partnera niż dla siebie.

Lęk przed dziećmi może też mieć powody najzupełniej egoistyczne, które bez względu na swój wyraz, dadzą się ostatecznie sprowadzić zawsze do braku poczucia spólnoty. Tak jest na przykład, jeśli rozpieszczona dziewczyna pragnie w małżeństwie pozostać w dalszym ciągu rozpieszczonym dzieckiem, lub też, jeśli troszcząc się jedynie o swoją powierzchowność, obawia się lub przecenia zniekształcenie wskutek ciąży, jeśli pragnie pozostać bez rywalki, a niekiedy też jeśli zawarła małżeństwo bez miłości. W wielu przypadkach w funkcjach kobiety i jej sprzeciwie rodzenia dzieci, fatalną rolę odgrywa „protest męski". Ta protestująca postawa kobiety przeciw roli wyznaczonej jej przez płeć, którą ja pierwszy opisałem pod mianem „protestu męskiego", wywołująca nieraz zaburzenia w menstruacji i funkcjach w sferze seksualnej, wypływa zawsze z niezadowolenia z roli kobiecej, która już w rodzinie uważana była za podrzędną. Niedoskonałość naszej kultury usiłującej skrycie lub jawnie wyznaczyć kobiecie rangę podrzędną, popiera jeszcze ten błędny pogląd. Wskutek tego może też wystąpienie menstruacji prowadzić w pewnych przypadkach do rozmaitych uskarżań, wywołanych przez duchowy opór dziewczyny, zdradzając wadliwe przygotowanie do współdziałania. „Protest męski" w swych najrozmaitszych formach, wśród których występuje też żądza odegrania roli mężczyzny, mogąca prowadzić do miłości lesbijskiej, należy przeto rozumieć jako kompleks wyższości, powstający ponad kompleksem niepełnowartości: „Tylko dziewczyna".

W okresie należącym do miłości, uwidoczniają się równocześnie, przy wadliwym przygotowaniu do zawodu i obcowania z ludźmi, także inne formy odwrotu od zainteresowań społecznych. Najcięższa forma występuje zapewne w obłędzie młodocianym, niemal całkowitym zamknięciu się przed wymaganiami życia spo-

łecznego. Ta choroba psychiczna pozostaje w związku z niepełnowartością organów, jak to stwierdził Kretschmer. Jego wykazy uzupełniają moje skonstatowanie znaczenia ciężaru organicznego na początku życia, jakkolwiek autor nie uwzględnił znaczenia takich organów niepełnowartościowych dla budowy stylu życiowego, jak to robi psychologia indywidualna. Pod nieustannym naciskiem warunków zewnętrznych, wymagających przygotowania do współpracy, występuje też coraz częściej newroza, oraz samobójstwo, jako całkowity odwrót, a równocześnie zupełne potępienie wymagań życia w celu mniej czy więcej wrogim. Pijaństwo jako fortel do uwolnienia się w sposób niespołeczny od społecznych wymagań, a tak samo morfinizm i kokainizm są pokusami, którym człowiek pozbawiony poczucia spólnoty, uciekający od problemów społecznych, o ile występują z większą siłą, tylko z trudem potrafi się oprzeć. Posiadając dostateczną wprawę w tych sprawach, można u takich ludzi wykazać zawsze wielkie pragnienie rozpieszczania i ułatwiania sobie życia. To samo odnosi się do wielkiej liczby przestępców, u których brak poczucia spólnoty przy istniejącej aktywności, a równocześnie brak odwagi ujawnia się jasno już w dziecięctwie. Nic dziwnego, że w tym samym czasie występują też wyraźniej perwersje, które dane jednostki najczęściej przypisują dziedziczności i podobnie jak wielu autorów uważają perwersne zjawiska w dziecięctwie za wrodzone lub nabyte pod wpływem jakiegoś przeżycia, gdy w rzeczywistości okazuje się, że są śladami trenowania w fałszywym kierunku, a równocześnie i zawsze wyraźnymi oznakami braku poczucia spólnoty, występującego dość jasno także w innych sferach ich życia [1]).

---

[1]) Adler, Problem der Homosexualität, S. Hirzel Lipsk.

Dalsze próby co do stopnia poczucia spólnoty następują w pożyciu małżeńskim, w wykonywaniu zawodu, po utracie ukochanej osoby, wskutek czego jednostka dotknięta tą stratą wyrzeka się całego świata, o ile już wpierw nie brała w nim udziału, przy stracie majątku i wszelkiego rodzaju rozczarowaniach, w których przejawia się niezdolność rozpieszczonej jednostki do utrzymania zgody z całością w sytuacji napiętej. Również utrata stanowiska skłania wielu nie do przyłączenia się do społeczności, celem usuwania złego wspólnymi siłami, lecz wtrąca ich w chaos i zmusza do działania przeciw społeczności.

Wspomnę jeszcze o ostatniej próbie, którą jest lęk przed starością i śmiercią. Nie będzie się ich lękał człowiek, pewny swojego dalszego trwania w obrazie swych dzieci i świadom swego wkładu do powiększenia kultury. Niezwykle często spotyka się jednak szybki zanik fizyczny i wstrząs psychiczny jako oczywiste wyrazy lęku przed całkowitym unicestwieniem. Zwłaszcza często spotyka się kobiety przerażone do najwyższego stopnia przesądem, dotyczącym niebezpieczeństw klimakterium. Przede wszystkim te, które nie we współdziałaniu, lecz w młodości i piękności upatrywały wartość kobiety, cierpią w sposób uderzający, a często we wrogiej obronie, jakby przed wyrządzoną im krzywdą wpadają w rozstrój, mogący się przeobrazić w melancholię. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w osiągniętym dotychczas poziomie naszej kultury nie stworzono jeszcze odpowiedniego miejsca dla starzejących się mężczyzn i kobiet. Umożliwienie, a przynajmniej stworzenie dla siebie tego miejsca jest niezłomnym prawem starzejących się ludzi. Niestety, u wielu uwidocznia się w tym czasie granica ich woli do współpracy. Mają przesadne pojęcie o swojej ważności, chcą wszystko rozumieć lepiej, trwają w poczuciu wyrządzonej im

krzywdy, przeszkadzając w ten sposób innym i przyczyniając się jeszcze do wytworzenia owej atmosfery, której się może dawniej zawsze obawiali.

Przy pewnym doświadczeniu i spokojnym, przyjaznym zastanowieniu powinien każdy zrozumieć, że zagadnienia życia poddają nas istotnie bezustannemu egzaminowi ze stopnia naszego poczucia spólnoty, przy którym zostajemy uznani lub odrzuceni.

IV.

ZAGADNIENIE PSYCHO-FIZJOLOGICZNE

Nie może już dziś ulegać wątpliwości, że wszystko, co określamy jako ciało, wykazuje dążenie do stania się całością. Na ogół można pod tym względem porównać atom z żywą komórką. Jedno i drugie posiada utajone i przejawiające się siły, powodujące częściowo zaokrąglenie i ograniczenie, częściowo powstawanie innych części. Główna różnica tkwi zapewne w przemianie materii komórki, w przeciwieństwie do samowystarczalności atomu. Nawet ruch wewnątrz i zewnątrz komórki i atomu nie przedstawia zasadniczych różnic. Także elektrony nie pozostają nigdy w stanie spoczynku, a wbrew założeniu Freuda w jego idei pragnienia śmierci, nigdzie w naturze nie można napotkać dążenia do tego stanu. Najwyraźniejszą różnicą między atomem a komórką jest proces asymilowania i wydzielania żyjącej komórki, powodującej wzrost, zachowanie kształtu, rozmnażanie i dążenie do idealnej formy ostatecznej. [1]).

Gdyby żywa komórka, niezależnie od jej pochodzenia, została była umieszczona w idealnym środowisku, które byłoby jej bez trudu zabezpieczyło wieczne samozachowanie — fakt, nie dający się wprawdzie pomyśleć — to była by pozostała niezmienioną. Pod na-

---

[1]) S. Smuts, Wholeness and Evolution, Londyn, Mc. Millan Co.

ciskiem trudności, które w najprostszym przypadku można sobie wyobrazić niemal uchwytnie, zmuszone było to, czego nie rozumiejąc, nazywamy procesem życiowym, szukać jakichś sposobów zaradczych. Tkwiące w naturze, zapewne także w amebie istniejące tysiączne rozmaitości, zbliżają do powodzenia jednostki korzystniej umieszczone i pozwalają im znaleźć lepszą formę, a tym samym lepsze przystosowanie. W ciągu bilionów lat istnienia życia na tej ziemi starczyło widocznie czasu, by z procesu życiowego najprostszych komórek ukształtował się człowiek, a miriady żyjących istot, które nie zdołały sprostać gwałtowności ataków swojego otoczenia, zostały skazane na zagładę.

W tym ujęciu, łączącym zasadnicze poglądy Darwina i Lamarcka, musimy „proces życiowy" uważać za dążenie, którego kierunek w prądzie ewolucji zależny jest od wiecznego celu przystosowania do żądań świata zewnętrznego.

W tej dążności do celu, nie mogącej nigdy dojść do spoczywającego wyrównania, gdyż istoty stworzone przez świat zewnętrzny nie mogą widocznie dać pełnej odpowiedzi na jego siły żądające i pytające, musiała się też rozwinąć owa zdolność, którą my, rozpatrując ją z rozmaitych stron, nazywamy duszą, umysłem, psychą, rozumem, obejmującymi wszystkie inne „zdolności duchowe". A jakkolwiek przy rozpatrywaniu procesu duchowego poruszamy się na gruncie transcendentalnym, to jednak, kontynuując nasz pogląd możemy twierdzić, że dusza, jako przynależna do procesu życiowego, cokolwiek rozumiemy pod tym procesem, musi wykazywać ten sam charakter zasadniczy co macierz, żywa komórka, z której wyszła. Ten zasadniczy charakter występuje przede wszystkim w wysiłku zwycięskiego załatwienia się z żądaniami świata zewnętrznego, przezwyciężenia śmierci, dążenia do ide-

alnej, odpowiedniej formy ostatecznej i osiągnięcia wspólnie z przygotowanymi do tego w ewolucji siłami ciała, celu wyższości, doskonałości, bezpieczeństwa, przy wzajemnym oddziaływaniu i pomocy. Jak w ewolucyjnym rozwoju ciała, tak też w rozwoju duchowym stale wskazany jest kierunek, w jakim przez należyte rozwiązanie zadań świata zewnętrznego dochodzi się do przezwyciężenia ich trudności. Wszelkie niewłaściwe rozwiązanie, czy to przez nieodpowiedni rozwój fizyczny lub duchowy, wykazuje swój brak zdolności przez klęskę, mogącą doprowadzić aż do unicestwienia i zniszczenia błądzącej jednostki. Proces jednostki może sięgnąć poza jednostkę i przynieść szkodę jej poszczególnym członkom, potomstwu, a rodziny, plemiona, ludy i rasy wplątać we większe trudności. Często, jak zawsze bywa w ewolucji, trudności te mogą przez ich przezwyciężenie prowadzić do większych zwycięstw i większej siły oporu. Jednakowoż całe hekatomby roślin, zwierząt i ludzi padły ofiarą tego okrutnego procesu samooczyszczania. Co obecnie wydaje się przeciętnie zdolnym do oporu, to na razie przebyło próbę zwycięsko. [1]). Z tego rozpatrywania wynika, że w procesie fizycznym mamy do czynienia z usiłowaniem, mającym utrzymać ciało niemal w równowadze do jego wyczynów, by mogło zmierzyć się zwycięsko z wymaganiami świata zewnętrznego, jego poparciem i przeszkodami. Oglądając te procesy jednostronnie, dochodzi się do pojęcia o „mądrości ciała“ [2]). Ale także proces duchowy jest zmuszony zdecydować się na tę mądrość, która mu umożliwia zwycięskie rozwiązywa-

---

[1])Patrz: Adler w „Heilen und Bilden“ III wyd. Bergmann, Monachium.

[2])Patrz: Cannon, The wisdom of the body, Norton and Co. Nowy Jork.

nie problemów świata zewnętrznego, na korzyść zawsze czynnej równowagi ciała i duszy. O równowagę stara się w pewnych granicach osiągnięty stopień ewolucji, a o aktywność, znaleziony w dziecięctwie cel wyższości, styl życiowy, prawo ruchu jednostki.

Podstawowym prawem życia jest przezwyciężenie. Przezwyciężeniu służy dążenie do samozachowania, do równowagi cielesnej i duchowej, wzrost cielesny i duchowy i dążenie do dokonania.

W dążeniu do samozachowania mieści się zrozumienie i unikanie niebezpieczeństw, rozmnażanie, jako ewolucyjna droga do trwania części cielesnej poza śmierć osobistą, współpraca nad rozwojem ludzkości, w której duch współpracujących jest nieśmiertelny, oraz uspołeczniona praca wszystkich współuczestników, wiodąca do tych wszystkich wymienionych celów.

Cudowne dzieło ewolucji wykazuje, w jaki sposób ciało stara się ciągle o równoczesne utrzymanie, uzupełnienie i zastąpienie wszystkich części ważnych dla życia. Krzepnięcie krwi przy krwawiących ranach, zabezpieczone w szerokich granicach utrzymanie wody, cukru, wapna, ciał białkowatych, regeneracji krwi i komórek, współpraca gruczołów o wydzielaniu wewnętrznym są produktami ewolucji i dowodzą siły odpornej organizmu wobec szkodliwych wpływów zewnętrznych. Utrzymanie i wzmożenie tej odporności jest następstwem daleko idącego mieszania się krwi, przy którym braki mogą być zmniejszone, korzyści zachowane i zwiększone. Uspołecznienie ludzi, spólnota, zaznaczyły się także tutaj pomocnie i zwycięsko. Usunięcie kazirodztwa było więc tylko czymś samo przez się zrozumiałym w dążeniu do spólnoty.

Równowaga duchowa jest stale zagrożona. W dążeniu do dokonania człowiek jest zawsze duchowo po-

ruszony i czuje swój brak harmonii wobec celu doskonałości. Jedynie poczucie, że osiągnął dostateczne miejsce w dążeniu wzwyż, zdoła mu dać uczucie spokoju, wartości, szczęścia. W najbliższej chwili znów go pociąga jego cel. Teraz staje się jasnym, że być człowiekiem, znaczy posiadać poczucie niepełnowartości, prące ustawicznie do przezwyciężenia go. Kierunek poszukiwanego przezwyciężenia jest tak samo przerozmaity jak cel poszukiwanej doskonałości. Im większe i głębiej przeżywane jest poczucie niepełnowartości, tym gwałtowniejszy pęd do przezwyciężenia, tym silniejsze wzburzenie uczuć. Gwałtowny napór uczuć, wzruszeń i afektów nie pozostaje jednak bez oddziaływania na równowagę cielesną. Na drodze wegetatywnego systemu nerwów, *nervus vagus*, zmian w wydzielaniu wewnętrznym, ciało wykonuje ruchy, mogące się wyrazić zmianami w krążeniu krwi, wydzielin, napięciu mięśni i prawie wszystkich organów. Jako zjawiska przemijające, zmiany te są naturalne, okazują się tylko różne w swym ukształtowaniu, zależnie od stylu życiowego danego osobnika. Jeśli są trwałe, to mówi się o czynnościowych newrozach organów, które, tak samo jak newrozy psychiczne zawdzięczają swe powstanie stylowi życiowemu, skłonnemu w razie niemożności sprostania, przy silniejszym poczuciu niepełnowartości, do odwrotu od danego zagadnienia i do zabezpieczenia sobie tego odwrotu przez zachowanie powstałych objawów wstrząsu czy to cielesnych, czy duchowych. W ten sposób proces duchowy oddziaływa na ciało. Ale także na samą sferę duchową, spowodowując tam wszelkie chybienia duchowe, czyny i zaniedbania, wrogie wymaganiom spólnoty.

Tak samo stan ciała oddziałuje na proces duchowy. Podług naszych doświadczeń, styl duchowy ukształto-

wuje się w najwcześniejszym dziecięctwie. Największy wpływ wywiera tu przyrodzony stan fizyczny. Dziecko przeżywa w swych początkowych ruchach i czynach uprawomocnienie swoich organów cielesnych. Przeżywa je, lecz długo jeszcze nie ma dla nich słów ni pojęć. Wobec tego, że zachowanie się otoczenia jest całkowicie różne, pozostaje stale niewiadomym, jak na przykład dziecko odczuwa swoją sprawność. Z wielką ostrożnością i na podstawie doświadczenia statystycznego prawdopodobieństwa wolno z naszej wiedzy o niepełnowartości organów, o aparacie trawienia, krążeniu krwi, organach oddychania, organach wydzielania wewnętrznego, gruczołów dokrewnych, organów zmysłów wysnuć wniosek, że w początkach życia dziecko przeżywa swoje przeciążenie. W jaki jednak sposób usiłuje sobie poradzić, tego nie można wyrozumieć inaczej, jak tylko z jego ruchów i prób. Wszelkie rozważanie przyczynowe jest tu bowiem daremne. Tu wyładowuje się twórcza siła dziecka. Z dążeń w nieobliczalnej przestrzeni jego możliwości, wynika dla dziecka z prób i błędów trening i ogólna droga ku celowi doskonałości, które zdają się prowadzić je do dokonania. Czy w czynnym dążeniu, czy w biernym trwaniu, rządząc czy służąc, zdolne do kontaktu czy samolubne, odważne czy tchórzliwe, różne w rytmie i temperamencie, łatwo pobudliwe czy tępe, w rzekomej zgodzie ze swoim otoczeniem, które rozumie po swojemu i odpowiada mu — dziecko rozstrzyga na całe życie i rozwija swoje prawo ruchu. A wszystkie drogi do celu przezwyciężenia są dla każdej jednostki inne i wykazują tysiące odcieni; brak nam też słów do określenia w każdym przypadku czegoś więcej ponad rys charakterystyczny i jesteśmy zmuszeni uciekać się do obszernych opisów.

Bez wglądu psychologii indywidualnej, jednostka

sama nie potrafi chyba nigdy określić jasno, dokąd zmierza. Często mówi coś wręcz przeciwnego. Dopiero odkrycie jej prawa ruchu daje nam wyjaśnienie. Natrafiamy przy tym na sens, na znaczenie gestów, mogących być słowami, myślami, uczuciami i czynami. Jak silnie jednak także ciało podlega temu prawu ruchu, zdradza sens jego czynności, język, najczęściej wyrazistszy, dokładniej ujawniający znaczenie, niż potrafią słowa, ale bądź co bądź jest to język ciała, który nazwałem dialektem organów. Na przykład dziecko, zachowujące się posłusznie, lecz w nocy moczące w łóżku, wyraźnie daje tym do poznania, że nie chce podporządkować się ustanowionej kulturze. Człowiek podający się za odważnego i może nawet wierzący w swoją odwagę, przejawia jednak swym drżeniem i biciem serca, że stracił równowagę.

Trzydziestodwuletnia mężatka uskarża się na gwałtowny ból koło lewego oka i na podwójne widzenie, co ją zmusza do zamykania lewego oka. Te przypadłości miała pacjentka od jedenastu lat — po raz pierwszy po zaręczeniu się ze swym obecnym mężem. Tym razem atak przyszedł przed siedmiu miesiącami; bóle nie zjawiły się na razie, ale podwójne widzenie trwa. Ten ostatni atak sprowadza do zimnej kąpieli i obstaje przy twierdzeniu, że także poprzednie ataki były wywołane przez przeciąg. Młodszy brat cierpi na podobne przypadłości, którym towarzyszy podwójne widzenie, a tak samo matka, wskutek przebytej grypy. Przy poprzednich atakach bóle występowały także po prawej stronie lub na zmianę po jednej i drugiej stronie.

Przed zamążpójściem udzielała lekcji muzyki, grywała też na koncertach i lubiła swój zawód, który porzuciła, wyszedłszy za mąż. Obecnie, chcąc, jak twierdzi, być bliżej lekarza, żyje przy rodzinie swojego szwagra i czuje się tam szczęśliwa.

Charakteryzuje swoją rodzinę, zwłaszcza ojca, siebie i kilku członków rodzeństwa jako ludzi popędliwych i wybuchowych. Dodajmy jeszcze — co potwierdzają jej odpowiedzi — że wszyscy są żądni władzy, a okaże się, że mamy przed sobą ów typ, który opisałem jako skłonny do bólu głowy, migreny, newralgii, nerwu trójdzielnego i do ataków zbliżonych do epilepsji. (Patrz przede wszystkim: „Praxis und Theorie der Individualpsychologie", 4 wyd. l. c.).

Pacjentka uskarża się także na parcie na mocz, występujące zawsze pod wpływem nerwowego podniecenia, wywołanego oczekiwaniem gości, spotkań z obcymi ludźmi itd.

W swojej pracy o psychicznym pochodzeniu newralgii nerwu trójdzielnego wskazałem, że w przypadkach organicznie nieuzasadnionych, napotyka się zawsze wzmożone napięcie emocjonalne, wyrażające się łatwo wszelkimi objawami nerwowymi, stwierdzonymi w podanym przykładzie. Na drodze wzburzenia naczynio - ruchowego, jak również podniecenia układu współczulno-adrenalinowego w miejscach ulubionych, bardzo prawdopodobnie wskutek zmiany w naczyniach krwionośnych i dopływu krwi, objawy te mogą wywołać ból, ale także zjawiska porażenia. Wyraziłem też wtedy przypuszczenie, że asymetrie czaszki, połówek twarzy, żył i tętnic głowy są zdradzieckimi oznakami, że także wewnątrz czaszki, w błonach mózgowych, a zapewne także w mózgu można by znaleźć takie asymetrie, dotyczące prawdopodobnie przebiegu i rozmiarów tamtych żył i tętnic; może także towarzyszące i blisko leżące włókna nerwowe i komórki wykazują w jednej połowie twarzy słabszy rozwój. Specjalną uwagę należałoby następnie zwrócić na przebieg kanałów nerwowych, które z pewnością też asymetryczne, mogłyby się okazać zbyt ciasne przy rozszerzeniu

żył i tętnic po jednej stronie. Że przy emocjach, zwłaszcza pod wpływem gniewu, ale także radości, lęku i zgryzoty, zmienia się objętość naczyń, to można poznać po kolorze twarzy, a przy gniewie, po występujących żyłach czaszki. Nasuwa się przypuszczenie, że takie zmiany dokonują się także w głębiej leżących warstwach. Potrzeba jeszcze wielu badań do wyjaśnienia tych wszystkich komplikacyj, jakie tu wchodzą w grę.

O ile nam się jednak uda, także w tym przypadku wykazać nie tylko pochopność do gniewu, wytwarzaną przez żądny władzy styl życiowy, lecz także moment egzogeniczny, który poprzedził atak, najsilniejszy wśród dotychczasowych, jeśli zdołamy stwierdzić trwałe napięcie duchowe od najwcześniejszego dziecięctwa, kompleks niepełnowartości i kompleks wyższości, brak zainteresowania dla innych, miłość własną zarówno w jej życiu obecnym jak również we wspomnieniach i marzeniach, i jeśli w dodatku stosowanie metod psychologii indywidualnej zostanie uwieńczone powodzeniem, może nawet stałym, to będzie to dalszym dowodem, że takie schorzenia jak nerwowy ból głowy, migrena, newralgia nerwu trójdzielnego i ataki zbliżone do epilepsji, o ile nie da się wykazać przeszkód organicznych, nadają się może do trwałego wyleczenia przez zmianę stylu życiowego, przez zmniejszenie napięcia duchowego, przez spotęgowanie poczucia wspólnoty.

Parcie na mocz z powodu wizyt daje nam już obraz osoby nazbyt pobudliwej, a przyczyna tego parcia, podobnie jak przyczyna jąkania się i innych nerwowych przeszkód i charakterystycznych rysów, a także tremy wywołanej przez światła kinkietów jest natury egzogenicznej, wypływając ze spotkania z innymi ludźmi. Ujawnia się tu także wzmożone poczucie niepełnowartości. Kto posiada zrozumienie, jakie daje psy-

chologia indywidualna, spostrzeże też łatwo zależność od sądu drugich, a zatem spotęgowane dążenie do uznania i osobistej wyższości. Pacjentka sama przyznaje, że nie ma specjalnego zainteresowania dla drugich. Twierdzi, że nie jest trwożliwa, że bez wysiłku może też rozmawiać z drugimi, w swojej wielomowności przekracza jednak zwykłą miarę i prawie mnie nie dopuszcza do słowa, co jest niezawodną oznaką jej skłonności do gorączkowego opowiadania o sobie. W małżeństwie jest oczywiście osobą rządzącą, ale jej żądza władzy rozbija się o indolencję i potrzebę wypoczynku męża, który ciężko pracuje i wieczorem wraca do domu zmęczony, nie mając ochoty do wychodzenia z żoną na przechadzkę lub do szukania rozrywek. Mając grać publicznie, czuła zawsze silną tremę. Na moje zapytanie, które polecam jako bardzo ważkie, co by zrobiła, gdyby była zdrowa — pytanie, wywołujące odpowiedź, która dokładnie ujawnia, przed czym, pacjenci się cofają — moja pacjentka odpowiada wymijająco, wskazując na stały ból głowy. Na jej lewej brwi widnieje głęboka blizna po operacji zatoki sitowej, po której to operacji bardzo rychło nastąpił znowu atak migreny. Pacjentka twierdzi stanowczo i niezachwianie, że zimno w każdej formie szkodzi jej i może spowodować ataki. Mimo to przed ostatnim atakiem wzięła zimną kąpiel, która, jak sądzi, przyspieszyła atak. Ataków tych nie poprzedza jednakowa aura. Niekiedy, ale nie zawsze rozpoczynają się od mdłości. Rozmaici lekarze gruntownie ją badali, lecz nie odkryli żadnych zmian organicznych. Badania roentgenologiczne czaszki, krwi, moczu wypadły negatywnie. Stan macicy: niedorozwój, a n t e v e r s i o i a n t e f l e x i o. W pracy „Studie über Minderwertigkeit von Organen" wskazałem, że u neurasteników spotyka się często nie tylko niepełnowartości organiczne, co potwierdzają wy-

niki badań Kretschmera, lecz podkreśliłem także, że przy niepełnowartościach organicznych, należy zawsze oczekiwać niepełnowartości organów seksualnych, co udowodnił przedwcześnie niestety zmarły Kyrle. Oto odnośny przykład:

Okazało się, że pacjentka przeżywszy najokropniejszy strach przy przyjściu na świat młodszej siostry, czuła od tego czasu szalony lęk przed rodzeniem dzieci. Potwierdza to moje ostrzeżenia przed przedwczesnym uświadamianiem dzieci co do spraw seksualnych, zanim się ma pewność, że potrafią je należycie zrozumieć i strawić. Kiedy pacjentka moja miała jedenaście lat, ojciec obwinił ją niesłusznie, że miała stosunek płciowy z synem sąsiada. Także to skierowanie jej uwagi na stosunek płciowy, w połączeniu z przeżytym strachem i trwogą spotęgowało jej protest przeciw miłości, który w pożyciu małżeńskim przejawiał się jako oziębłość. Przed zawarciem małżeństwa żądała od narzeczonego zobowiązania, że na stałe wyrzeka się dzieci. Ataki migreny i ustawiczny lęk przed zajściem w ciążę umożliwiały jej ograniczenie obcowania płciowego w małżeństwie do minimum. Jak często u dziewcząt bardzo ambitnych, jej stosunki miłosne kształtowały się jakoś opornie, gdyż przeżywała je błędnie jako poniżenie kobiety, w ciężkim poczuciu niepełnowartości, popieranym przez zacofanie naszej kultury.

Poczucie niepełnowartości i kompleks niepełnowartości, ten podstawowy pogląd psychologii indywidualnej, będący kiedyś dla psychoanalityków czerwoną chustą, podobnie jak męski protest, został już całkowicie przyjęty przez Freuda i słabo tylko wciśnięty w jego system. Czego jednak szkoła ta dotąd nie zrozumiała, to faktu, że taka dziewczyna pozostaje pod ustawicznym naciskiem wzruszeń protestujących, które wprawiają w wibrację ciało i duszę i za każdym razem, je-

dynie w przypadku czynnika egzogenicznego, przy badaniu stopnia poczucia spólnoty, występują jako ostre objawy.

W danym przypadku przejawem jest migrena i parcie na mocz. Jako objaw trwały istnieje od chwili jej małżeństwa obawa przed zajściem w ciążę i oziębłość. Sądzę, że w dużej mierze wytłómaczyłem napady migreny u tej kobiety żądnej władzy i wybuchowej — a zdaje się, że tylko takie osoby, u których istnieje ponadto opisana asymetria, mogą cierpieć na migrenę i podobne przypadłości — pozostaje mi jednak wykazać jeszcze ów czynnik egzogeniczny, który spowodował ostatni, tak niezwykle ciężki atak. Nie mogę zaprzeczyć w zupełności, że w danym przypadku zimna kąpiel doprowadziła do ataku, jestem jednak zdumiony, że pacjentka, wiedząca tak dokładnie i od tak dawna, że szkodzi jej zimno, przed siedmiu miesiącami tak pochopnie weszła do zimnej wody, nie myśląc — jak twierdzi — o niebezpieczeństwie. Czyżby wezbrało było wtedy jej gniewne uniesienie? Czy może atak był dla niej wtedy pożądany? Czy chodziło może o partnera, na przykład miłującego ją męża, którego chciała właśnie ugodzić i dlatego wzięła zimną kąpiel, niby człowiek chcący popełnić samobójstwo przez zemstę, dla ukarania osoby przywiązanej do niego? Czy wciąż jeszcze sroży się na siebie, ponieważ sroży się na drugiego? Czy zagłębia się w lekturze o migrenie, biega do lekarzy i utwierdza się w przekonaniu, że nigdy nie może być zdrową, by w ten sposób opóźnić rozwiązanie swych zagadnień życiowych, których się boi z powodu niedostatecznego poczucia wspólnoty?

Szanuje wprawdzie swojego męża, ale daleka jest od miłości i nigdy też nie kochała prawdziwie. Na kilkakrotnie postawione zapytanie, co by zrobiła, gdyby została trwale uleczoną, odpowiada na koniec, że po-

rzuciłaby prowincję i osiadła w wielkim mieście, by uczyć gry na skrzypcach i grać w orkiestrze. Kto dzięki psychologii indywidualnej zdobył sztukę odgadywania, wywnioskuje bez trudności, że oznaczałoby to rozłączenie z mężem, związanym z prowincją. Dowód potwierdzający, podany poprzednio: jak dobrze czuje się w domu swojej bratowej, oraz zarzuty stawiane mężowi. Wobec tego, że mąż ją uwielbia i daje jej też niezrównaną sposobność puszczania cugli jej żądzy władzy, jest jej oczywiście bardzo trudno rozłączyć się z nim. Ostrzegałbym przed ułatwieniem jej rozłąki przez odnośne rady i dobre słowa. Przede wszystkim muszę ostrzec przed zalecaniem w podobnej sytuacji, by sobie kobieta wzięła kochanka. Tacy pacjenci wiedzą dobrze co jest miłość, lecz tego nie rozumieją i naraziliby się tylko na ciężkie rozczarowania, a całą odpowiedzialność zwalili na lekarza, gdyby posłuchali jego rady. Zadanie w danym przypadku polega na tym, by tę kobietę lepiej uzdolnić do jej małżeństwa. Przedtem trzeba jednak usunąć błędy z jej stylu życiowego.

Po dokładnym zbadaniu skonstatowanie: Lewa połowa twarzy nieco mniejsza od prawej. Dlatego koniuszek nosa skierowany trochę na lewo. Lewe, chwilowo chore oko wykazuje węższą szparę oczną niż prawe. Dlaczego pacjentka wskazuje czasem na występowanie objawu także po prawej stronie, nie mogę na razie wytłómaczyć. Może się myli.

Sen: „Byłam z szwagrową i starszą siostrą w teatrze. Powiedziałam im, by trochę zaczekały, a pokażę się im na scenie". Wytłómaczenie: Zawsze stara się popisywać przed swymi krewnymi. Sądzi, że rodzina nie docenia jej. Dowodzi to również słuszności uzasadnianej przeze mnie teorii niepełnowartości organów z kompensatą duchową, stanu, (należy to raz stwierdzić), na

którym opierają się wyniki Kretschmera i Jaenscha. Nie ulega wątpliwości, że w aparacie wzrocznym tej kobiety, coś nie jest w porządku. Tak samo u jej brata, cierpiącego na tę samą chorobę. Czy jest w tym także coś więcej ponad anomalie naczyniowe lub drogowe, o tym rozstrzygać nie mogę. Visus jest podobno normalny a tak samo przemiana podstawowa. Gruczoł tarczykowy nie wykazuje zmian zewnętrznych. Sen o teatrze i ukazaniu się na scenie mówią jasno o typie człowieka wizualnego, dbającego o zjawisko zewnętrzne. Jej małżeństwo, miejsce pobytu na prowincji nie pozwalają jej pokazywać się publicznie. Taką samą przeszkodą byłaby ciąża i dziecko.

Całkowite wyleczenie dokonało się w ciągu miesiąca. Przedtem doszło do wytłómaczenia czynnika egzogenicznego, który spowodował ostatni atak. Znalazła w kieszeni surduta męża list dziewczyny, zawierający tylko krótkie pozdrowienie. Mąż potrafił rozprószyć jej podejrzenie. Niemniej zachowała podejrzliwy nastrój, podsycała w sobie nieznaną jej przedtem zazdrość i pilnowała męża. Na ten okres przypadła owa zimna kąpiel i początek ataku. Jeden z ostatnich snów, już po stwierdzeniu jej zazdrości i zranionej próżności, świadczy jeszcze o dalszym trwaniu zazdrości i wskazuje na ostrożność i nieufność w stosunku do męża. Śniło się jej mianowicie o kocie, który porwał rybę i uciekł z nią. Za kotem biegła jakaś kobieta, usiłująca wyrwać mu rybę. Wytłómaczenie jasne, nie wymagające dalszego wyjaśnienia. W formie przenośni, w której wszystko brzmi silniej, stara się wprawić w najwyższy gniew za analogiczne porwanie jej męża. Z dłuższej rozmowy wynika, że nigdy nie była zazdrosna, gdyż duma nie pozwalała jej na tę niewłaściwość, że jednak od odkrycia owego listu rozważała możliwość niewierności męża. Przy rozważaniu tej możliwości, potęgowała się

jej złość — z powodu rzekomej zależności kobiety od mężczyzny. Zimna kąpiel była więc istotnie zemstą jej stylu życiowego wobec stwierdzonego — jak sądziła — uzależnienia jej wartości od męża i niedostatecznego z jego strony uznania jej wartości. Gdyby nie ów atak migreny — następstwo doznanego wstrząsu — musiałaby się była uważać za bezwartościową. To byłoby jednak najstraszniejsze ze wszystkiego.

V.

KSZTAŁT CIAŁA, RUCH I CHARAKTER.

Omówimy teraz trzy formy zjawiska, występującego u gatunku ludzkiego: kształt ciała, ruch i charakter, podług ich wartości i odnośnie do ich znaczenia. Naukowa znajomość człowieka musi oczywiście opierać się na doświadczeniach. Samo nagromadzenie faktów nie jest jednak jeszcze nauką. Jest ono raczej stopniem przedwstępnym do nauki, a zgromadzony materiał wymaga dostatecznego uszeregowania i ujęcia we wspólną zasadę. Że gniewnie podniesiona pięść i zgrzytanie zębami, z wściekłością rzucane spojrzenia, głośne złorzeczenia itd. są ruchami odpowiadającymi atakowi, stwierdzenie tego stało się tak bardzo *common sense,* że dla ludzkiego pędu badania, zbliżenia się do prawdy — co stanowi istotę nauki — nie pozostaje w tym obrębie żadne zadanie do spełnienia. O nauce ma się prawo mówić dopiero wtedy, gdy uda się te i inne przejawy ująć w związek ściślejszy, dotychczas nieodkryty, gdzie otwierają się nowe punkty widzenia, dotychczasowe problemy ukazują się jako rozwiązane lub wyłaniają się przed nami.

Kształt organów ludzkich, a także zewnętrzny kształt człowieka pozostają w pewnej zgodności z jego trybem życia i swój zasadniczy ogólny zarys zawdzięczają procesowi przystosowania do warunków zewnętrznych, niezmiennych przez długie okresy czasu.

Stopień przystosowania wykazuje miliony odmian, a forma tego staje się widoczną dopiero po przekroczeniu jakiejś dostrzegalnej granicy. Na tę podstawę ludzkiego rozwoju kształtów oddziałuje co prawda jeszcze cały szereg innych czynników, z których wymienię:

1. Zanik pewnych odmian, dla których przejściowo lub trwale nie istnieją możliwości życia. Tu wkracza nie tylko prawo organicznego przystosowania, lecz także błędne formy trybu życia, które nadmiernie obciążyły większe czy mniejsze grupy (wojna, złe rządy, brak przystosowania społecznego itd). Będziemy więc musieli, poza skostniałymi prawami dziedziczności, na przykład podług reguły Mendla, uwzględnić jeszcze także wpływ, jakiemu wartości organów i kształtów uległy w procesie przystosowania. Stosunek kształtu do obciążeń indywidualnych i ogólnych da się wyrazić jako wartość czynnościowa.

2. Dobór płciowy. Wskutek wzrastającej kultury i wzmożonej komunikacji zdaje się zmierzać do upodobnienia formy, typu i w mniejszym czy większym stopniu ulega wpływowi zrozumienia biologicznego, lekarskiego, a także pozostającego z nim w związku poczucia estetycznego, podlegając oczywiście przeobrażeniom i omyłkom. Ideały piękna, jak atleta, hermafrodyta, bujność kształtów, smukłość, wykazują zmienność tych wpływów, w znacznej mierze wywoływaną przez sztukę.

3. Korelacja organów. Pozostają do siebie, wraz z gruczołami o wewnętrznym wydzielaniu (gruczoł tarczykowy, gruczoły płciowe, przynercze, przysadka mózgowa) jakby w tajemnym związku i mogą się wzajem wspierać lub wzajem sobie szkodzić. Tym się tłómaczy, że mogą istnieć formy, które oddzielnie byłyby skazane na zanik, natomiast w swoim związku nie psują zasad-

niczo ogólnej czynnościowej wartości jednostki. W tym działaniu totalnym wybitną rolę odgrywa układ nerwów obwodowych i centralnych, gdyż w związku z układem wegetatywnym wykazuje w swych czynnościach wielką zdolność potęgowania, a we własnym treningu fizycznym i duchowym potrafi podnieść ogólną czynnościową wartość jednostki. Tej właśnie okoliczności zawdzięcza się, że nawet atypowe, wręcz wadliwe formy, nie muszą żadną miarą zagrażać istnieniu jednostek i pokoleń, które czerpią kompensatę z innych źródeł siły, dzięki czemu ogólny bilans jednostki może utrzymać się w równowadze, a czasem nawet wykazać nadwyżkę. Nieuprzedzone badanie ujawni wprawdzie, że wśród ludzi najwybitniejszych, nie zawsze spotyka się właśnie najpiękniejszych. To też nasuwa myśl, że indywidualna eugenika ras czy ludów mogłaby tylko w bardzo ograniczonej mierze stworzyć wartości, a byłaby obciążona takim mnóstwem skomplikowanych czynników, że błędny sąd byłby znacznie prawdopodobniejszy niż pewny wniosek. Nawet najpewniejsza statystyka nie mogłaby żadną miarą być decydującą dla poszczególnego przypadku.

Średnio krótkowzroczne oko w swej wydłużonej budowie jest przeważnie niezaprzeczoną korzyścią w naszej kulturze, wymagającej pracy z bliska, gdyż niemal wyklucza zmęczenie oka. Mańkuctwo, obejmujące blisko 40% ludzi jest z pewnością niekorzystne w kulturze, nastawionej na wykonywanie pracy prawą ręką. Mimo to napotykamy wśród najlepszych rysowników i malarzy, wśród ludzi o najzręczniejszych rękach, uderzającą liczbę mańkutów, którzy swymi lepiej wyćwiczonymi rękami wykonują pracę mistrzowską. Ludziom grubym i chudym zagrażają rozmaite, lecz co do swego ciężaru niemal równe niebezpieczeństwa, po-

mimo, że ze stanowiska estetyki i medycyny szala przechyla się raczej na korzyść smukłych. Krótka, szeroka ręka średniej wielkości wydaje się niewątpliwie odpowiedniejsza do ciężkiej pracy, dzięki korzystniejszemu działaniu dźwigni. Ale rozwój techniczny i udoskonalenie maszyn czynią ciężką pracę fizyczną coraz bardziej zbędną. Piękność fizyczna — jakkolwiek nie możemy wyzwolić się spod jej uroku — przynosi równie często korzyść jak niekorzyść. Niejednego uderzyło zapewne, że wśród ludzi bezżennych i bezdzietnych jest zdumiewająco dużo pięknie zbudowanych, gdy osobniki mniej powabne często uczestniczą dzięki innym zaletom w dziele zachowania gatunku. Jakże często napotyka się tu i tam typy odmienne niż się oczekiwało: krótko i płaskonogich turystów, odbywających wycieczki wysokogórskie, krawców o herkulesowej budowie ciała, pokracznych ulubieńców kobiet, gdzie dopiero dokładniejszy wgląd w zawiłości psychiczne umożliwia zrozumienie tego faktu. Każdy zna chyba ludzi niedorozwiniętych fizycznie, o niezwykłej dojrzałości i typy męskie o infantylnym postępowaniu, tchórzliwych olbrzymów i dzielnych karłów, szkaradnych, ułomnych gentlemenów i pięknych łotrów, miękko ukształtowanych ciężkich zbrodniarzy i osobników o twardym wyglądzie, a miękkim sercu. Jest faktem stwierdzonym, że lues i pijaństwo szkodzą zarodkowi potomstwa i często nadają mu wyraźne piętno zewnętrzne, czyniąc je też mniej odpornym. Nie rzadko jednak zdarzają się wyjątki, a niedawno dopiero Bernard Shaw, tak jeszcze krzepki starzec, opowiedział nam o swoim ojcu - pijaku. Transcedentnej zasadzie doboru przeciwstawia się nieznana, gdyż nazbyt skomplikowana władza praw przystosowania. Jak biadał już poeta: „A Patrokles leży w grobie, a Tersytes wraca zdrów". Po wojnach szwedzkich, które pochłonęły tyle

ludności męskiej, zabrakło mężczyzn. Ustawa zmusiła wszystkich pozostałych, chorych i kalekich, do zawierania małżeństw. A dziś, o ile można porównywać narody, to Szwedzi należą do najlepszych typów. W starej Grecji uciekano się do usuwania dzieci kalekich. W podaniu Edypa ujawnia się przekleństwo gwałconej natury, a może raczej gwałconej logiki współżycia ludzkiego.

Być może, że każdy z nas nosi w sobie idealny obraz ludzkiego kształtu i nim mierzy innych. Wszak nigdy nie wychodzimy w życiu poza konieczność odgadywania. Umysły o wyższym polocie, nazywają to intuicją. Psychiatrze i psychologowi nasuwa się pytanie, podług jakich, tkwiących w nas norm, osądzamy kształt ludzki. Zdaje się, że decydują tu doświadczenia życiowe, często wcale nierozległe, oraz obrazy stereotypowe, najczęściej zachowane z czasów dziecięctwa. Lavater i inni zbudowali z tego system. Odpowiednio do ogromnej jednostajności takich wrażeń, na podstawie których wyobrażamy sobie ludzi skąpych, życzliwych, złych i zbrodniarzy, nie należy mimo wszystkich uprawnionych wątpliwości usuwać przypuszczenia, że nasz w cichości rozważający rozum zapytuje kształt o jego treść i sens. Czy duch jest tym, który stwarza ciało?

Z dokonań w tej dziedzinie pragnąłbym podnieść dwa, gdyż mogą rzucić pewne światło na mrok zagadnienia kształtu i sensu. Nie zapomnimy o przyczynku *Carusa,* którego wskrzeszenie stanowi wielką zasługę *Klagesa.* Tak samo nie należy z nowszych badaczy pominąć Jaenscha i Bauera. Przede wszystkim pragnę się jednak powołać na wybitną pracę *Kretschmera* „Körperbau und Charakter“ oraz na swoją „Studie über Minderwertigkeit von Organen“. Ta druga jest znacznie wcześniejsza. Zdawało mi się, że znalazłem w niej ślady pomostu, który z przyrodzonej niepełnowartości fizycz-

nej. formalnej odmiany minusowej, przez wytworzenie większego poczucia niepełnowartości powoduje specjalne napięcie w aparacie psychicznym. Żądania świata zewnętrznego odczuwa się przeto jako nadmiernie wrogie, a troska o własne ja potęguje się przy braku należytego treningu w sposób wyraźnie egocentryczny. Przez to dochodzi się do nadwrażliwości psychicznej, braku odwagi i zdolności powzięcia decyzji i do niespołecznego szematu apercepcji. Perspektywa świata zewnętrznego przeszkadza przystosowaniu i wiedzie do niepowodzenia. Tu wyłania się punkt widzenia, z którego przy zachowaniu największej ostrożności, przy ustawicznym poszukiwaniu potwierdzeń lub sprzeczności, możnaby z kształtu wnioskować o istocie, o sensie. Czy doświadczeni fizjognomiści szli tą drogą instynktownie, poza obrębem nauki — pytanie to muszę pozostawić nierozstrzygnięte. Często natomiast mogłem potwierdzić, że trening duchowy, wynikły z tego wzmożonego napięcia, może prowadzić do większych dokonań. Myślę, że nie mylę się, dochodząc na podstawie doświadczeń do wniosku, że gruczoły dokrewne, na przykład gruczoły płciowe mogą przez odpowiedni trening psychiczny i zachowanie się doznać wzmocnienia, a przez nieodpowiedni trening, szkody. Nie jest to chyba przypadek, że tak często u niedorozwiniętych dziewczęcych chłopców i u chłopięcych dziewcząt napotykałem trening w odwrotnym sensie, podsunięty im przez rodziców.

Przez nakreślenie typu piknicznego i schizoidalnego z ich zewnętrzną rozmaitością kształtów i specjalnymi procesami duchowymi, Kretschmer dał opis, posiadający znaczenie o nieobliczalnej doniosłości. Pomost między kształtem a sensem pozostał poza sferą jego zainteresowania. Świetne przedstawienie przez niego tego stanu rzeczy będzie kiedyś niezawodnie

jednym z punktów wyjścia, które przyczynią się do wyjaśnienia naszego zagadnienia.

Na znacznie pewniejszym gruncie znajduje się badacz, podejmujący problem odkrycia sensu ruchu. I tu pozostaje wiele do odgadnięcia i za każdym razem trzeba będzie w całym związku szukać potwierdzeń, czy odgadnięcie było trafne. Tym samym mówimy zarazem, jak to stale podkreśla psychologia indywidualna, że każdy ruch wynika z całokształtu osobowości i nosi w sobie jej styl życiowy, że każda forma wyrazu wypływa z jedni osobowości, w której nie ma przeciw niej sprzeczności, nie ma ambiwalencji, nie ma dwu dusz. Że ktoś mógłby być inny w sferze podświadomej niż w świadomej — sztuczny zresztą podział, wynikający jedynie z fanatyzmu analitycznego — temu twierdzeniu zaprzeczy każdy, kto pojął subtelności i odcienie świadomości. Jak się ktoś porusza, taki jest sens jego życia.

Psychologia indywidualna próbowała rozwinąć naukowo teorię o sensie gestów. Dwa przebiegi w jej obrębie, w tysiącznych swych odmianach umożliwiają wytłómaczenie. Jeden kształtuje się od najwcześniejszego dziecięctwa i wykazuje dążenie do wydostania się z sytuacji niedostateczności, przezwyciężenia jej, znalezienia drogi, wiodącej od uczucia niższości do wyższości, do usunięcia stanu napięcia. Droga ta staje się już w dziecięctwie nawykową w swej odrębności i odmianie i jako forma ruchu przejawia się w niezmienny sposób przez całe życie. Jej odcień indywidualny zakłada u obserwatora zrozumienie artystyczne. Drugi czynnik pozwala wglądnąć w zainteresowanie społeczne działającego, widzieć stopień czy brak jego gotowości w stosunku do współczłowieka. Nasz sąd, dotyczący spojrzenia, przysłuchiwania się, mówienia, postępowania i działania, ocena i rozróżnianie wszystkich gestów

zmierzają do określenia wartości ich współudziału w pracy zbiorowej. Ukształtowane w imanentnej sferze wzajemnych interesów, dowodzą przy każdym egzaminie stopnia swego przygotowania do uczestnictwa w pracy zbiorowej. Owa pierwsza linia wytyczna będzie się zawsze przejawiać, co prawda w tysiącznych formach i nie zdoła zniknąć do samej śmierci. W nieprzerwanym pochodzie czasu kieruje każdym ruchem pragnienie przezwyciężenia. Czynnik poczucia spólnoty nadaje ton i zabarwienie temu ruchowi, dążącemu wzwyż.

Gdy w poszukiwaniu najgłębszych jedności chcemy z całą ostrożnością postąpić o krok dalej, to dochodzimy do perspektywy, pozwalającej nam przeczuwać, w jaki sposób z ruchu powstaje kształt. Plastyczność żywego kształtu ma niewątpliwie swoje granice, lecz w obrębie tych granic uzewnętrznia się indywidualnie ruch, w pokoleniach, narodach, rasach — pozostając niezmienny w prądzie czasu. Ruch staje się ruchem kształtowanym: formą.

Tak więc możliwą jest znajomość człowieka z kształtu, jeśli w nim poznamy kształtujący ruch.

VI.

KOMPLEKS NIEPEŁNOWARTOŚCI.

Dawno wykazywałem, że być człowiekiem znaczy: czuć się niepełnowartościowym. Może nie wszyscy to zapamiętali. Możliwe też, że niejednego zraża to określenie i wolałby wybrać inne. Nie mam nic przeciw temu, zwłaszcza że widzę, iż rozmaici autorzy już to zrobili. Przemądrzali, chcąc wykazać, że nie mam racji, wywodzili, że zanim by dziecko doszło do poczucia niepełnowartości, musiałoby wpierw mieć poczucie pełnowartości. Poczucie niewystarczalności jest cierpieniem pozytywnym i trwa przynajmniej do chwili rozwiązania zadania, zaspokojenia potrzeby, rozluźnienia napięcia. Jest to widocznie uczucie, dane i umożliwione przez naturę, podobne do bolesnego napięcia, domagającego się rozwiązania. To rozwiązanie nie musi koniecznie być rozkoszne, jak utrzymuje Freud, może mu jednak towarzyszyć uczucie rozkoszy, co odpowiadałoby ujęciu Nietzschego. W pewnych warunkach może też rozluźnieniu tego napięcia towarzyszyć cierpienie, ból trwały lub przemijający, jak na przykład rozstanie z niewiernym przyjacielem albo bolesna operacja. Jedynie też rabulistyka może za rozkosz uważać zakończenie pełne strachu, na ogół przenoszone nad strach bez końca.

Podobnie jak niemowlę zdradza swymi ruchami poczucie niewystarczalności, nieustające dążenie do udo-

skonalenia i rozwiązania wymagań życia, tak samo historyczny ruch ludzkości należy uważać za historię poczucia niepełnowartości i jego prób rozwiązania. Żywa materia, raz wprawiona w ruch, ustawicznie dążyła do przejścia z sytuacji minusowej do plusowej. Ten ruch, który już w r. 1907 scharakteryzowałem w cytowanej poprzednio pracy: „Studie über Minderwertigkeit der Organe" jest właśnie tym, co ujmujemy w pojęciu ewolucji. Ruch ten, którego żadną miarą nie należy uważać za wiodący ku śmierci, zmierza raczej do przezwyciężenia świata zewnętrznego, a żadną miarą nie do wyrównania, nie do stanu spoczynku. Jeśli Freud twierdzi, że śmierć pociąga ludzi, że tęsknią do niej we śnie, a także w inny sposób, to nawet w jego ujęciu byłoby to antycypacją przedwczesną. Nie ulega wątpliwości, że istnieją ludzie, którzy wolą śmierć od zmagania się z zewnętrznymi warunkami, ponieważ w swojej próżności nazbyt się boją klęski. Są to ludzie, tęskniący stale do rozpieszczania, do ułatwień osobistych, które mają dla nich uskutecznić drudzy.

Ciało ludzkie, jak można wykazać, jest zbudowane na zasadzie zabezpieczenia. W swoich „Harvard Lectures" w latach 1906 i 1907, więc mniej więcej w tym samym czasie co ja, w cytowanym powyżej studium, tylko gruntowniej i obszerniej, wskazał Meltzer na tę zasadę zabezpieczenia. W miejsce uszkodzonego organu występuje inny, uszkodzony organ wytwarza z siebie siłę uzupełniającą. Wszystkie organy mogą wykonać więcej, niż musiałyby wykonywać przy normalnych wymaganiach, jeden organ podoła często różnorakim czynnościom, ważnym dla życia itd. Życie, któremu zostało przepisane prawo samozachowania, zdobyło też w swym biologicznym rozwoju potrzebną do tego siłę i zdolność. Rozszczepienie na dzieci i młodsze pokolenia jest tylko częścią tego zabezpieczenia życiowego.

Otaczająca nas, stale wzrastająca kultura, wskazuje jednak także na tę tendencję zabezpieczania i ukazuje człowieka w stałym nastroju poczucia niepełnowartości, stale przydającego bodźca naszej działalności, w celu osiągnięcia większego zabezpieczenia. Chęć czy niechęć towarzyszące temu naszemu dążeniu, są tylko środkami pomocniczymi i premiami na tej drodze. Przystosowanie do danej rzeczywistości nie byłoby natomiast niczym innym jak wykorzystaniem wysiłków i dokonań drugich, jak się tego domaga obraz świata rozpieszczonego dziecka. Trwałe dążenie do zabezpieczenia prze do przezwyciężenia istniejącej rzeczywistości na korzyść lepszej. Bez tego nurtu naprzód prącej kultury, życie ludzkie byłoby niemożliwe. Człowiek musiałby ulec naporowi sił przyrody, gdyby ich nie był zużytkował na swoją korzyść. Brak mu tego wszystkiego, co pozwoliłoby stworzeniom silniejszym odnieść nad nim zwycięstwo. Wpływy klimatu zmuszają go do osłaniania się przed zimnem materiałami, które zabiera lepiej zabezpieczonym zwierzętom. Organizm jego wymaga sztucznego mieszkania, sztucznego przyrządzania pożywienia. Życie jego jest zabezpieczone tylko przy podziale pracy i dostatecznym rozmnażaniu. Jego organy i umysł pracują zawsze w kierunku przezwyciężenia, zabezpieczenia. Przyczynia się też do tego jego większa znajomość niebezpieczeństw życia, oraz wiedza o śmierci. Któż mógłby poważnie powątpiewać o tym, że jednostce ludzkiej, tak po macoszemu wyposażonej przez naturę, zostało jako błogosławieństwo przydane silne poczucie niepełnowartości, prące do sytuacji plusowej, do zabezpieczenia i przezwyciężenia? A ten ogromny, przymusowy bunt przeciw tkwiącemu w niej poczuciu niepełnowartości, jako podstawie rozwoju ludzkości, wciąż się od nowa rozbudza i powtarza w każdym niemowlęciu i dziecku.

Dziecko, o ile nie jest zbyt upośledzone, jak na przykład dziecko idiotyczne, pozostaje już pod przymusem tego rozwoju wzwyż, pobudzającym jego ciało i duszę do wzrostu. Jemu również przepisała natura dążenie ku przezwyciężeniu. Jego małość, słabość, brak samoistnie stworzonych zadowoleń, mniejsze i większe zaniedbania — wszystko to jest indywidualną podnietą do jego rozwoju sił. Pod naciskiem swego mizernego bytu stwarza sobie nowe, może nigdy niebywałe formy życia. Jego zabawy, stale zmierzające do celu przyszłości są oznaką jego samotwórczej siły, której żadną miarą nie można wyjaśniać uwarunkowanymi odruchami. Buduje ono stale w próżni przyszłości, parte przez przymus konieczności przezwyciężania. Pod obuchem konieczności życiowych bieży swą stale wzrastającą tęsknotą ku ostatecznemu celowi wyższości nad ziemskim padołem, wyznaczonym mu wraz z jego wszystkimi nieuniknionymi żądaniami. A ten pociągający je cel, nabiera zabarwienia i tonu w małym otoczeniu, w którym dziecko dąży do przezwyciężenia.

Tylko krótko mogę się tu zatrzymać przy teoretycznym rozważaniu, które omówiłem jako podstawowe w swojej książce „Ueber den nervösen Charakter“ [1]), wydanej w r. 1912. Jeśli istnieje taki cel przezwyciężenia, jaki zabezpiecza ewolucja, to stopień konkretnej ewolucji osiągnięty do tego celu w dziecku, stanie się materiałem budowlanym do jego dalszego rozwoju. Innymi słowami: jego dziedziczność, czy to fizyczna czy duchowa, wyrażona w możliwościach, liczy się tylko o tyle, o ile da się użyć i zostanie zużytkowana do tego celu ostatecznego. To, co napotyka się później w rozwoju jednostki, powstało ze zużytkowania materiału dziedzicznego i zawdzięcza swoje wykończenie twórczej

---

[1]) 4 wyd. Bergmann, Monachium.

sile dziecka. Na pokusy tego materiału sam najostrzej wskazywałem. Muszę jednak zaprzeczyć przyczynowemu znaczeniu tego materiału, gdyż wielokształtny i stale zmieniający się świat zewnętrzny wymaga twórczego, elastycznego użytkowania tego materiału. Kierunek przezwyciężenia zostaje stale utrzymany, jakkolwiek cel przezwyciężenia, przyjąwszy w prądzie świata konkretną formę, przepisuje każdej jednostce inny kierunek.

Niepełnowartościowe organy, rozpieszczenie lub zaniedbanie, często skłaniają dzieci do stawiania sobie konkretnych celów przezwyciężenia, pozostających w sprzeczności z pomyślnością jednostki i z wyższym rozwojem ludzkości. Istnieje jednak dość innych przypadków i wyników, uprawniających nas do mówienia nie o przyczynowości, lecz o statystycznym prawdopodobieństwie, o uwiedzeniu, powstałym z błędu, przy czym należy jeszcze rozważyć, że każda złość wygląda inaczej, że każdy człowiek, trzymający się pewnego określonego poglądu na świat ukazuje w nim inną perspektywę, że każdy pseudoliterat ma swoje dziwactwa, że każdy neuropata różni się od drugiego, podobnie jak każdy przestępca. I właśnie w tej odmienności każdej jednostki przejawia się samoistna twórczość dziecka, używanie przez nie przyrodzonych możliwości i zdolności i korzystanie z nich.

To samo odnosi się też do czynników otaczającego je świata i środków wychowawczych. Dziecko bierze je i używa do skonkretyzowania swego stylu życiowego, stwarza sobie cel, przy którym trwa niezłomnie i zgodnie z nim apercypuje, myśli, czuje, postępuje. Jeśli się raz ujmie ruch jednostki, to żadna siła świata nie zdoła uwolnić od przyjęcia celu, do którego zmierza ten ruch. Nie ma ruchu bez celu. Celu tego nie można nigdy osiągnąć. Przyczyna tkwi w prymitywnym zro-

zumieniu człowieka, że nigdy nie może być panem świata, wobec czego musi tę myśl, jeśli się kiedy wyłoni, przenieść do sfery cudu lub wszechmocy Boga. [1]).

Poczucie niepełnowartości włada życiem duchowym i daje się łatwo zrozumieć i wyprowadzić z poczucia niedoskonałości, braku pełni i nieustającego dążenia ludzi i ludzkości.

Każde z tysiącznych zadań dnia, życia, stawia jednostkę w gotowości do ataku. Każdy ruch kroczy od niedoskonałości do doskonałości. W r. 1909 próbowałem w „Aggressionstrieb im Leben und in der Neurose" (patrz: *Heilen und Bilden*, 3 wyd. Bergmann, Monachium) bliżej oświetlić ten fakt i doszedłem do wniosku, że rodzaj tej pod naciskiem ewolucji powstałej gotowości do ataku wyrasta ze stylu życiowego, jest częścią całości. Brak wszelkiego pretekstu do uważania jej za radykalnie złą, do wyprowadzania jej z wrodzonego popędu sadystycznego. Jeśli się już podejmuje beznadziejną próbę budowania życia duchowego na popędach, bez kierunku i celu, to nie należałoby przynajmniej zapominać o przymusie ewolucji, ani o tkwiącej w człowieku ewolucyjnej skłonności do spólnoty. Że to niezrozumiane ujęcie duchowego życia jednostek rozpieszczonych i dlatego głęboko rozczarowanych, nigdy nie mających dosyć, ludzie bezkrytyczni z wszystkich warstw biorą za podstawową naukę o życiu duchowym — fakt ten nie może dziwić, ze względu na nadmierną liczbę ludzi rozpieszczonych i rozczarowanych.

Uszeregowanie się dziecka w swoim pierwszym otoczeniu jest przeto jego pierwszym aktem twórczym, do którego prze go poczucie niepełnowartości, posługując się jego zdolnościami. To uszeregowanie się, w każdym

---

[1]) Jahn und Adler: Religion und Individualpsychologie, Verlag Dr. Passer, Wiedeń.

przypadku odmienne, jest ruchem, który ujmujemy ostatecznie jako kształt, jako ruch zakrzepły, jako formę życia, zdająca się przyrzekać cel zabezpieczenia i przezwyciężenia. Granice, w obrębie których dokonywa się ten rozwój, są ogólnie ludzkie, dane przez stan ewolucji gatunku i jednostki. Ale nie każda forma życia korzysta należycie z tego stanu i dlatego staje w sprzeczności z sensem ewolucji. W poprzednich rozdziałach wykazałem, że najlepszą rękojmią pełnego rozwoju ludzkiego ciała i ducha jest uszeregowanie się jednostki jako współdążącej i działającej w ramach idealnej spólnoty, do której należy zmierzać. Między tymi, którzy świadomie lub bezwiednie czynią zadość temu stanowisku, a wielu innymi, którzy się z nim nie liczą, zieje przepaść nieprzebyta. Sprzeczność, istniejąca między nimi napełnia świat ludzki małostkowymi swarami i gwałtownymi walkami. Dążący budują i przyczyniają się do szczęścia ludzkości. Ale także oporni nie są całkiem bez wartości. Ich błędy i pomyłki, przynoszące szkodę mniejszym i większym kołom, zmuszają innych do spotęgowania wysiłków. W ten sposób podobni są do owego ducha „który stale pragnie złego, a jednak tworzy dobro“. Budzą w drugich ducha krytycyzmu i pomagają im do zdobycia lepszego zrozumienia. Przyczyniają się do wytworzenia c z y n n e g o poczucia niepełnowartości.

Kierunek rozwoju jednostki i wspólnoty jest zatem wyznaczony przez stopień poczucia wspólnoty. Dzięki temu zyskuje się silne stanowisko do oceny, co jest właściwe, a co nie. Ukazuje się droga, zdumiewająco pewna zarówno dla wychowania i leczenia, jak dla oceny zdrożności. Stosowana przy tym miara jest znacznie surowsza, niż by ją mógł wykazać jakikolwiek eksperyment. Tu życie przeprowadza egzaminy przy pomocy testów; każdy najmniejszy gest można badać co do kie-

runku i dystansu w stosunku do spólnoty. Porównanie z jakimiś ogólnie przyjętymi miarami psychiatrii, która mierzy szkodliwymi objawami lub szkodliwością dla spólnoty, a zapewne także pod przymusem dążącej naprzód spólnoty usiłuje wysubtelnić swoje metody, wykazuje bezwzględnie wyższość metody psychologii indywidualnej. Wyższość jej polega także na tym, że nie potępia, lecz stara się poprawić, że zdejmuje winę z jednostki i przenosi ją na braki naszej kultury, za której wadliwość współwinni są wszyscy inni i wzywa do współpracy nad jej usunięciem. Że jeszcze dzisiaj musimy myśleć o wzmocnieniu poczucia wspólnoty, o samym poczuciu wspólnoty, w celu zdobycia go, wynika to z osiągniętego dotąd niskiego stopnia naszej ewolucji. Niepodobna wątpić, że przyszłe pokolenia wcielą je do swojego życia tak samo, jak my wcieliliśmy oddychanie, prosty chód lub widzenie wrażeń świetlnych, ustawicznie poruszających się na siatkówce, jako obrazów stałych.

Także ci, którzy nie rozumieją czynnika, popierającego spólnotę w duchowym życiu człowieka: jego „kochaj bliźniego swego", wszyscy, którzy usiłują odkryć w człowieku jedynie „wewnętrznego szubrawca", kulącego się tylko chytrze, by nie został poznany i ukarany — nawet ci są ważnym nawozem dla dążącej wzwyż ludzkości i w dziwacznym powiększeniu ukazują tylko jej zacofanie. Ich poczucie niepełnowartości szuka osobistego wyrównania w przekonaniu o bezwartości wszystkich innych. Niebezpiecznym wydaje mi się nadużywanie idei poczucia niepełnowartości, w formie korzystania z niewyjaśnionej dotąd drogi, wiodącej do poczucia spólnoty, by pod pozorem ratowania społeczności dzisiejszej, a nawet przyszłej, pochwalać i narzucać poglądy i formy życia szkodliwe dla spólnoty. W ten sposób kara śmierci, wojna, a nawet po-

święcenie opornych znajdują swych wyszczekanych obrońców, drapujących się też stale — jakiż dowód wszechpotęgi poczucia spólnoty! — w płaszczyk poczucia spólnoty. Wszystkie te przestarzałe poglądy są raczej wyraźną oznaką, że ta obrona pochodzi z braku nadziei znalezienia lepszej, nowej drogi, a zatem z nie dającego się przesłonić poczucia niepełnowartości. Dzieje ludzkości powinny były pouczyć każdego, że nawet morderstwo nie zmienia w niczym wszechpotęgi idei postępu, ani też upadku poglądów zamierających. Istnieje jednak, o ile możemy widzieć, tylko jeden jedyny przypadek, mogący usprawiedliwić zabijanie, a jest nim samoobrona w niebezpieczeństwie życia własnego lub drugich. Nikt większy od Szekspira nie unaocznił ludzkości tego problemu tak dokładnie, jak on to uczynił w Hamlecie, jakkolwiek nie został zrozumiany. Szekspir, który podobnie jak poeci greccy, we wszystkich swych tragediach szczuje erynie na mordercę, zbrodniarza — w epoce, kiedy krwawe czyny większą grozą niż dzisiaj przejmowały poczucie spólnoty ludzi, którzy zdążali do ideału spólnoty, byli mu też bliżsi i zwyciężyli. Wszystkie zbłąkania zbrodniarza ukazują nam najdalsze granice, do których sięgało poczucie spólnoty upadającego. Na dążącej naprzód części ludzkości ciąży przeto surowy obowiązek nie tylko wyjaśniania i należytego wychowywania, lecz także nie utrudniania zbytnio i przedwcześnie egzaminu jednostki, niewyszkolonej w poczuciu spólnoty i nie wymagania tego, co mogłaby zdziałać jedynie przy rozwiniętym poczuciu spólnoty, ale nigdy w braku tego poczucia. Przy zderzeniu bowiem z problemem wymagającym silnego poczucia spólnoty, jednostka nie przygotowana dozna wstrząsu, który przy ukształtowaniu się kompleksu niepełnowartości powoduje chybienia wszelkiego rodzaju. Struktura zbrodniarza ukazuje

wyraźnie styl życiowy człowieka, obdarzonego aktywnością, mało skłonnego do spólnoty, który od dzieciństwa rozwijał w sobie mniemanie o życiu, uprawniające go do wykorzystania dla siebie dorobku drugich. Nie powinno już chyba być tajemnicą, że typ ten napotyka się przeważnie u rozpieszczonych dzieci, rzadziej u zaniedbanych dorosłych. Uważanie zbrodni za samowymiar kary, sprowadzanie jej do praform dziecięcej perwersji seksualnej, ewentualnie też do tak zwanego kompleksu Edypa, można zbić z łatwością, gdy się rozumie, że człowiek kierujący się w życiu realnym przenośniami, zbyt łatwo uwikła się w splocie porównań i podobieństw. Hamlet: „Czy chmura ta nie wygląda jak wielbłąd?" Poloniusz: „Całkiem jak wielbłąd".

Takie wady dzieci jak zaparcie, moczenie nocne, uderzające przywiązanie do matki, nie pozwalające się z nią rozłączyć itd. są wyraźnymi oznakami spieszczonego dziecka, którego obręb życia nie sięga poza matkę, także we wszystkich czynnościach, nad którymi należytą pieczę winna sprawować matka. Jeśli do tych wad dzieci przyłączy się pewne uczucie łaskotliwości, jak przy ssaniu wielkiego palca i zaparciu, co z pewnością może się zdarzać u dzieci o mniej stępionej łaskotliwości, albo też jeśli w pasożytniczym życiu spieszczonych dzieci, stale trzymających się matki, przejawi się kiełkujące uczucie seksualne, to są to przydatki i następstwa, zagrażające przede wszystkim dzieciom spieszczonym. Trwanie jednak przy tych dziecięcych wadach, oraz przy dziecięcym samogwałcie, najczęściej nie bez silniejszego „zabezpieczenia" węzła między matką a dzieckiem przez większą jej troskliwość, (nie żadną obronę, jak to fałszywie interpretował Freud moje pojęcie zabezpieczenia) przesuwa zainteresowania dziecka z drogi współdziałania, którego nie wyuczyło się

z rozmaitych powodów, przede wszystkim z powodu rozpieszczenia — na drogę szukania ułatwień i zwolnienia od współżycia. Brak poczucia spólnoty i spotęgowane poczucie niepełnowartości, ściśle z sobą zespolone, występują wyraźnie już w tej fazie życia dziecka, najczęściej z wszystkimi charakterystycznymi rysami, jako formami przejawów życia w rzekomo wrogim otoczeniu. Tymi charakterystycznymi cechami są: nadwrażliwość, niecierpliwość, spotęgowane afekty, tchórzliwość życiowa, ostrożność i chciwość — ta ostatnia w formie uroszczenia, jakoby wszystko miało należeć do dziecka.

Trudne zagadnienia życiowe, niebezpieczeństwa, niedole, rozczarowania, troski, straty, zwłaszcza straty kochanych osób, ucisk społeczny wszelkiego rodzaju są zawsze widoczne w obrazie poczucia niepełnowartości, najczęściej w ogólnie znanych afektach i stanach nastroju, które znamy jako lęk, zgryzotę, rozpacz, wstyd, bojaźliwość, zakłopotanie, wstręt itd. Przejawiają się w wyrazie twarzy i postawie, mówiącej niejako o zwiotczeniu całej muskulatury. Albo też występuje forma ruchu, robiąca najczęściej wrażenie oddalania się od wzburzającego przedmiotu, lub od nieustających zagadnień życia. Sfera myślenia, całkowicie zgodna z celem umknięcia, rzuca przy tym myśli o odwrocie. Sfera uczuciowa, o ile możemy w nią zdobyć wgląd, swoim wzburzeniem i formą wzburzenia, mającymi wzmocnić odwrót, odzwierciedla fakt niepewności, niepełnowartości. Ludzkie poczucie niepełnowartości, wyłaniające się zazwyczaj w dążeniu naprzód, występuje już wyraźniej wśród burz życia, a dostatecznie wyraźnie w ciężkich próbach. W każdym przypadku odmienne w wyrazie, po zespoleniu wszystkich jego przejawów, przedstawia styl życiowy jednostki, we wszystkich sytuacjach życia przebijający się jednolicie.

Nie wolno jednak przeoczać, lecz także w próbie przezwyciężenia wymienionych odruchów, w zrywaniu się, w gniewie, a także już we wstręcie i wzgardzie widzieć wymuszony przez cel wyższości, czyn ruchliwszego stylu życiowego, podniecongo przez poczucie niepełnowartości. Gdy pierwsza forma życiowa, trwając na linii odwrotu, może od problemu narażającego na niebezpieczeństwo prowadzić do form newrozy, psychozy i masochizmu, to pomijając mieszane formy neuropatyczne, ukazuje druga forma życiowa, odpowiednio do stylu życiowego, raczej większą aktywność, (której nie należy brać za odwagę, istniejącą jedynie po stronie życia, popierającej dążenia spólnoty), skłonności samobójcze, pijaństwo, zbrodnię lub czynną perwersję. Chodzi tu oczywiście o nowe ukształtowania tego samego stylu życiowego, nie o ów proces fikcyjny, który Freud nazywa „regresją". Podobieństwa tych form życiowych z wcześniejszymi, lub też ich pojedynczych szczegółów, nie należy uważać za identyczność, podobnie jak faktu, że każda żyjąca istota rozporządza jedynie zasobami swego duchowego i cielesnego zasięgu, nie należy utożsamiać z nawrotem do stadium niedorozwoju lub praludzkości. Życie domaga się rozwiązania zadań spólnoty, więc wszelkie postępowanie wskazuje zawsze na przyszłość, chociażby nawet do rozbudowy swojego postępowania brało środki z przeszłości.

Zawsze jest to brak poczucia spólnoty, — czy nazwiemy je współczłowieczeństwem, współpracą, humanitaryzmem, czy nawet idealnym *ja,* — z którego wypływa niedostateczne przygotowanie do wszelkich problemów życia. To właśnie niedostateczne przygotowanie powoduje tysiączne formy fizycznej i duchowej niepełnowartości i nepewności, z chwilą gdy człowiek stanie przed zagadnieniem lub gdy je podejmie. Brak ten wywołuje już także wcześniej najrozmaitsze prze-

jawy poczucia niepełnowartości, które nie występują tylko tak wyraźnie, lecz znajdują swój wyraz w charakterze, ruchu, postawie, w sposobie myślenia, wypływającego z poczucia niepełnowartości i z kroczenia mylną drogą. Wszystkie te przejawy poczucia niepełnowartości, spotęgowanego przez brak poczucia spólnoty, uwidoczniają się w momencie niebezpiecznego problemu, „przyczyny egzogenicznej", której nie brak w żadnym przypadku „typowego chybienia", jakkolwiek nie każdy ją odkrywa. Dopiero trwanie przy wstrząsach, próba złagodzenia gnębiącego stanu ciężkiego poczucia niepełnowartości, będącego następstwem ciągłego usiłowania wydostania się z sytuacji minusowej, stwarza chybienia „typowe". W żadnym z tych przypadków nie zaprzecza się jednak wyższości poczucia spólnoty i nie zaciera różnicy między „dobrym" a „złym". W każdym z tych przypadków znajdzie się „tak", podkreślające wagę poczucia spólnoty, zawsze jednak następuje po nim „ale", posiadające większą siłę i przeszkadzające potrzebnemu wzmocnieniu poczucia spólnoty. To „ale" jest różne w każdym poszczególnym przypadku typowym. Trudność leczenia odpowiada właśnie sile tego „ale". Najsilniej wyraża się ono w samobójstwie i psychozie, następstwach wstrząsów, przy których „tak" całkowicie niemal zanika.

Takie rysy charakteru jak lęk, bojaźliwość, skrytość, pesymizm cechują niedostateczny kontakt, datujący się od dawna; znacznie zaostrzone przez surowszy egzamin, jakiemu jednostkę poddaje los, występują na przykład przy neurozie w formie mniej czy więcej wyraźnych objawów chorobowych. To samo odnosi się do charakterystycznie zwolnionego ruchu, ukazującego jednostkę zawsze w tylnych szeregach, w zdumiewającym dystansie (Patrz: Adler, „Praxis und Theorie der Individualpsychologie" 4 wyd. Bergmann, Monachium) od da-

nego problemu. To upodobanie do zaplecza życia jest wydatnie zabezpieczone przez sposób myślenia i argumentacji jednostki, czasem też przez myśli przymusowe lub bezpłodne poczucie winy. Łatwo zrozumieć, że nie poczucie winy stwarza dystans, lecz że niedostateczna skłonność i przygotowanie całej osobowości sprawiają, iż uczucie winy wydaje się korzystnym, jako przeszkadzające w dążeniu naprzód. Bezpodstawne np. samooskarżanie o masturbację stwarza tu odpowiedni pozór. Tak samo okoliczność, że każdy człowiek, który spoglądając wstecz na swoje życie, pragnąłby cofnąć niejeden swój postępek, służy takim osobnikom za doskonałą wymówkę trzymania się zdala od współdziałania.

Próba sprowadzenia takich chybień jak neuroza lub zbrodnia do tego rodzaju forteli jak owe poczucie winy, byłaby niezrozumieniem sytuacji. Kierunek, wybierany w przypadkach niedostatecznego poczucia spólnoty, wykazuje też zawsze wielkie wahania wobec jakiegoś problemu spólnoty, a silniejszy wstrząs, spowodowany przez zmiany fizyczne pomaga do wskazania innych dróg. Te zmiany fizyczne wprawiają wprawdzie całe ciało w przejściowy lub trwały chaos, lecz zakłócenie czynności wywołują najczęściej w sposób zdumiewający w tych miejscach, które czy to wskutek wrodzonej niepełnowartości organów, czy też przez przeciążoną uwagę, najsilniej reagują na zakłócenie psychiczne. Zakłócenie czynności może się przejawiać zanikiem napięcia mięśniowego lub jego podnieceniem, powstawaniem włosów na głowie, występowaniem obfitego potu, zaburzeniami serca, żołądka i jelit, ściskaniem w krtani, parciem na mocz i podnieceniem płciowym lub jego przeciwieństwem. Często, w ciężkich sytuacjach, napotyka się te same zakłócenia u wszystkich członków rodziny. Podobnie jak ból głowy, migrenę, gwałtowne czerwienienie się i blednięcie. Dzięki

nowszym badaniom, zwłaszcza Cannona, Marannona i innych zostało stwierdzone, że w przeważającej liczbie tych zmian, wybitną rolę odgrywa współczulny układ nadnercza, a tak samo czaszkowy i miednicowy udział układu wegetatywnego, reagujące tym samym w rozmaity sposób na wszelkie emocje. To potwierdza także nasze dawne przypuszczenie, że funkcje gruczołów dokrewnych, gruczołu tarczykowego, nadnercza, przysadki mózgowej i gruczołów płciowych podlegają wpływom świata zewnętrznego i zależnie od stylu życiowego jednostki odpowiadają na wrażenia duchowe odpowiednio do ich subiektywnie odczuwanej siły — w przypadku normalnym w celu przywrócenia równowagi fizycznej, a przy niedostatecznej sprawności jednostki wobec zagadnień życiowych, w sposób krańcowy, nadkompensacyjny (Patrz: Adler, *„Studie über Minderwertigkeit von Organen"*, l. c.).

Poczucie niepełnowartości jednostki może się też przejawić w kierunku jej drogi. Mówiłem już o wielkim dystansie od zagadnień życiowych, o przystawaniu i odłączaniu się. Nie ulega wątpliwości, że takie postępowanie może się czasem okazać jako słuszne, odpowiadające poczuciu spólnoty. To usprawiedliwione stanowisko jest szczególnie zbliżone do psychologii indywidualnej, gdyż nauka ta przyznaje zawsze tylko względną wartość regułom i formułom i poczuwa się do obowiązku zdobywania wciąż nowych dowodów, mających je potwierdzić. Jeden z tych dowodów mieści się w nawykowym zachowaniu się w powyżej scharakteryzowanym ruchu. Inny rodzaj chodu, każący podejrzewać istnienie poczucia niepełnowartości, odmienny od postawy „ociągliwej", możemy obserwować w zbaczaniu od zagadnienia życiowego, czy to całkowitym, czy częściowym. Całkowite jest to zbaczanie w psychozie, samobójstwie, w nawykowej zbrodni, w nawykowej per-

wersji, częściowe — w pijaństwie i innych nałogach. — Jako ostatni rodzaj chodu, wynikający z poczucia niepełnowartości wymienię jeszcze: uderzające zacieśnienie przestrzeni życia i zwężenie wymarszu. Zostają przy tym wykluczone ważne działy zagadnień życia. Tu również musimy uznać wyjątki, jeśli ktoś w celu większego wkładu dla popierania spólnoty, zwolni się od rozwiązywania poszczególnych części zagadnień życiowych, jak to czyni artysta i geniusz.

Co do kompleksu niepełnowartości we wszystkich przypadkach chybień typowych, to sprawa ta dawno już stała się dla mnie zrozumiałą. Długo natomiast walczyłem o rozwiązanie najważniejszej tu kwestii, mianowicie o zrozumienie, w jaki sposób z uczucia niepełnowartości i jego fizycznych i duchowych następstw przy zderzeniu z zagadnieniem życiowym, powstaje kompleks niepełnowartości. O ile mi wiadomo, kwestia ta pozostawała zawsze na dalszym planie rozważań autorów, a cóż dopiero mówić o jej rozwiązaniu. Dla mnie zagadnienie to, jak wszystkich innych kwestii, wyłoniło się w polu widzenia psychologii indywidualnej, gdzie jedno dało się wyjaśnić z wszystkiego, a wszystko z jednego. Kompleks niepełnowartości, to znaczy trwałe zjawisko następstw poczucia niepełnowartości, trwanie przy nim, tłómaczy się większym brakiem poczucia spólnoty. Jednakowe przeżycia, jednakowe urazy, jednakowe sytuacje i jednakowe kwestie życiowe, przy bezwzględnej jednakowości uzewnętrzniają się u każdego człowieka inaczej. Decydujące znaczenie posiada tu styl życiowy i istniejąca w nim zawartość poczucia spólnoty. Co w pewnych przypadkach może wprowadzić w błąd, każąc wątpić o słuszności tego doświadczenia, to okoliczność, że niekiedy, u ludzi o stwierdzonym braku poczucia spólnoty (skonstatowanie, które pragnąłbym powierzyć jedynie bardzo do-

świadczonym badaczom) występują wprawdzie przejściowo przejawy poczucia niepełnowartości, ale nie kompleks niepełnowartości. Takie doświadczenia można czasem robić u ludzi, posiadających mało poczucia spólnoty, lecz cieszących się względami warunków zewnętrznych. W razie istnienia kompleksu niepełnowartości, znajdziemy stale potwierdzenia z wcześniejszego okresu życia danej jednostki, z jej dotychczasowej postawy, z rozpieszczenia w dziecięctwie, z istnienia niepełnowartości organów, z poczucia zaniedbania w dziecięctwie. Posłużą też do tego inne środki psychologii indywidualnej, które zacytujemy później: zrozumienie najdawniejszych wspomnień z dziecięctwa, doświadczenie psychologii indywidualnej odnośnie do stylu życiowego w ogóle i wpływu, jaki na jego ukształtowanie wywiera miejsce, zajmowane przez daną jednostkę w szeregu dzieci, oraz tłómaczenie snów na podstawie psychologii indywidualnej. W przypadku kompleksu niepełnowartości, stanowi zresztą nastawienie seksualne i rozwój jednostki, jedynie część całości, włączoną do kompleksu niepełnowartości.

VII.

KOMPLEKS WYŻSZOŚCI.

Czytelnik całkiem słusznie wysunie pytanie, gdzie właściwie w przypadku kompleksu niepełnowartości można znaleźć dążenie do wyższości. Bo istotnie, gdyby nam się nie udało dowieść tego dążenia w niezwykle licznych przypadkach kompleksu niepełnowartości, to psychologia indywidualna wykazałaby taką sprzeczność, że musiałaby się o nią rozbić. Na pytanie to jednak znaleziono już w większej części odpowiedź. Dążenie do wyższości odrzuca jednostkę z niebezpiecznego miejsca z chwilą, kiedy wskutek braku poczucia spólnoty, przejawiającego się zwątpieniem jawnym czy skrywanym, zdaje się jej grozić klęska. Dążenie do wyższości uzewnętrznia się także tym, że trzyma jednostkę na linii odwrotu od zagadnienia spólnoty lub zmusza ją do zboczenia. Uwikłane w sprzeczności swojego „tak, ale“, narzuca jej mniemanie, które uwzględnia raczej owe „ale“ i do tego stopnia trzyma na uwięzi jej świat myślowy, że zajmuje się ona jedynie lub głównie wynikami działania wstrząsu. A to tym bardziej, że chodzi tu zawsze o jednostki, które bez należytego poczucia spólnoty, od dziecięctwa zajmowały się niemal wyłącznie własną osobą, własnymi przyjemnościami i przykrościami. Można tu rozróżnić w przybliżeniu trzy typy, których nieharmonijny styl życiowy ze specjalną wyrazistością rozwinął pewną

część życia duchowego. Jeden typ dotyczy ludzi, u których sfera myślenia panuje nad formami wyrazu. Drugi typ cechuje nadmierna wybujałość życia uczuciowego i popędów. Trzeci typ rozwija się więcej w kierunku aktywności. Nigdy oczywiście nie napotyka się całkowitego braku jednej z tych trzech stron. Dlatego każde chybienie, przez trwałe działanie wstrząsu ujawni ze szczególną wyrazistością także tę stronę stylu życiowego danej jednostki. Gdy u zbrodniarza i samobójcy udział aktywności wydaje się na ogół bardziej uwydatniony, to część neuropatów odznacza się podkreślaniem strony uczuciowej, o ile, jak najczęściej bywa przy nerwicy przymusowej i psychozach, nie góruje silniejsze podkreślanie materiału myślowego. (Adler, „Die Zwangsneurose", Zeitschrift für Indyvidualpsychologie, 1931, Hirzel, Lipsk). Nałogowiec jest niemal zawsze człowiekiem uczuciowym. Odłączenie się od spełnienia problemu życiowego narzuca jednak społeczności ludzkiej zadanie i czyni ją przedmiotem wyzysku. Brak współpracy jednych musi zastąpić zwiększona praca drugich, rodziny lub społeczeństwa. Jest to tocząca się stale cicha, niezrozumiana walka przeciw ideałowi spólnoty, ustawiczny protest, który nie służy dalszemu rozwojowi poczucia spólnoty, lecz zmierza do złamania go. Zawsze jednak wyższość osobista staje w sprzeczności do współpracy. Także z tego punktu można widzieć, że przy chybieniach chodzi o ludzi, których rozwój na współludzi został powstrzymany, którym brak już należytego widzenia, słyszenia, mówienia i sądzenia. Zamiast *common sense* posiadają „prywatną inteligencję", którą posługują się mądrze do zabezpieczenia swoich manowców. Określiłem rozpieszczone dziecko jako pasorzyta, który wciąż usiłuje nakładać na drugich kontrybucję. Jeśli się to rozwinie w styl życiowy, to można zrozumieć, że w przeważa-

jącej liczbie chybień ludzie tacy uważają udział drugich za swoją własność, bez względu na to, czy chodzi o czułość, czy o posiadanie, o pracę fizyczną czy duchową. Społeczeństwo, chociażby się przed tymi wykroczeniami broniło przy pomocy niewiadomo jak silnych środków czy słów, musi z najwewnętrzniejszego popędu, mniej wskutek zrozumienia, stosować z natury rzeczy łagodność i pobłażliwość, ponieważ wieczne jego zadanie nakazuje nie karanie i mszczenie się za błędy, lecz wyjaśnianie i usuwanie ich. Zawsze jednak jest to protest przeciw przymusowi współżycia, który jednostkom, niewyszkolonym w poczuciu spólnoty wydaje się nieznośnym, przeciwnym ich prywatnej inteligencji, zagrażającym ich dążeniu do wyższości osobistej. Dla potęgi poczucia spólnoty jest to charakterystyczne, że każdy uznaje błędne drogi i chybienia wyższego i niższego stopnia jako wykraczające przeciw normie i niesłuszne, jak gdyby każdy musiał poczuciu spólnoty składać należny trybut. Nawet autorzy, którzy w naukowym zaślepieniu, wyposażeni niekiedy w rysy genialności, widzą sztucznie wyhodowaną wolę mocy osobistej w przebraniu, jako zły prainstynkt, jako nadczłowieczeństwo, jako prapopęd sadystyczny, są zniewoleni do złożenia pokłonu uczuciu spólnoty w jego idealnym wysubtelnieniu. Nawet zbrodniarz, mający już na oku swój cel, musi układać plan i szukać usprawiedliwienia dla swojego czynu, aż zdoła przekroczyć granicę, dzielącą go jeszcze od braku spólnoty. Oglądane z niewzruszalnego stanowiska idealnego poczucia spólnoty, wszelkie zboczenie przedstawia się jako podstępna próba zerkająca ku celowi osobistej wyższości. Uniknięcie klęski na gruncie spólnoty łączy się u przeważnej części tych ludzi z poczuciem wyższości. A w przypadkach, kiedy obawa klęski usiłuje trzymać ich ciągle zdala od koła współpracujących, przeżywają lub od-

czuwają swoje trzymanie się zdala od zadań życia jako ulgę i przywilej, stanowiące ich wyższość nad innymi. Nawet w cierpieniu, jak przy newrozie, są oni całkiem oplątani środkami tego swojego uprzywilejowanego stanowiska, więc swoim cierpieniem — nie rozumiejąc, w jaki sposób droga cierpienia ma ich zaprowadzić do zwolnienia od zadań życiowych. Im większe ich cierpienie, tym mniej nagabuje ich prawdziwy sens życia, tym bardziej czują się wolni od niego. To cierpienie, tak nierozłącznie związane z ułatwieniem i uwolnieniem od zagadnień życia, może wydać się samoukaraniem tylko temu, kto nie nauczył się ujmować form wyrazu jako części całości — więcej nawet, jako odpowiedzi na pytania żądającej spólnoty. Taki człowiek będzie cierpienie nerwowe uważał za część samoistną, jak to robi neuropata.

Najtrudniej będzie czytelnikowi lub przeciwnikowi moich poglądów pogodzić się z tym, że nawet uległość, służalczość, niesamodzielność, lenistwo i cechy masochizmu, wyraźne oznaki poczucia niepełnowartości, mogą wyłonić uczucie ulgi lub nawet przywileju. Łatwo zrozumieć, że są to protesty przeciw aktywnemu rozwiązaniu kwestyj życiowych w duchu spólnoty. A również, że przedstawiają przewrotne próby uniknięcia klęski tam, gdzie potrzebne jest poczucie spólnoty, którego, jak wynika z ich całego stylu życiowego, posiadają za mało. Najczęściej nakładają wtedy na drugich zadanie pilnościowe, albo je nawet dyktują — jak w masochizmie — często wbrew woli drugich. We wszystkich przypadkach chybień można jasno widzieć odrębne stanowisko, zajęte przez jednostkę — odrębne stanowisko, które opłaca też niekiedy cierpieniem, skargami, poczuciem winy, nie porzucając jednak miejsca, wydającego się jej w braku przygotowania do poczucia spólnoty, doskonałym alibi, gdy stanie przed nią pytanie: „Gdzie byłeś, kiedy dzieliłem świat?“

Kompleks wyższości, jak go opisałem, najczęściej przejawia się jasno w postawie, charakterystycznych rysach i mniemaniu o własnych nadludzkich zdolnościach i sprawności. Może się też uwidoczniać w przesadnych pretensjach do siebie i do drugich. Zadzieranie nosa, próżność w odniesieniu do wyglądu zewnętrznego, bez względu czy jest wytworny czy zaniedbany, wyróżniający się strój, nadmierne akcentowanie męskości wobec kobiet, kobiecości wobec mężczyzn, pycha, wybujałość uczuciowa, snobizm, chełpliwość, despotyzm, zrzędliwość, skłonność deprecjonowania, określona przeze mnie jako objaw charakterystyczny, przesadny kult bohaterów, jak również chęć poufalenia się z wybitnymi ludźmi, lub panowania nad słabymi, chorymi, ludźmi o mniejszych wymiarach, podkreślanie własnej odrębności, nadużywanie wartościowych idei i prądów w celu obniżania drugich itd. mogą skierować uwagę na poszukiwany kompleks wyższości. Tak samo spotęgowanie afektów, jak gniew, mściwość, żałoba, entuzjazm, nawykowy rozgłośny śmiech, niesłyszenie i niewidzenie przy spotkaniu z drugimi, kierowanie rozmowy na własną osobę, nawykowy entuzjazm, często z powodów błahych, bywają nieraz przejawami poczucia niepełnowartości, znajdującego ujście w kompleksie wyższości. Także zabobonne przypuszczenia, wiara w zdolności telepatyczne i inne w tym rodzaju, w prorocze natchnienia, budzą słusznie podejrzenie co do istnienia kompleksu wyższości. Ludzi oddanych idei spólnoty rad bym jeszcze ostrzec przed użyciem tej idei do kompleksu nadwartości i przed nierozważnym narzucaniem jej każdemu. To samo odnosi się do znajomości kompleksu niepełnowartości i jego przesłaniającej nadbudowy. Ściąga się na siebie podejrzenie co do jednego i drugiego, szermując nimi

bez zastanowienia i nie osiągając niczego, prócz — często uzasadnionej — wrogości. Przy należytym stwierdzaniu takich faktów nie wolno też zapominać o ogólnej ludzkiej omylności, która sprawia, że także szlachetne i wartościowe charaktery mogą popaść w błąd kompleksu nadwartości. Nie mówiąc już o tym, że, jak to pięknie powiedział Barbuse, „także dobrotliwy człowiek nie może się czasem uchronić od uczucia wzgardy". Z drugiej strony mogą nas te drobne, dlatego mało „ufryzowane" rysy skłonić do skierowania reflektora psychologii indywidualnej na chybienia w wielkich kwestiach życiowych, by tam rozumieć i wyjaśniać. Słowa, frazesy, nawet zabezpieczone mechanizmy duchowe, wcale się nie przyczyniają do zrozumienia jednostki. Podobnie jak nasza znajomość typów, typowości. W przypadkach domniemania mogą jednak służyć do oświetlenia pewnego określonego pola widzenia, gdzie spodziewamy się znaleźć to, co w jednostce jest jednorazowe — to jednorazowe, które musimy też wyjaśnić przy udzielaniu rady, zawsze bacząc na to, w jakim stopniu musimy uzupełnić poczucie spólnoty.

Kondensując, celem treściwego przeglądu kierownicze ideje w rozwoju ludzkości, aż ujawni się ich kwintesencja, odkryjemy ostatecznie trzy formalne linie wytyczne, które raz po raz i kolejno nadają wartość wszelkiej działalności ludzkiej. Po upływie może idylicznego tysiąclecia, kiedy wskutek nakazu „mnóżcie się", żerowiska stały się zbyt ciasne, ludzkość wynalazła sobie jako ideał zbawienia — tytana, Herkulesa lub imperatora. W kulcie herosów, w żądzy bijatyki, w wojnie, spotyka się po dziś dzień i u wszystkich warstw silne echo przebrzmiałych czasów, sławione przez wielkich i małych jako najlepsza droga do wzlotu ludzkości. Zrodzony z ciasnoty żerowisk, ten pęd mięśniowy prowadzi logicznie do kneblo-

wania i tępienia słabszych. Ciężkoatleta lubi proste rozwiązanie: gdzie mało żeru, tam on zagarnia go dla siebie. Lubi prosty, jasny rachunek — gdyż wypada na jego korzyść. W przekroju naszej kultury rozumowanie to zajmuje dużo miejsca. Kobiety są prawie całkiem wyłączone od bezpośrednich wyczynów tego rodzaju i liczą się tylko jako rodzicielki, wielbicielki, pielęgniarki. Ale cena paszy podniosła się do niesamowitej wysokości. I wciąż się jeszcze podnosi. Czy duch tego nieskomplikowanego dążenia mocy jest już bezsensem?

Pozostaje jeszcze troska o przyszłość, także o potomstwo. Ojciec zgarnia dla swoich dzieci. Troska się o późniejsze pokolenia. Troszcząc się o piąte pokolenie, troszczy się co najmniej o 32 członków swojego rodu, mających te same pretensje do jego potomka.

Towary ulegają zepsuciu. Można zamienić je na złoto. Wartość towarów można pożyczać w złocie. Można kupować siłę drugich. Można wydawać im rozkazy, więcej, można wpoić im sposób myślenia, sens życia. Można ich wychować w kulcie siły, złota. Można im nadać ustawy, oddające ich w służbę siły, posiadania.

Także w tej sferze kobieta nie pracuje twórczo. Tradycja i wychowanie zamykają jej tu drogę. Może uczestniczyć swym podziwem lub trzymać się na uboczu, rozczarowana. Może hołdować władzy lub, co zdarza się częściej, bronić się przed swoją bezsiłą. Przy czym należy zważyć, że opór jednostek schodzi najczęściej na bezdroża.

Przeważna liczba mężczyzn i kobiet może czcić równocześnie siłę i posiadanie, jedni w bezczynnym podziwie, drudzy w dążeniu, pełnym nadziei. Kobietę dzieli większy dystans od osiągnięcia tych ideałów kultury.

Do filistra, czczącego siłę i posiadanie, przyłącza się w harmonijnym dążeniu do wyższości osobistej, filister

kultury. Wiedza jest (także) potęgą. Niepewność życia nie znalazła dotąd — na ogół — lepszego rozwiązania od dążenia do potęgi. A oto czas zastanowić się, czy jest to jedyna, najlepsza droga do zabezpieczenia życia, do rozwoju ludzkości. Można się też uczyć ze struktury życia kobiety. Kobieta nie jest bowiem po dziś dzień uczestniczką potęgi filisterstwa kultury.

A przecież zarówno mężczyzna jak kobieta mogą zrozumieć, że przy równym przygotowaniu, kobieta mogłaby skutecznie uczestniczyć w potędze filisterstwa. Platońska idea wyższości siły mięśniowej musiała chyba już w niezrozumiałym (podświadomym) utracić znaczenie. Bo jakże inaczej dałoby się cichy i jawny bunt świata kobiecego (protest męski) w jego tysiącznych odmianach obrócić na pożytek ogółu?

Ostatecznie żywimy się przecież wszyscy jak pasożyty nieśmiertelnymi dziełami artystów, geniuszów, myślicieli, badaczy i wynalazców. Oni są właściwymi wodzami ludzkości. Oni są motorem dziejów świata, my — rozdawcami. Między mężczyzną a kobietą rozstrzygały dotychczas: siła, posiadanie, zarozumiałość wykształcenia.

Stąd rejwach i to mnóstwo książek o miłości i małżeństwie.

Ale wielkie dzieła, którymi się żywimy, zawsze zwyciężały jako najwyższa wartość. Zwycięstwo ich święci się przeważnie nie w błyskotliwych słowach, ale korzystają z niego wszyscy. W tych wielkich dziełach uczestniczą też zapewne kobiety. Siła, posiadanie i zarozumiałość wykształcenia przeszkodziły niewątpliwie ich uczestnictwu w większej mierze. W całym rozwoju sztuki rozbrzmiewa jednak głos męski. Kobieta jest tam zastępczynią mężczyzny, więc siłą drugorzędną. Co trwać będzie dopóty, aż któraś z nich odkryje tam głos kobiety, by go rozwinąć. W dwóch rodzajach

sztuki już się to dokonało: w sztuce aktorskiej i sztuce tańca. Tu może występować jako kobieta. I tu też doszła do osiągnięć najwyższych.

VIII.

TYPY CHYBIEŃ.

Z wielką tylko ostrożnością przystępuję do nauki o typach, gdyż do umysłu uczącego się łatwo zakrada się pomyłka, jakoby typ był czymś mocno zwartym, samoistnym, opierającym się na czymś więcej niż na podobnej na ogół strukturze. Jeśli się tu zatrzyma i sądzi, że słysząc słowo: zbrodniarz, albo neuroza lęku lub schizofrenia, zrozumiał już coś z przypadku indywidualnego, to nie tylko odcina sobie możność indywidualnego badania, lecz nigdy nie wydobędzie się już z nieporozumień, powstających między nim a pacjentem. Być może, że najlepsze pojęcia, jakie zdobyłem przez zajmowanie się życiem duchowym, wynikają z mojej ostrożności w posługiwaniu się typologią. To posługiwanie się, którego nie można wprawdzie całkiem pominąć, umożliwia nam badanie ogólne, powiedzmy, ogólną diagnostykę, ale o przypadku poszczególnym i leczeniu go mało nam może powiedzieć. Najlepiej postępuje, kto stale pamięta o tym, że w każdym przypadku chybienia mamy do czynienia z objawami, które z poszczególnego uczucia niepełnowartości, jakie mamy odkryć, wyrosły w kompleks wyższości, w zetknięciu z czynnikiem egzogenicznym, wymagającym więcej poczucia spólnoty, niż dana jednostka wyniosła go ze swego dziecięctwa.

Rozpocznijmy od „dzieci trudnych do wychowania".

Można oczywiście mówić o tym typie tylko wtedy, gdy się okaże, że dziecko przez dłuższy czas nie staje do współpracy jako równouprawniony uczestnik. Brak mu poczucia spólnoty, jakkolwiek sprawiedliwość zmusza do stwierdzenia, że poczucie spólnoty wystarczające w warunkach przeciętnych, wskutek niesprawiedliwego napięcia w domu lub w szkole, często okazuje się jako nie wystarczające. Przypadek ten jest częsty i powszechnie znany w swoich przejawach. Możemy z tego poznać nieco wartość badań psychologii indywidualnej, by być przygotowanym do trudniejszych przypadków. Eksperymentalne, grafologiczne badanie jednostki, niedawno oderwanej od swego otoczenia, może spowodować wielkie błędy i nie uprawnia żadną miarą do robienia specjalnych propozycyj jednostce w ten sposób oderwanej, ani też do jakiegokolwiek klasyfikowania jej. Z tych i tym podobnych faktów okazuje się, że psychologia indywidualna musi posiąść dostateczną znajomość wszelkich możliwych stosunków i braków społecznych, by móc widzieć należycie. Można posunąć się jeszcze dalej i żądać, by badacz, posługujący się psychologią indywidualną posiadał o swoich zadaniach i o warunkach życiowych takie mniemanie i taki pogląd na świat, któreby zmierzały do dobra ogółu.

Zaproponowałem podział dzieci trudnych do wychowania, który pod niejednym względem okazuje się użytecznym: na bardziej b i e r n e, jak leniwe, ospałe, posłuszne, lecz zależne, nieśmiałe, bojaźliwe, kłamliwe i tym podobne, i na bardziej c z y n n e, jak żądne władzy, niecierpliwe, burzliwe i skłonne do afektów, na zacięte, okrutne, chełpliwe, uciekające z domu, kradnące, o łatwej pobudliwości płciowej itd. Nie należy tu rozszczepiać włoska, lecz w każdym poszczególnym przypadku starać się upewnić, jaki stopień aktywności da się w przybliżeniu stwierdzić. Jest to

tym ważniejsze, że w razie zdecydowanego chybienia, można oczekiwać i zauważyć niemal taki sam stopień chybionej aktywności co w dziecięctwie. Niemal że należyty stopień aktywności, zwący się tu odwagą, napotka się u dzieci z dostatecznym poczuciem spólnoty. Usiłując odkryć ten stopień aktywności w temperamencie, w szybkości lub powolności posuwania się naprzód, nie wolno zapominać, że także te formy wyrazu są częściami całego stylu życiowego, więc przy skutecznej poprawie ukażą się zmienione. Nie będzie zdumiewać, gdy wśród neuropatów odkryje się znacznie większy procent b i e r n y c h, a wśród zbrodniarzy, c z y n n y c h błędów dziecięcych. Twierdzenie, że późniejsze chybienie mogłoby nastąpić bez istnienia trudności w wychowaniu, przypisałbym raczej mylnej obserwacji. Zdarza się wprawdzie, że wyjątkowo pomyślne warunki zewnętrzne przesłaniają wyłonienie się błędu dziecka, który przy ściślejszym badaniu od razu się ujawni. W każdym razie wolimy egzaminy urządzane przez życie od wszelkich eksperymentalnych, gdyż przy egzaminach życiowych nie zaniedbuje się związku z życiem.

Błędy dziecięce, należące do zakresu psychologii lekarskiej, istnieją, abstrahując od przypadków brutalnego obchodzenia się, niemal wyłącznie u dzieci rozpieszczonych, uległych i mogą też iść w parze z większą lub mniejszą aktywnością. Zatem: nocne moczenie, kaprysy przy jedzeniu, krzyczenie w nocy, zadyszka, zaparcie, jąkanie się itd. Błędy te wyrażają się niby protest przeciw budzeniu się do samodzielności i współpracy i wymuszają poparcie drugich. Także dziecięcy samogwałt, uprawiany przez dłuższy czas mimo odkrycia, charakteryzuje ów brak poczucia spólnoty. Nie zrobi się nigdy za wiele, jeśli postępując symptomatycznie, sami usiłujemy błąd ten wykorzenić. Pewnego

skutku można oczekiwać jedynie po wzmocnieniu poczucia spólnoty.

Gdy bardziej bierne błędy i trudności dziecięce wykazują już rys zbliżony do neurozy, silne akcentowanie „ja“, silniejsze „ale“, to odwrót od zagadnień życiowych w newrozie występuje wyraźniej, bez jawnego akcentowania kompleksu nadwartości. Zawsze można tu zauważyć pozostawanie na wygnaniu poza frontem życia, trzymanie się w oddali od współpracy, albo szukanie ułatwień i wymówek na wypadek porażki. Trwały stan rozczarowania, obawa przed innymi rozczarowaniami i klęskami przejawia się w zachowaniu objawów wstrząsów, które zapewniają pozostawanie zdala od rozwiązywania problemów wspólnych. Czasem, jak zdarza się w nerwicy przymusowej, chory posuwa się do łagodniejszych przekleństw, zdradzających jego niezadowolenie z drugich. Przy obłędzie prześladowczym chory przejawia jeszcze wyraźniej swoje poczucie wrogości życia, o ile się go jeszcze nie dopatrzono w trzymaniu się zdala od zagadnień życiowych. Myśli, uczucia, sądy i poglądy biegną zawsze w kierunku odwrotu, wobec czego każdy mógłby wyraźnie poznać, iż n e w r o z a j e s t a k t e m t w ó r c z y m, a n i e n a w r o t e m d o f o r m i n f a n t y l n y c h l u b a t a w i s t y c z n y c h. Ten akt twórczy, którego sprawcą jest styl życia, prawo ruchu, stworzone przez jednostkę samą, zawsze w jakiejś formie zmierzając ku wyższości, jest także tym, co w różnorakich formach, znów odpowiednio do stylu życiowego, stara się przeszkadzać leczeniu, dopóki u pacjenta nie przeważy przekonanie, *common sense*. Nie rzadko tajemny cel wyższości kryje się, jak to odkryłem, w na pół żałosnej, na pół pocieszającej perspektywie: czego by to pacjent nie był dokonał, gdyby jego jedyny w swym rodzaju wzlot nie został był uni-

cestwiony przez jakąś drobnostkę, najczęściej z winy drugich. W czasie, poprzedzającym chybienie, można przy pewnym doświadczeniu odkryć zawsze spotęgowane poczucie niepełnowartości, dążenie do osobistej wyższości i brak poczucia spólnoty. Odwrót od zagadnień życiowych znajduje pełny wyraz w samobójstwie. W jego duchowej strukturze tkwi aktywność, żadną miarą odwaga, czynny protest przeciw pożytecznej współpracy. Cios, uderzający w samobójcę, nie oszczędza drugich. Spólnota dążąca naprzód będzie się zawsze czuć dotknięta przez samobójstwo. Czynnikami egzogenicznymi, które powodują kres jednostki o zbyt małym poczuciu spólnoty są wymienione już trzy wielkie problemy życiowe: społeczność, zawód i miłość. We wszystkich przypadkach, brak uznania jest powodem doprowadzającym do samobójstwa lub pragnienia śmierci — przeżyta lub zagrażająca porażka w jednym z owych trzech zagadnień życiowych, poprzedzona okresem przygnębienia lub melancholii. Przyczynek do psychologii indywidualnej — kiedy w 1912 ukończyłem swoje badania nad tym schorzeniem psychicznym i mogłem stwierdzić, że wszelka prawdziwa melancholia, (Patrz: Adler, „Praxis und Theorie der Individualpsychologie" l. c.) groźby popełnienia samobójstwa i samobójstwo wyrażają wrogi atak na drugich, przy zbyt małym poczuciu spólnoty — utorował następnie drogę do lepszego zrozumienia tej psychozy. Podobnie jak samobójstwo, którym często niestety kończy się ta psychoza, jest ona postawieniem aktu rozpaczy w miejsce współpracy, pożytecznej dla ogółu. Utrata majątku, zajęcia, rozczarowanie w miłości, wszelkiego rodzaju poniżenia mogą przy odpowiednim prawie ruchu sprowadzić ten akt rozpaczy w formie, w której dotknięty nie cofa się też przed poświęceniem rodziny i drugich. Subtelnemu psychologowi nie ujdzie

uwagi fakt, że chodzi tu o ludzi, łatwiej podlegających rozczarowaniom życiowym, ponieważ zbyt wiele oczekują od życia. Podług dziecięcego stylu życiowego, należałoby słusznie oczekiwać, że w ich dziecięctwie da się odkryć stopień podatności do wstrząsów z długo trwającymi stanami rozstroju lub skłonnością do samouszkodzenia, niejako dla ukarania drugich. Działanie wstrząsu, znacznie większe od zwykłej normy, wywołuje, jak to stwierdziły nowsze badania, także zmiany fizyczne, pozostające zapewne pod wpływem układu wegetatywnego i dokrewnego. Przy dokładniejszym badaniu da się, — jak przeważnie w moich przypadkach — dowieść, że niepełnowartość organów, a jeszcze bardziej rozpieszczający system stosowany w dziecięctwie, przywiodły dziecko do takiego stylu życiowego i zacieśniły rozwój dostatecznego poczucia spólnoty. Nie rzadko daje się też wykazać u nich jawny lub skrywany popęd do wybuchów gniewu, do krytykowania wszystkich małych i większych zadań w ich całym otoczeniu, do powoływania się na swoją godność.

Siedemnastoletni chłopiec, najmłodszy w rodzinie, niezwykle rozpieszczony przez matkę, pozostał, gdy matka musiała wyjechać, pod opieką starszej siostry. Pewnego wieczora pozostawszy w domu sam, kiedy musiał właśnie borykać się w szkole z trudnościami pozornie nieprzezwyciężonymi, chłopiec ten popełnił samobójstwo. Pozostawił następujące pismo: „Nie donoś matce, co zrobiłem. Obecny jej adres jest następujący... Gdy wróci, powiedz jej, że życie przestało mnie już cieszyć i że ma codziennie przynosić kwiaty na mój grób“.

Stara, nieuleczalnie chora kobieta popełniła samobójstwo, ponieważ jej sąsiad nie chciał rozstać się ze swoim radiem.

Szofer pewnego bogatego człowieka dowiedział się

po jego śmierci, że nie ma dostać przyrzeczonej mu spuścizny, a wtedy zamordował swoją żonę i córkę i popełnił samobójstwo.

Kobieta licząca 56 lat, rozpieszczana w dzieciętwie, a następnie przez męża, odgrywająca też wybitną rolę w towarzystwie, bardzo cierpiała z powodu śmierci męża. Dzieci, pożenione i zamężne, nie zbyt były skłonne do wyłącznego zajmowania się matką. Wskutek nieszczęśliwego przypadku doznała złamania szyjki kości udowej. Także po wyleczeniu trzymała się zdala od towarzystwa. Wpadła na pomysł odbycia podróży naokoło świata, mającej jej dostarczyć miłych podniet, jakich była pozbawiona w domu. Dwie przyjaciółki oświadczyły gotowość towarzyszenia jej. W większych miastach na kontynencie, przyjaciółki pozostawiały ją zawsze samą, gdyż wskutek nadmiernej tuszy nie mogła dużo chodzić. Wpadła w niezwykły rozstrój, który rozwinął się w melancholię i przyzwała jedno ze swych dzieci. Zamiast dziecka przybyła pielęgniarka, która odwiozła ją do domu. Widziałem tę kobietę po trzechletniej chorobie, nie wykazującej żadnego polepszenia. Główna jej skarga obracała się koło tego, jak bardzo dzieci muszą cierpieć z powodu jej choroby. Dzieci odwiedzały ją na przemian, ale długotrwała choroba przytępiła ich wrażliwość, więc nie okazywały zbytniego przejęcia. Chora zdradzała się ciągle z myślami o samobójstwie i nie przestawała mówić o nadmiernej troskliwości dzieci. Łatwo było zauważyć, że okazywały jej więcej troskliwości niż przed chorobą i że uznawanie przez nią owej troskliwości dzieci pozostawało w sprzeczności z prawdą, a zwłaszcza z owym oddaniem, jakiego ta rozpieszczona kobieta wyczekiwała. Wżywając się w stan owej kobiety, można pojąć, jak trudno byłoby jej zrezygnować jeszcze z tej przez chorobę tak ciężko okupionej troskliwości.

Inny rodzaj aktywności, skierowanej nie przeciw własnej osobie, lecz przeciw drugim, wcześnie zdobywają te dzieci, które popadły w błędne mniemanie, jakoby inni ludzie byli ich obiektami, a temu swojemu mniemaniu dają one wyraz, zagrażając swoją postawą mieniu, pracy, zdrowiu i życiu drugich. Jak daleko posuwają się w tym kierunku, zależy znów od stopnia ich poczucia spólnoty. A w każdym poszczególnym przypadku musi się raz po raz punkt ten uwzględniać. Można zrozumieć, że ten pogląd na sens życia, wyrażony myślami, uczuciami i nastrojami, rysami charakteru i czynami, nie ujawniający się nigdy w wyraźnych słowach, utrudnia im prawdziwe życie, domagające się spólnoty. Temu oczekiwaniu, odczuwanemu jako uprawnione i domagającemu się natychmiastowego zaspokojenia, towarzyszy niechybnie odczucie wrogości życia. Ponadto nastrój ten wiąże się ściśle z uczuciem ograbienia, wskutek czego stale i w wysokim stopniu utrzymuje się zawiść, zazdrość, chciwość i dążenie do pokonania wybranej ofiary. Wobec tego, że dążenie do rozwoju użytecznego grzęźnie w niedostatecznym poczuciu spólnoty, a silne oczekiwania, podsycane przez odurzenie wyższością pozostają niespełnione, spotęgowanie afektów powoduje często ataki na drugich. Kompleks niepełnowartości staje się trwałym z chwilą, gdy daje się odczuć porażka na linii spólnoty, w szkole, w towarzystwie, w miłości. Połowa ludzi dochodzących do zbrodni, to nieoświeceni robotnicy, którzy już w szkole nie sprostali swym obowiązkom. Wielka liczba ujętych zbrodniarzy cierpi na choroby weneryczne, co jest oznaką niedostatecznego rozwiązania problemu miłości. Towarzyszy poszukują tylko wśród swoich równych, zdradzając w ten sposób ciasnotę swych uczuć przyjaznych. Kompleks wyższości pochodzi u nich z przekonania, że przewyższają swoje

ofiary i przy należytym wykonaniu mogą dać szczutka ustawom i ich organom. Istotnie, nie ma chyba zbrodniarza, który by nie miał na swym koncie więcej przestępstw, niż można mu udowodnić, pomijając zbrodniarzy, których się nigdy nie wykrywa. Zbrodniarz popełnia swój czyn w złudzeniu że nie zostanie odkryty, jeśli się tylko należycie zabierze do rzeczy. Gdy mu jednak dowiodą popełnionej zbrodni, to jest dogłębnie przeświadczony, że zaniechał jakiejś drobnostki i dlatego został odkryty. Jeśli w poszukiwaniu śladów skłonności zbrodniczej cofniemy się aż do dziecięctwa danego osobnika, to obok wczesnej, źle stosowanej aktywności z jej wrogimi cechami charakteru i obok braku poczucia spólnoty, odkryjemy także niepełnowartość organów, rozpieszczenie i zaniedbanie, jako przyczyny, wiodące do rozwoju zbrodniczego stylu życia. Najczęstszą może przyczyną bywa rozpieszczenie. Podobnie jak nigdy nie można wykluczać poprawy stylu życiowego, tak samo należy koniecznie badać w każdym poszczególnym przypadku stopień jego poczucia spólnoty i uwzględniać wagę czynnika egzogenicznego. Nikt nie ulega tak łatwo niebezpieczeństwu pokusy jak rozpieszczone dziecko, przywykłe do otrzymywania wszystkiego, czego chce. Należy zrozumieć dokładnie wielkość pokusy, tym niebezpieczniej uzewnętrzniającej się u jednostki obciążonej skłonnością zbrodniczą, jako rozporządzającej pewnym zasobem aktywności. Także w przypadku zbrodni jest rzeczą jasną, że musimy ujmować jednostkę w jej zależności od warunków społecznych. W wielu przypadkach wystarczyłoby istniejące poczucie spólnoty do powstrzymania człowieka od zbrodni, gdyby temu jego poczuciu spólnoty nie stawiano nazbyt wielkich żądań. Ta okoliczność tłómaczy też, dlaczego w ciężkich warunkach liczba zbrodni tak znacznie się powiększa. Że

okoliczność ta nie jest przyczyną zbrodni, o tym świadczy fakt, że w Stanach Zjednoczonych w okresie prosperity wzrosła liczba zbrodni, ponieważ liczne były pokusy łatwego i szybkiego zdobycia majątku. Fakt, że szukając przyczyn skłonności zbrodniczych, natrafia się na złe środowisko w dziecięctwie, że w pewnych obwodach wielkomiejskich napotyka się nagromadzenie występków, żadną miarą nie upoważnia do wniosku, że oto odkryło się przyczynę. Łatwo jest raczej zrozumieć, że w takich warunkach nie można spodziewać się dobrego rozwoju poczucia spólnoty. Nie wolno też zapominać, jak niedostateczne jest przygotowanie dziecka do późniejszego życia, jeśli już wcześnie wyrasta niejako z protestem przeciw życiu, w niedostatku i brakach, i codziennie ogląda tuż w pobliżu lepsze warunki życia drugich, a w dodatku nie doznaje też żadnego poparcia dla rozwoju swojego poczucia spólnoty. Bardza dobrą, pouczającą ilustrację stanowią badania Dra Younga o ukształtowaniu się przestępczości wśród sekty emigrantów. W pierwszym pokoleniu, które żyło w odosobnieniu i biedzie, nie było ani jednego przestępcy. W drugim pokoleniu, którego dzieci uczęszczały już do szkół powszechnych, ale wciąż jeszcze były wychowywane w tradycjach swojej sekty, w pobożności i niedostatku, pojawiła się już znaczniejsza liczba przestępców. W trzecim pokoleniu była ich przerażająca ilość.

„Zbrodniarz urodzony" należy już także do zniesionej kategorii. Do tego rodzaju błędnych poglądów albo do idei zbrodniarza z poczucia winy można dojść jedynie przy nieuwzględnieniu naszych stwierdzeń, raz po raz wskazujących na ciężkie poczucie niepełnowartości w dziecięctwie, na ukształtowanie się kompleksu wyższości i na niedostatecznie rozwinięte poczucie spólnoty. U zbrodniarzy napotyka się wielką ilość oznak

niepełnowartości organów, a w następstwie wstrząsu, wywołanego przez wyrok skazujący, konstatuje się silniejsze wahania podstawowej przemiany materii, jako prawdopodobne znamiona konstytucji, trudniej dochodzącej do równowagi niż inne. Napotyka się nadmiernie wielką liczbę ludzi, których rozpieszczano lub którzy tęsknią do rozpieszczania. I napotyka się też pośród nich jednostki, które kiedyś w dziecięctwie były zaniedbywane. Zawsze można przekonać się o prawdziwości tych faktów, o ile tylko nie przystępuje się do ich badania z gotowym frazesem i ciasną formułką. Niepełnowartość organów przejawia się często w sposób uderzający w zdarzającej się brzydocie zbrodniarzy. Ze względu na wielu pięknych ludzi pośród nich budzi się podejrzenie rozpieszczenia, stale wymagające nowych potwierdzeń.

N. był takim pięknym chłopcem, który po półrocznym więzieniu prewencyjnym został zwolniony. Przestępstwem jego była kradzież znacznej kwoty z kasy szefa. Mimo wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego mu odsiedzeniem trzechletniej kary więziennej w razie powtórnego dopuszczenia się czynu karalnego, po krótkim czasie skradł znów jakąś drobną kwotę. Zanim się to rozgłosiło, przysłano go do mnie. Był najstarszym synem bardzo uczciwej rodziny, rozpieszczonym ulubieńcem matki. Niezwykle ambitny, chciał wszędzie być przewódcą. Wyszukiwał sobie tylko takich przyjaciół, którzy stali poniżej jego poziomu, zdradzając tym samym swoje poczucie niepełnowartości. W swoich najdawniejszych wspomnieniach dziecięctwa był zawsze stroną biorącą. W czasie popełnienia wielkiej kradzieży widywał dokoła siebie najbogatszych ludzi, kiedy właśnie ojciec jego pozostał bez zajęcia i nie mógł pracować na rodzinę. Sny o lataniu i sytuacje we śnie, w których był bohaterem, charakteryzują jego ambitne dą-

żenia, a równocześnie jego uczucie pewności, z góry zakładające powodzenie. Pod wpływem kuszącej sposobności dokonał kradzieży, by móc wykazać swoją wyższość w stosunku do ojca. Druga drobna kradzież była wyrazem protestu przeciw więzieniu prewencyjnemu i podrzędnemu stanowisku, jakie teraz zajmował. Będąc uwięzionym, śnił kiedyś, że podano mu jego ulubioną potrawę, ale przypomniał sobie we śnie, że w więzieniu jest to przecież niemożliwe. Łatwo spostrzec, że obok łakomstwa przejawia się tu także jego protest przeciw wyrokowi.

Mniejszą aktywność napotyka się z reguły u nałogowców. Otoczenie, namowa, poznanie trucizn jak morfina i kokaina, czy to podczas choroby, czy w zawodzie lekarskim, bywają tu sposobnością, wywołującą jednak skutek tylko w takich sytuacjach, w których dany osobnik stanie przed zagadnieniem, pozornie nierozwiązalnym. Podobnie jak w przypadkach samobójstwa, rzadko tylko brak zamaskowanego ataku na drugich, mających obowiązek dbać o daną jednostkę. W pijaństwie, jak to wykazałem, często zdaje się odgrywać rolę specjalny składnik smaku, tak samo jak całkowitą abstynencję znacznie zapewne ułatwia brak upodobania w alkoholu. W początkach pijaństwa przejawia się bardzo często ciężkie poczucie niepełnowartości, a nawet rozwinięty kompleks wyższości, który już poprzednio wyrażał się dość dokładnie nieśmiałością, odosobnianiem się, nadwrażliwością, niecierpliwością, drażliwością, nerwowymi objawami jak lęk, zgnębienie, niedomoga płciowa, albo też kompleksem wyższości, jak chełpliwość, złośliwy pęd do krytykowania, żądza władzy itd. Także nadmierne palenie i pożądanie mocnej czarnej kawy charakteryzują często nastrój beznadziejnego niezdecydowania. Jakby przy pomocy jakiegoś fortelu usuwa się na pewien czas

ciążące poczucie niepełnowartości, lub nawet, na przykład przy czynach kryminalnych przeobraża się je w spotęgowaną aktywność. Wszelkie porażki można we wszystkich przypadkach pijaństwa przypisywać nieprzezwyciężonemu nałogowi, czy chodzi o stosunki towarzyskie, zawodowe, czy o miłość. Bezpośrednie działanie trucizn wywołuje również u danego osobnika uczucie odciążenia.

Dwudziestosześcioletni młody człowiek, który urodził się w ośm lat po siostrze, wyrastał w warunkach korzystnych, niezmiernie rozpieszczony i samowolny. Przypominał sobie, że przebrany za lalkę, często spoczywał w ramionach matki lub siostry. Kiedy licząc cztery lata, dostał się na dwa dni pod surowszą opiekę babki, przy pierwszej jej odmowie spakował swoje manatki i chciał wracać do domu. Ojciec pił, co wprawiało matkę w wielkie wzburzenie. Dzięki wpływowi rodziców miał w szkole warunki nazbyt ułatwione. Podobnie jak to zrobił licząc cztery lata, opuścił też dom rodziców z chwilą, gdy z czasem matka zaczęła go mniej rozpieszczać. Na obczyźnie, jak często dzieje się ze spieszczonymi dziećmi, nie mógł zadomowić się należycie i na zebraniach towarzyskich, przy wykonywaniu zawodu, w zetknięciu z dziewczętami popadał stale w trwożne onieśmielenie i rozdrażnienie. Bardziej się jakoś zbliżył do kilku ludzi, którzy nauczyli go pić. Matka jego, dowiedziawszy się o tym, a zwłaszcza, że w stanie nietrzeźwym popadł w zatarg z policją, udała się do niego i w gorących słowach prosiła, by zaprzestał pić. Skutek był taki, że nie tylko w dalszym ciągu szukał ulgi w piciu, lecz że w ten sposób zmusił matkę do obdarzania go jeszcze większymi względami i pieszczotami niż dawniej.

Dwudziestoczteroletni słuchacz uniwersytetu uskarżał się na bezustanny ból głowy. Już w szkole wystę-

powały ciężkie nerwowe objawy agorafobii. Pozwolono mu zdawać egzamin dojrzałości w domu. Później stan jego znacznie się poprawił. Na pierwszym roku studiów uniwersyteckich zakochał się w jakiejś dziewczynie i ożenił się. Niezadługo powrócił jego dawny ból głowy. Okazało się, że u tego bardzo ambitnego i niewiarygodnie rozpieszczonego człowieka, przyczyną tego zjawiska było stałe niezadowolenie z żony i zazdrość, wyrażająca się dokładnie w jego postawie i snach, których sobie jednak nigdy nie zdołał należycie wytłómaczyć. Raz na przykład śnił, że widział żonę ubraną jakby na polowanie. Pamiętał, że jako dziecko cierpiał na angielską chorobę, a jego niania, chcąc zdobyć sobie chwilę spokoju, — żądał bowiem by się nim stale opiekowano — kładła go. kiedy już miał cztery lata, na wznak, gdyż przy swojej otyłości, nie mógł się sam dźwignąć z tej pozycji. Jako drugi w szeregu rodzeństwa, stale żył ze starszym bratem w niezgodzie i zawsze chciał być pierwszym. Pomyślne okoliczności pomogły mu później do zajęcia wysokiego stanowiska, do którego dorósł wprawdzie umysłowo, ale nie duchowo. W rozdrażnieniu, nieuchronnym na jego stanowisku, uciekł się do morfiny, i kilkakrotnie wyleczony z tego nałogu, raz po raz padał ponownie jego ofiarą. I znów jako okoliczność utrudniająca weszła w grę jego bezpodstawna zazdrość. Gdy stanowisko jego stało się niepewne, popełnił samobójstwo.

IX.

UROJONY ŚWIAT CZŁOWIEKA ROZPIESZCZONEGO.

Rozpieszczeni ludzie nie cieszą się dobrą opinią. Nigdy się nią nie cieszyli. Rodzice nie lubią, gdy się ich obwinia o rozpieszczanie dzieci. Żaden rozpieszczony człowiek nie chce uchodzić za takiego. Raz po raz nasuwają się wątpliwości, co należy rozumieć pod rozpieszczeniem. Każdy jednak odczuwa je jakby intuicyjnie jako ciężar i przeszkodę w należytym rozwoju.

Mimo to każdy człowiek lubi być przedmiotem rozpieszczania. Niektórzy całkiem specjalnie. Wiele matek nie zdoła powstrzymać się od rozpieszczania. Na szczęście wiele dzieci broni się przeciw temu tak silnie, że szkoda staje się dzięki temu mniejsza. Formuły psychologiczne są twardym orzechem do zgryzienia. Nie możemy ich użyć jako surowych wytycznych, którymi moglibyśmy posługiwać się na ślepo przy poszukiwaniu podstaw osobowości, ani też przy wyjaśnianiu nastawień i charakterów. Musimy raczej w każdym kierunku oczekiwać miliona odmian i odcieni, a to co uważamy za swoje odkrycie, musimy ciągle porównywać z równoległymi faktami i ponownie stwierdzać. Jeśli bowiem dziecko opiera się rozpieszczaniu, to zwykle posuwa się w swym oporze zbyt daleko, przenosząc go także na sytuacje, w których przyjazna pomoc z zewnątrz byłaby jedynie rozsądną.

Jeśli rozpieszczenie dokona się później w życiu i jak często bywa w podobnych przypadkach, idzie w parze z krępowaniem wolnej woli, to rozpieszczanemu może się wprawdzie czasem znudzić, ale jego styl życiowy, zdobyty w dziecięctwie nie ulegnie przez to żadnej zmianie.

Psychologia indywidualna twierdzi, że nie ma innej drogi do zrozumienia człowieka poza obserwowaniem ruchów, jakie wykonuje, w celu rozwiązania problemów życiowych. Należy przyglądać się bacznie, jak i czemu je wykonuje. Życie jego zaczyna się od posiadania ludzkich możliwości, możliwości rozwoju, które są zapewne rozmaite, jakkolwiek rozmaitości tych nie zdołamy poznać z niczego innego, jak tylko z jego czynów. To, co oglądamy na początku życia, wykazuje już silny wpływ warunków zewnętrznych od pierwszego dnia jego życia. Obydwa wpływy: dziedziczność i świat otaczający stają się jego własnością, którą dziecko zużytkowuje i posługuje się nią, celem znalezienia swojej drogi rozwoju. Nie można jednak pomyśleć sobie drogi i ruchu, ani rozpocząć ich bez kierunku i celu. *Celem ludzkiej duszy jest przezwyciężenie, doskonałość, pewność, wyższość.*

Zużytkowując przeżyte wpływy ciała i otoczenia, dziecko jest w mniejszym czy większym stopniu skazane na swoją własną twórczą siłę, na odgadywanie drogi. Jego mniemanie o życiu, na którym opiera się jego postępowanie, nie wyrażone ani słowami, ani myślami, jest własnym arcydziełem dziecka. Tak dochodzi ono do swojego prawa ruchu, doprowadzającego je po pewnym ćwiczeniu do owego stylu życiowego, zgodnie z którym jednostka przez całe życie myśli, czuje i działa. Ten styl życiowy wyrósł prawie zawsze w sytuacji, zapewniającej dziecku pomoc z zewnątrz. W roz-

maitych okolicznościach styl ten nie wydaje się całkiem odpowiednim do sprostania zadaniom, gdy na arenie życia okaże się potrzeba działania bez życzliwej pomocy.

Nasuwa się przeto pytanie, jaka postawa życiowa jest właściwa, jakiego rozwiązania zagadnień życiowych musi się oczekiwać. Psychologia indywidualna usiłuje w miarę możności przyczynić się do rozwiązania tej kwestii. Nikt nie jest obdarzony bezwzględną prawdą. Konkretne rozwiązanie, które musiałoby powszechnie być uznane jako właściwe, musi przynajmniej w dwóch punktach wytrzymać próbę. Myśl, uczucie, czyn, można tylko wtedy uznać za właściwe, jeśli okażą się właściwe *sub specie aeternitatis* (pod kątem wieczności). Ponadto musi to rozwiązanie być niezaprzeczalnie zgodne z dobrem spólnoty. Odnosi się to zarówno do tradycji jak do wyłaniających się nowych zagadnień. I odnosi się także do najżywotniejszych, jak również do pomniejszych spraw życia. Trzy wielkie zagadnienia życiowe, które każdy człowiek musi rozwiązać, i rozwiązać je na swój sposób, zagadnienia spólnoty, pracy i miłości, mogą być rozwiązane w przybliżeniu właściwe jedynie przez takich ludzi, którzy noszą w sobie ożywione dążenie do spólnoty. Rozumie się, że w nowo wyłaniających się problemach może istnieć niepewność, wątpliwości. Ale jedynie wola spólnoty może uchronić od wielkich błędów.

Jeśli przy takich badaniach natrafimy na typy, to nie zwalnia nas to od obowiązku odkrycia jednorazowości poszczególnego przypadku. Odnosi się to również do rozpieszczonych dzieci, tego piętrzącego się ciężaru dla domu rodzicielskiego, szkoły i społeczeństwa. Musimy odkryć przypadek poszczególny, gdy chodzi o dzieci trudne do wychowania, o ludzi nerwowych lub obłąkanych, o samobójców, przestępców, pijaków, jed-

nostki niemoralne itd. Wszyscy oni cierpią na brak poczucia spólnoty, co niemal zawsze można sprowadzić do rozpieszczenia w dziecięctwie lub do nadmiernego pragnienia rozpieszczenia i ułatwienia.

Aktywną postawę człowieka można poznać jedynie z należycie zrozumianego ruchu wobec zagadnień życiowych. Tak samo też jej brak. Dla poszczególnego przypadku pozostaje bez znaczenia, jeśli jakieś błędne objawy usiłuje się sprowadzić do mrocznej sfery niepewnej dziedziczności, jak to czynią zwolennicy psychologii posiadania, albo do wpływów otaczającego świata, ogólnie uważanych za niewłaściwe, które dziecko przyjmuje przecież z pewną dowolnością, przetrawia i reaguje na nie. Psychologia indywidualna jest psychologią użytkowania i podkreśla twórcze przyswajanie sobie i korzystanie z tych wszystkich wpływów. Kto stale rozmaite zagadnienia życia uważa za niezmienne, nie dostrzegając w każdym przypadku ich jednorazowości, może łatwo dojść do uwierzenia w działające przyczyny, popędy, instynkty, jako w demonicznych kierowników losu. Kto nie dostrzega, że dla każdego pokolenia wyłaniają się ciągle nowe zagadnienia, które nigdy wpierw nie istniały, ten może myśleć o działaniu dziedzicznej nieświadomości. Psychologia indywidualna zna zbyt dokładnie macanie po ciemku i szukanie, artystyczne dzieło umysłu ludzkiego przy rozwiązywaniu problemów, bez względu na to, czy jest właściwe czy niewłaściwe. Jest to dzieło jednostki, wyrosłe z jej stylu życiowego, warunkujące indywidualne rozwiązanie jej problemów. Jeśli się zna ubóstwo języka ludzkiego, to wiele odpada z wartości typologii. Jak rozmaite są stosunki, które określamy słowem „miłość". Czy kiedykolwiek napotyka się dwoje zamyślonych ludzi takich samych? Czyż można sobie wyobrazić, by życie dwojga jednakowych bliźniąt,

które nawiasem mówiąc, bardzo często pragną i starają się o identyczność, może tu, wśród zmiennych warunków bytowania, mieć kiedykolwiek jednakowy przebieg? Możemy, a nawet musimy posługiwać się typowością, tak samo jak prawdopodobieństwem, lecz nie wolno nam zapominać nawet przy podobieństwach, jaką rozmaitość wykazuje jednorazowa przecież jednostka. Możemy w swych oczekiwaniach posługiwać się prawdopodobieństwem do oświetlenia pola widzenia, w obrębie którego spodziewamy się znaleźć jednorazowość, musimy jednak wyrzec się tej pomocy, z chwilą natknięcia się na sprzeczności.

W poszukiwaniu korzeni poczucia spólnoty, zakładając możliwość jego rozwoju u człowieka, napotykamy od razu matkę, jako pierwszego i najważniejszego przewodnika. Natura przeznaczyła ją do tego zadania. Jej stosunek do dziecka jest ścisłą współpracą (spólnotą życia i pracy) przy której zyskują oboje, a nie, jak niektórzy sądzą, jednostronnym, sadystycznym wyzyskiwaniem matki przez dziecko. Ojciec, inne dzieci, krewni i sąsiedzi winni popierać to dzieło kooperacji, wdrażając dziecko jako równouprawnionego współpracownika do roli spółczłowieka, a nie przeciwnika ludzi. Im bardziej dziecko zdobywa przeświadczenie o możności polegania na drugich i ich współpracy, tym pochopniejsze staje się do spółżycia i samodzielnego spółdziałania. Wszystko co posiada, odda ono na usługi współpracy.

Gdzie jednak matka zbyt wyraźnie rozpływa się w przesadnej tkliwości, zwalniając dziecko od współpracy w jego zachowaniu się, myśleniu i działaniu, a nawet w mówieniu, będzie ono raczej skłonne do rozwoju pasorzytniczego (wyzyskującego) i oczekiwania wszystkiego od drugich. Będzie się zawsze cisnąć do zajęcia centralnego punktu i będzie usiłowało postawić

wszystkich na swoje usługi. Będzie rozwijać tendencje egoistyczne i rościć sobie prawo do uciskania drugich, do oczekiwania od nich ciągłych pieszczot, do brania, a nie do dawania. Rok czy dwa takiego treningu wystarczy do unicestwienia rozwoju poczucia spólnoty i skłonności do współpracy.

To w oparciu o drugich, to znów parte przez żądzę uciskania drugich, dzieci te natrafią bardzo rychło na nieprzezwyciężony dla nich opór świata, żądającego współczłowieczeństwa, współpracy. Odarte ze swych złudzeń, obwiniają drugich i zawsze widzą w życiu tylko pierwiastek wrogi. Pytania ich są zawsze nacechowane pesymizmem.

„Jaki sens ma życie?" „Dlaczego mam kochać swego bliźniego?" Jeśli stosują się do prawnych wymagań czynnej idei spólnoty, to jedynie dlatego, że z drugiej strony obawiają się odwetu, kary. Stanąwszy przed zagadnieniem spólnoty, pracy, miłości, nie znajdują drogi interesu społecznego, doznają wstrząsu, odczuwają jego skutki fizycznie i duchowo i rozpoczynają odwrót, przed lub po poniesieniu zrozumiałej klęski. Zawsze jednak trwają w swojej postawie, do której przywykli od dziecięctwa, że mianowicie stała im się krzywda.

Można już teraz zrozumieć, że wszystkie cechy charakteru nie tylko nie są wrodzone, lecz że przede wszystkim wyrażają stosunki, całkowicie włączone w styl życia. Są one współwytworem twórczego działania dziecka. Spieszczone dziecko, przywiedzione do samolubstwa, będzie w sobie rozwijać egoistyczne, zawistne, zazdrosne rysy, w spotęgowanej, jakkolwiek rozmaitej mierze, a żyjąc niejako we wrogim kraju, będzie okazywać przewrażliwienie, niecierpliwość, brak wytrwałości, skłonność do wybuchów i pożądli-

wość. Stale towarzyszącymi zjawiskami są przy tym skłonność do odwrotu i nadmierna ostrożność.

Rodzaj chodu, mówiąc obrazowo, jednostki rozpieszczonej, bywa niekiedy w korzystnych sytuacjach, nie łatwy do przejrzenia. Znacznie łatwiej da się to zbadać w położeniu niekorzystnym, kiedy jednostka narażona jest na poddanie się egzaminowi co do stanu swego poczucia spólnoty. Wtedy zastaje się ją w postawie ociągliwej, albo też zatrzymującą się w pewnym dystansie od swego zagadnienia. Jednostka tłómaczy ten dystans powodami pozornymi, które świadczą, że nie chodzi tu o mądrą przezorność. Często zmienia towarzystwo, przyjaciół, przedmiot miłości, zawód, nie doprowadzając do pomyślnego końca. Ludzie tego rodzaju pędzą nieraz na początku jakiegoś zadania z takim pośpiechem naprzód, że znawcy od razu nasuwa się myśl, jak mało tkwi w tym zaufania do siebie i jak szybko zapał ten osłabnie. Inni ludzie rozpieszczeni stają się dziwakami, najchętniej usunęliby się na pustynię, by uchylić się od wszelkich zadań. Albo też rozwiązują owe zadanie tylko połowicznie i odpowiednio do swego kompleksu niepełnowartości mocno ograniczają swoje pole działania. Jeśli rozporządzają jakimś zasobem aktywności, której na pewno nie można nazwać „odwagą“, to w nieco uciążliwej sytuacji zbaczają łatwo ku dziedzinie społecznie nieużytecznej, a nawet szkodliwej, stają się zbrodniarzami, samobójcami, pijakami lub osobnikami przewrotnymi.

Nie każdy potrafi utożsamić się z życiem jednostki bardzo rozpieszczonej, to znaczy, całkowicie ją zrozumieć. Do tego potrzeba wżyć się w tę rolę niby dobry aktor i w obrębie całego życia rozumieć, w jaki sposób można się robić punktem centralnym, jak musi się wypatrywać każdej sytuacji, pozwalającej gnębić drugich, nie być nigdy współpracownikiem, oczekiwać wszyst-

kiego, a niczego nie dawać. Trzeba przekonać się, że ludzie tacy usiłują wyzyskać dla siebie współpracę drugich, przyjaźń, pracę i trud, że zajmuje ich jedynie własne dobro, własna osobista pycha, że zawsze myślą o ułatwieniu sobie swych zadań na niekorzyść drugich, aby zrozumieć, że nie kieruje nimi rozum. Dziecko zdrowe duchowo, rozwija odwagę, rozum powszechnie uznany i czynną zdolność dostosowania. Dziecko spieszczone nie rozporządza tym wszystkim, a przynajmniej w słabym stopniu, rozporządza natomiast tchórzostwem i fortelami. Ponadto ma bardzo zwężoną ścieżkę, wskutek czego zdaje się popadać stale w ten sam błąd. Dziecko despotyczne okazuje się zawsze despotycznym. Kieszonkowiec pozostaje przy swoim zawodzie. Chory na neurozę lęku, na wszystkie zadania życiowe odpowiada lękiem. Nałogowiec trwa przy swojej truciźnie. Zboczeniec seksualny nie okazuje chęci odstąpienia od swojej perwersji. W wyłączeniu innych czynów, w wąskości ścieżki, na której rozgrywa się ich życie, znów przejawia się wyraźnie ich tchórzostwo życiowe, brak zaufania do siebie, kompleks niepełnowartości, tendencja wyłączania.

Wymarzony świat ludzi rozpieszczonych, ich perspektywa, ich mniemanie i pogląd na życie, ogromnie się różnią od świata rzeczywistego. Ich przystosowanie do ewolucji ludzkości jest mniej czy więcej zdławione, a to doprowadza ich do ustawicznych konfliktów z życiem, których szkodliwe wyniki dają się też odczuwać drugim. W dziecięctwie napotykamy ich zarówno wśród dzieci nadmiernie czynnych jak biernych, później zaś wśród zbrodniarzy, samobójców, neuropatów i nałogowców, zawsze różniących się między sobą. Przeważnie niezadowoleni, z trawiącą zawiścią patrzą na powodzenie innych, nie mogąc się jednak podnieść. Zawsze trzyma ich na uwięzi strach przed porażką, przed

odsłonięciem własnej bezwartości, najczęściej widuje się ich w odwrocie przed zadaniami życia, a nigdy nie brak im wymówek, usprawiedliwiających ich stanowisko.

Nie należy przeoczać, że niektórzy z nich osiągają w życiu powodzenie. Są to ci, którzy przezwyciężyli swe błędy i wysnuli z nich naukę.

Uleczenie i przeobrażenie takich ludzi może się udać jedynie na drodze duchowej, przez potęgujące się przekonanie o błędach w budowie stylu życiowego. Ważniejsze byłoby zapobieżenie: rodzina, zwłaszcza matka powinnaby zrozumieć, że nie należy w miłości do dziecka doprowadzać aż do rozpieszczania go. Jeszcze więcej możnaby się spodziewać od nauczycielstwa, które nauczyło się poznawać ten błąd i poprawiać go. A wtedy zrozumie się jaśniej niż dotychczas, że nie ma większego zła od rozpieszczania dzieci i wynikających stąd następstw.

X.

CO JEST ISTOTNIE NEWROZĄ?

Kto przez długie lata zajmował się tym zagadnieniem, ten zrozumie, że na pytanie: Co jest istotnie nerwowością? musi się dać odpowiedź jasną i szczerą. Jeśli celem zdobycia wyjaśnienia zaczniemy wertować literaturę, to staniemy przed takim chaosem definicyj, że ostatecznie będzie chyba niemożliwością dojść do jakiegoś jednolitego poglądu.

Jak zawsze, gdy w kwestii jakiejś zachodzą niejasności, istnieje mnóstwo wyjaśnień i dużo walk. Tak samo też w danym przypadku. Newroza — to drażliwość, drażliwa słabość, schorzenie gruczołów dokrewnych, następstwo infekcji zębów czy nosa, zachorzenia narządów płciowych, osłabienie systemu nerwowego, następstwo skazy hormonalnej lub moczanowej, urazu od urodzenia, konfliktu z światem zewnętrznym, z religią, z etyką, konfliktu między złym podświadomym a kompromisową świadomością, następstwo tłumienia popędów płciowych, sadystycznych, zbrodniczych, zgiełku i niebezpieczeństw wielkiego miasta, surowego wychowania, w ogóle wychowania rodzinnego, pewnych uwarunkowanych odruchów itd.

W poglądach tych jest dużo zgodnego z prawdą, co można rozpatrywać celem wyjaśnienia mniej czy więcej ważnych częściowych zjawisk newrozy. Najwięcej tego wszystkiego napotyka się często u osób, nie

cierpiących na newrozę. A najmniej na drodze, wiodącej do wyjaśnienia pytania: co jest istotnie newrozą? Niezmierna częstość tego zachorzenia, jego niezwykle złe przejawy społeczne, fakt, że tylko drobna część nerwowo chorych bywa poddana leczeniu, natomiast przez całe życie nosi się z tym cierpieniem, jako z niesłychaną męką, a w dodatku silnie rozdmuchane zainteresowanie laików, usprawiedliwiają chłodne, naukowe oświetlenie tej kwestii na szerszym forum. Wykaże to również, ile wiedzy medycznej wymaga zrozumienie i leczenie tej choroby. Nie pominie się też punktu widzenia, uznającego zapobieżenie newrozie za możliwe i potrzebne, lecz można go się spodziewać tylko przy jasnym poznaniu podstawowych uszkodzeń. Środki zapobieżenia, uniknięcia i poznania drobnych początków pochodzą z wiedzy medycznej. Niezbędna jest jednak przy tym współpomoc rodziny, nauczycieli, wychowawców i innych współpomagających. Usprawiedliwia to szerokie rozpowszechnienie wiedzy o istocie i powstaniu newrozy.

Należy bezwzględnie usunąć istniejące od dawien dawna dowolne definicje, na przykład tę, że jest ona konfliktem między sferą świadomego a nieświadomego. Trudno o tym dysputować, gdyż pisarze hołdujący temu pojęciu musieliby ostatecznie zrozumieć, że bez konfliktów nie można się w ogóle obejść i że nie wypowiada się przez to niczego wyjaśniającego o istocie newrozy, nawet wtedy, gdy ktoś w jakimś napuszonym poglądzie naukowym usiłuje nas skłonić do wykrycia owych zmian organicznych, chemizmów. W ten sposób nie przyczyni się chyba do żadnego wyjaśnienia, ponieważ o chemizmach nie możemy nic powiedzieć. Tak samo inne, ogólnie przyjęte określenia nie mówią nic nowego. Pod nerwowością rozumiemy drażliwość, nieufność, trwożliwość itd. jednym słowem jakiekolwiek

zjawiska, wyróżniające się negatywnymi cechami charakteru — cechami, które nie przystają do życia i wydają się obciążone afektami. Wszyscy autorzy przyznają, że nerwowość pozostaje w związku ze wzmożonym życiem wzruszeniowym. Przystąpiwszy przed wielu laty do określenia, co rozumiemy pod charakterem nerwowym, wydobyłem na jaw przewrażliwienie nerwowca. Ten rys charakteru istnieje zapewne u każdego nerwowca, jakkolwiek w pewnych rzadkich przypadkach nie jest całkiem łatwy do odkrycia, gdyż bywa przesłonięty, ale po bliższym przyjrzeniu się można odkryć, że są to jednak ludzie o wielkiej wrażliwości. Dalsze badania psychologii indywidualnej wykryły pochodzenie tej wrażliwości. Człowiek czujący się zadomowionym na tej biednej skorupie ziemskiej, przejęty świadomością, że należą do niego nie tylko przyjemności, lecz także przykrości życia, przygotowany do współpracy, — człowiek taki nie będzie okazywał przewrażliwienia. Przerażliwienie jest wyrazem poczucia niepełnowartości. W ten sposób ujawniają się bardzo łatwo inne cechy charakteru nerwowca, np. niecierpliwość, której również nie zdradza człowiek czujący się pewnym, mający zaufanie do siebie, wdrożony do załatwiania się z zagadnieniami życia. Mając na oku te dwie cechy charakteru, zrozumie się, że istnieją ludzie, żyjący w stanie spotęgowanych afektów. Jeśli się nadto przyjmie, że to uczucie niepewności gwałtownie dąży do stanu spoczynku, do pewności, to można zrozumieć, dlaczego dążenie nerwowca do wyższości, do doskonałości jest tak wyolbrzymione — można zrozumieć, że ten rys, dążący do wyżyny napotyka się jako ambicję, uwzględniającą jedynie osobę danej jednostki. Jest to zrozumiałe u człowieka, będącego w potrzebie. To dążenie do wyżyny przybiera też czasem formy, z góry odrzucone przez powszechność, jak chciwość, skąpstwo,

zawiść, zazdrość; chodzi tu o ludzi, którzy przemocą usiłują wyróść ponad trudności, gdyż nie czują się zdolnymi do rozwiązywania ich w sposób gładki. Do tego przyłącza się fakt, że wzmożone poczucie niepełnowartości idzie ręka w rękę z niedostatecznym rozwojem odwagi, że jej miejsce zajmuje mnóstwo podstępnych prób w celu obejścia problemu życia, ułatwienia go sobie i podsunięcia drugim; pozostaje to w związku z niedostatecznym zainteresowaniem drugimi. Dalecy jesteśmy od krytykowania lub potępiania tego mnóstwa ludzi, ujawniających w mniejszym czy większym stopniu takie nastawienie do życia; wiemy, że nawet najcięższe uchybienia nie są dziełem świadomej odpowiedzialności, lecz że dana jednostka stała się igraszką swego złego nastawienia do życia. Ludzie ci mają przed oczyma cel, do którego zmierzając, popadają w sprzeczność z rozumem. To jednak nie mówi jeszcze niczego o istocie nerwowości, jej powstaniu i strukturze. Posunęliśmy się o krok naprzód i uwzględniając brak odwagi nerwowca, jego ociągliwą postawę wobec zadań życiowych, mogliśmy skonstatować małe uzewnętrznienie procesu życiowego w stosunku do zagadnień życia. To pewna, że małą zdolność do aktywności możemy śledzić retrospektywnie aż do okresu dziecięctwa. My, wyznawcy psychologii indywidualnej, nie jesteśmy tym zdumieni, gdyż forma życia rozwija się w pierwszych latach życia i jest niezmienna, przystępna zmianie tylko wtedy, gdy dana jednostka zrozumie błąd w swoim rozwoju i jest zdolna do ponownego przyłączenia się do ogółu, dla dobra całej ludzkości.

Jeśli dziecko rozporządza aktywnością w złym znaczeniu, to z góry można zakładać, że w razie późniejszego chybienia nie stanie się nerwowcem, lecz że to chybienie zamanifestuje się w innej formie: zbrodni, samobójstwa, pijaństwa. Człowiek taki może być oka-

zem dziecka trudnego do wychowania w złym rodzaju, ale nie będzie wykazywać rysów nerwowca. Posunęliśmy się nieco dalej i możemy stwierdzić, że stopień aktywności takiego człowieka nie może się zbytnio powiększyć. Nerwowiec posiada mały promień zasięgu aktywności w porównaniu z człowiekiem bardziej normalnym. Ważne jest pytanie, skąd pochodzi ta większa aktywność. Jeśli stwierdzimy, że promień zasięgu aktywności dziecka można rozwinąć lub stłumić, jeśli zrozumiemy, że wadliwe wychowanie zdolne jest zacieśnić promień zasięgu aktywności dziecka do minimum, to zrozumiemy też, że nie interesuje nas kwestia dziedziczności, lecz że to co widzimy, jest owocem twórczych zdolności dziecka. Materialność i wpływy świata zewnętrznego są budulcem, którym posługuje się dziecko przy budowie swojej osobowości. Zaobserwowane przez nas objawy nerwowości, które dzielimy na wstrząsy fizyczne pewnych organów i wstrząsy psychiczne, zjawiska lęku, myśli przymusowe, przejawy depresji, zdające się mieć specjalne znaczenie, nerwowe bóle głowy, przymusowe czerwienienie się, przymusowe mycie i tym podobne duchowe formy wyrazu — są objawami trwałymi. Trwają przez dłuższy czas i jeśli nie chcemy zapuszczać się w mrok fantastycznych poglądów i przyjąć, że rozwinęły się bez sensu, jeśli zechcemy szukać związku, to odkryjemy, że owe zadanie, stające przed dzieckiem, było dla niego zbyt trudne, że jednak wciąż istnieje. To zdaje się stwierdzać i tłómaczyć stałość objawów nerwowych. Objawy nerwowe występują wobec pewnego określonego zadania. Podejmowaliśmy rozległe badania, by wykryć, na czym polega trudność rozwiązania zagadnień, a psychologia indywidualna rozjaśniła na stałe całą dziedzinę, stwierdziwszy, że ludzie mają przed sobą zawsze zagadnienia, do których należy przygotowanie społeczne. To przygotowanie musi

dziecko zdobywać od najwcześniejszego dziecięctwa, gdyż potęgowanie możliwe jest tylko na podstawie zrozumienia. Jeśli postawiliśmy sobie za zadanie wykazać, że istotnie takie zagadnienie działa zawsze wstrząsająco, to możemy mówić o działaniu wstrząsów. Mogą one być różnorakie. Na przykład: zagadnienie społeczne. Rozczarowanie w przyjaźni. Kto go nie przeżywał, kto z tego powodu nie doznał wstrząsu? Wstrząs nie jest jednak jeszcze oznaką nerwowości. Wtedy dopiero jest oznaką nerwowości i staje się nerwowością, gdy trwa, gdy wytwarza stan trwały, gdy dana jednostka odwraca się z nieufnością od drugiego człowieka, gdy wyraźnie okazuje, że lęk, nieśmiałość, objawy fizyczne, bicie serca, poty, przypadłości żołądkowo-jelitowe, parcie na mocz, stale ją powstrzymują od jakiegokolwiek zbliżenia do drugich. Stan ten, w oświetleniu psychologii indywidualnej mówi jasno i wyraźnie, że człowiek ten nie rozwinął należycie poczucia łączności z drugimi, co wynika też z tego, że doznane rozczarowanie doprowadziło go do odosobnienia. Zbliżyliśmy się oto do zagadnienia i możemy dojść do zrozumienia nerwowości. Jeśli ktoś na przykład stracił pieniądze w interesie i jest z tego powodu wstrząśnięty, to nie jest to jeszcze nerwowością. Staje się nerwowym zjawiskiem dopiero wtedy, gdy dany osobnik trwa w tym stanie wstrząsu, niezdolny do niczego innego. Da się to wytłómaczyć jedynie przez zrozumienie faktu, że człowiek ten nie zdobył dostatecznego stopnia współpracy, że posuwa się naprzód tylko warunkowo, jeśli mu się wszystko udaje. To samo odnosi się też do zagadnienia miłości. Rozwiązanie kwestii miłości nie jest żadną miarą drobnostką. Wymaga ono pewnego doświadczenia, zrozumienia, odpowiedzialności. Jeśli ktoś z powodu tego zagadnienia wpada we wzburzenie i rozdrażnienie, jeśli doznawszy raz porażki, nigdy już nie

posunie się dalej, jeśli w odwrocie przed tym zagadnieniem ujawnią się też wszystkie emocje zabezpieczające odwrót, jeśli dojdzie do takiego sądu o życiu, że trwa w tym odwrocie, to wtedy dopiero jest to nerwowością. W ogniu huraganowym każdy przeżywa wstrząsy, ale do stanu trwałego doprowadzą tylko tego, kto nie jest przygotowany do zadań życiowych. Człowiek taki utknie. Uzasadniliśmy to utknięcie stwierdziwszy, że są to ludzie, nieprzygotowani należycie do rozwiązania wszystkich problemów, że nie są oni należytymi współpracownikami od lat dziecięctwa, ale musimy jeszcze dodać, że nerwowość jest jednak cierpieniem, a nie przyjemnością. Gdybym od kogoś zażądał, by wywołał u siebie ból głowy, jawiący się wobec jakiegoś problemu, do którego rozwiązania nie jest przygotowany, to nie byłby w stanie tego zrobić. Dlatego musimy *a limine* usunąć wszelkie wyłuszczenia, wszelkie mylne poglądy, jakoby ktoś stwarzał sobie cierpienia, jakoby chciał być chorym. Nie ulega wątpliwości, że dany osobnik cierpi, woli jednak te cierpienia od owych większych, a to dlatego, by przy rozwiązywaniu swych zadań nie okazał się bezwartościowym. Woli raczej wziąć na siebie wszelkie cierpienia nerwowe, niż odsłonić swoją bezwartość. Zarówno człowiek nerwowy jak nie nerwowy będą się bronić wszystkimi siłami przed ujawnieniem swej bezwartości, ale nerwowiec broni się znacznie silniej. Uprzytomniwszy sobie przewrażliwienie, niecierpliwość, spotęgowanie afektów, ambicję osobistą, potrafimy zrozumieć, że taki człowiek nie da się skłonić do żadnego dalszego kroku, dopóki sądzi, że grozi mu niebezpieczeństwo ujawnienia jego bezwartości. Jaki nastrój powstaje zatem wskutek tych wstrząsów? On ich nie wywołał, nie pragnie ich, niemniej istnieją jako następstwo wzburzenia psychicznego, jako następstwo uczucia klęski, oraz strachu, że

jego bezwartość zostanie ujawniona. Nie czuje szczerej chęci do zwalczania tego skutku, wywołanego przez wstrząsy i nie łatwo daje się też skłonić do wyzwolenia się od niego. Pragnąłby się go pozbyć, będzie też twierdził: chcę przecież wyzdrowieć, pragnę uwolnić się od tych objawów. Dlatego idzie też do lekarza. Czego jednak nie wie, to tego, że obawia się czegoś jeszcze więcej niż owych objawów: obawia się ujawnienia swej bezwartości; bo nużby się wydała ponura tajemnica, że nie jest nic wart. Teraz widzimy, czym właściwie jest nerwowość: jest to usiłowanie uniknięcia większego złego, usiłowanie podtrzymania za wszelką cenę pozoru wartości, zapłacenia wszystkich kosztów, przy równoczesnym pragnieniu osiągnięcia tego celu także bez zapłacenia kosztów. Jest to niestety niemożliwe. Nie ma innego sposobu poza uprzystępnieniem danej jednostce lepszego przygotowania do życia, lepszego przystosowania jej do bytu, przydania otuchy, czego nie można osiągnąć przez dopingowanie czy kary, ani też przez surowość i przymus. Wiadomo, jak wielu ludzi, o ile rozporządzają pewną aktywnością, jest zdolnych do popełnienia raczej samobójstwa, niż do rozwiązania problemów. To jasne. Dlatego nie możemy się niczego spodziewać po stosowaniu przymusu; musi dokonać się systematyczne przygotowanie, by dany osobnik uczuł się pewnym i mógł przystąpić do rozwiązania problemu. Z drugiej strony jest to człowiek, który sądzi, że stoi przed głęboką otchłanią i boi się, że jeśli go popędzą, to wpadnie do niej, czyli, że jego bezwartość zostanie ujawniona.

Trzydziestopięcioletni adwokat skarży się na nerwowość, nieustanny ból w tylnej części głowy, na rozmaite dolegliwości w okolicy żołądka, otępienie w całej głowie i ogólne osłabienie i zmęczenie. Jest przytem ciągle podniecony i niespokojny. Często, mając mówić z ob-

cymi ludźmi, lęka się, że utraci przytomność. W domu, u krewnych swoich rodziców czuje się swobodniejszy, chociaż i tamta atmosfera nie odpowiada mu. Jest przekonany, że z powodu tych objawów nie może liczyć na powodzenie.

Badanie kliniczne dało wynik negatywny, poza pewnym skrzywieniem kręgosłupa, które przy utracie napięcia mięśniowego wskutek depresji, może być wzięte w rachubę dla wytłómaczenia bólu w tylnej części głowy i bólów w krzyżach. Zmęczenie można bez dalszych roztrząsań przypisać jego niepokojowi, ale należy je też, podobnie jak otępienie w głowie uważać niewątpliwie za częściowe zjawisko depresji. Dolegliwości w okolicy żołądka trudniej jest zrozumieć na podstawie stosowanej tu diagnostyki ogólnej; mogły jednak powstać jako podrażnienie nerwowe wskutek skrzywienia kręgosłupa, ale mogą też być wyrazem predylekcji, odpowiedzią organu niepełnowartościowego na podrażnienie duchowe. Za tym ostatnim przemawiają częste zaburzenia żołądkowe w dziecięctwie i podobna skarga ojca, również bez stwierdzenia przyczyny organicznej. Pacjent wie także, że przygodne zdenerwowanie stale pociągało za sobą osłabienie apetytu, a czasem wymioty.

Ta skarga, wyglądająca może na drobnostkę, pozwala nam nieco dokładniej poznać styl życiowy pacjenta. Jego niepokój świadczy wyraźnie, że nie całkiem jeszcze zaniechał walki o „swoje powodzenie". Do tego samego wniosku, jakkolwiek w słabszej mierze upoważnia też jego oświadczenie, że w domu również nie czuje się dobrze. W słabszej mierze dlatego, ponieważ jego lęk przed spotkaniem obcych ludzi, a zatem przed zetknięciem z życiem, nie opuszcza go także w domu. Obawa utraty przytomności pozwala nam jednak wglądnąć w warsztat jego newrozy: człowiek

ten mówi to, nie wiedząc jednak, że zdenerwowanie ogarniające go przed zetknięciem z obcymi, sam sztucznie potęguje przez uprzednią myśl utraty przytomności. Należy wymienić dwa powody wyjaśniające, dlaczego pacjent nie wie, że sztucznie, jakby w pewnym zamiarze potęguje swe wzburzenie aż do stanu zamętu. Jeden z tych powodów jest całkiem jasny, jakkolwiek nie przez wszystkich zrozumiany: pacjent zerka tylko niejako na swoje objawy, a nie na łączność z jego rodzajem chodu. Drugi powód jest ten: nieubłagany odwrót, „naprzód wstecz“, dawno już opisany przeze mnie jako najważniejszy objaw newrozy („Ueber den nervösen Charakter“, 4 wyd., J. F. Bergmann, Monachium) w danym przypadku idący w parze ze słabymi próbami dźwignięcia się, nie może zostać przerwany. Zdenerwowanie pacjenta — co oczywiście musi też zostać dowiedzione, gdyż dotychczas zostało tylko odgadnięte przy pomocy ogólnej diagnostyki, doświadczeń psychologii indywidualnej i medyczno-psychologicznej intuicji — za zetknięciem z trzema zagadnieniami życiowymi: więc z zagadnieniem spólnoty, zawodu, miłości, do których nie jest widocznie przygotowany, ogarnia przecież nie tylko ciało, by w nim wywołać zmiany czynnościowe, lecz także psychę. Wskutek niedostatecznego przygotowania tego człowieka dochodzi do czynnościowych zaburzeń ciała i duszy. Pacjent, nauczony już może poprzednio jakimiś mniejszymi chybieniami, cofa się przed czynnikiem „egzogenicznym“, czuje się stale zagrożonym przez klęskę, tym więcej, że jako rozpieszczone dziecko (nowy dowód, który musimy później przeprowadzić) uważa swój przez siebie samego zbudowany cel wyższości osobistej, bez zainteresowania dla drugich, za coraz bardziej nieosiągalny. W tym stadium spotęgowanych emocyj, wynikających zawsze z lęku przed ostateczną klęską, jak-

kolwiek lęk w zwykłym znaczeniu tego słowa, nie zawsze musi przejawiać się wyraźnie, powstają owe objawy, które napotykamy przy neurozie i psychozie. A powstają przecież zgodnie z konstytucją fizyczną, najczęściej wrodzoną, i duchową, zawsze nabytą, które się zawsze mieszają i wzajem na siebie oddziaływują.

Czy jest to już jednak neurozą? Psychologia indywidualna zrobiła istotnie wiele dla wyjaśnienia faktu, że do rozwiązania zadań życiowych można być przygotowanym źle lub dobrze i że między jednym a drugim istnieje tysiące odmian. Zrobiła też wiele dla zrozumienia, że poczucie niezdolności do rozwiązania zagadnienia, z powodu czynnika egzogenicznego, wprawia ciało i duszę w tysiączne wibracje. Wykazała też, że brak przygotowania datuje się od najwcześniejszego dzieciństwa i nie da się poprawić ani przez przeżycia, ani przez emocje, lecz jedynie tylko przez poznanie. Jako czynnik integralny w stylu życiowym, odkryła też poczucie spólnoty, które musi istnieć dla rozwiązania wszystkich zagadnień życia w sposób rozstrzygający. Zjawiska fizyczne i duchowe, towarzyszące i charakteryzujące poczucie niezdolności opisałem jako kompleks niepełnowartości. Skutki wstrząsów są oczywiście przy kompleksie niepełnowartości u jednostek źle przygotowanych większe niż u lepiej przygotowanych, u odważnych słabsze niż u zniechęconych i stale szukających pomocy z zewnątrz. Każdy przeżywa konflikty, mniej czy więcej wstrząsające. Każdy je odczuwa fizycznie i duchowo. Nasza cielesność, zewnętrzne stosunki społeczne nie zaoszczędzają nikomu poczucia niepełnowartości w odniesieniu do świata zewnętrznego. Dziedziczne niepełnowartości organów są nazbyt częste, by twarde wymogi życia nie miały ich dosięgnąć. Czynniki otaczającego świata, oddziałujące na dziecko, nie są tego rodzaju, by mu z łatwością umożliwiały bu-

dowę „właściwego“ stylu życiowego. Rozpieszczanie, rzekome lub istotne zaniedbanie, zwłaszcza to pierwsze, prowadzą dziecko nazbyt często do stanowiska pozostającego w sprzeczności z poczuciem spólnoty. A w dodatku znajduje dziecko swoje prawo ruchu najczęściej bez należytego kierownictwa, zgodnie z ułudnym prawem próby i pomyłki, idąc za własną, jedynie przez ludzkie granice zacieśnioną samowolą, zawsze jednak zdążając też do celu wyższości w milionach odmian. Twórcza siła dziecka korzysta, „używa“ wszystkich wrażeń i uczuć jako bodźców do ostatecznego zajęcia stanowiska, do rozwinięcia swego indywidualnego prawa ruchu. Fakt ten, uwydatniony przez psychologię indywidualną, określono później jako „nastawienie“ lub „podstawę“ bez należytego ujęcia jednostki jako całości oraz jej łączności z trzema wielkimi zagadnieniami życia, a także bez uznania przy tym dzieła psychologii indywidualnej. Czy zatem konflikt „niedobrego“ dziecka, samobójcy, zbrodniarza, największego wstecznika, bezrozumnie ultraradykalnego bojownika, opieszałego niedorajdy, hulaki, któremu otaczająca go nędza zakłóciła błogość jego bytowania — czy konflikt ten, wraz z jego fizycznymi i psychicznymi następstwami jest już „neurozą“? Oni wszyscy w swym chybionym, wytrwałym prawie ruchu natrafiają na „prawdę“, podkreślaną przez psychologię indywidualną, popadają w sprzeczność z tym, co jest „właściwe“ *sub specie aeternitatis*, z nieubłaganym żądaniem idealnej spólnoty. Odczuwają wprawdzie tysiączne skutki tego zderzenia, oczywiście w tysiącznych odmianach, fizycznie i psychicznie. Czy to jest jednak neurozą? Gdyby nie było nieubłaganych żądań idealnej spólnoty, gdyby każdy mógł sprostać w życiu swemu chybionemu prawu ruchu — możnaby też powiedzieć z większą fantazją: swoim popędom, swoim uwarunkowanym od-

ruchom — to nie byłoby konfliktu. Nikt nie może jednak postawić tak niedorzecznego żądania. Przebłyskuje ono tylko nieśmiało, gdy ktoś przeocza łączność jednostki ze spólnotą, lub stara się ją przeciąć. Każdy człowiek, chętnie czy mniej chętnie poddaje się żelaznemu prawu idealnej spólnoty. Tylko do ostateczności rozpieszczone dziecko będzie się spodziewać i żądać: *„res mihi subigere conor"*, jak karcąco podnosi Horacy. W swobodnym przekładzie będzie to brzmieć: wyzyskać dla siebie owoce pracy wspólnej, nie wnosząc do niej niczego. „Dlaczego mam kochać bliźniego swego", — odpowiedź na to wynika z nierozdzielnej łączności ludzi i nieubłaganie sądzącego ideału spólnoty. (Patrz również: „Der Sinn des Lebens", Zeitschrift für Individualpsychologie, rocznik 1931, str. 161 ff.). Tylko ten, kto sobą, swoim prawem ruchu dostatecznie uczestniczy w tym celu, wiodącym do spólnoty, kto żyje nim niby powietrzem, którym oddycha, ten potrafi też rozwiązać w duchu spólnoty przynależny mu dział konfliktów.

Podobnie jak każdy człowiek, przeżywa też neuropata swoje konflikty, lecz próba rozwiązania ich wyróżnia go całkowicie od wszystkich innych. Mimo tysiącznych odmian, zawsze odkryje się częściowego neuropatę i formy mieszane. W jego prawie ruchu czuć od samego dziecięctwa wdrażanie się do odwrotu od zadań, które wywołując obawę klęski mogłyby narazić na szwank jego próżność, dążenie do wyższości osobistej, zbyt dalekie od poczucia spólnoty, i usiłowanie, by zawsze być pierwszym. Jego motto życiowe: „wszystko, albo nic", zazwyczaj mało tylko złagodzone, przewrażliwienie człowieka, któremu stale zagraża klęska, jego niecierpliwość, spotęgowanie afektów, jak gdyby żył w kraju nieprzyjacielskim, jego chciwość, wywołują konflikty częstsze i silniejsze niż potrzeba

i ułatwiają mu odwrót, przepisany przez jego styl życiowy. Taktyka odwrotu, trenowana i wypróbowana od dziecięctwa, może łatwo zmylić, robiąc wrażenie „regresji“ życzeń infantylnych. Nie o te życzenia chodzi neuropacie, lecz o odwrót, który okupuje chętnie wszelkimi ofiarami. Tu również nasuwa się złudne branie tego za „formę samowymiaru kary“. Jemu chodzi jednak nie o samowymiar kary, lecz o uczucie ulgi przez odwrót, uchraniający go od załamania się jego próżności i pychy.

Może się teraz na koniec zrozumie, co w psychologii indywidualnej znaczy problem „zabezpieczenia“. Można to poznać jedynie z całego związku. Nie jako coś „wtórnego“, lecz zasadniczego. Neuropata „zabezpiecza“ się przez odwrót i „zabezpiecza“ swój odwrót przez potęgowanie zjawisk wstrząsów fizycznych i psychicznych, powstałych w zderzeniu z zagadnieniem, grożącym klęską.

Woli cierpienie od załamania się jego osobistego poczucia wyniosłości, którego siłę zna dotąd jedynie psychologia indywidualna. To poczucie wyniosłości, występujące w psychozie, tylko często wyraziściej, jego tak przeze mnie nazwany kompleks wyższości jest tak silny, że neuropata sam przeczuwa je tylko z daleka i z dreszczem czci i chętnie odwraca od niego swą uwagę, gdy ma go doświadczyć w rzeczywistości. Prze go ono naprzód. On jednak musi ze względu na odwrót odrzucić i zapomnieć wszystko, co mogłoby przeszkodzić w odwrocie. Dopuszcza tylko myśli, uczucia i poczynania związane z odwrotem.

Całe zainteresowanie neuropaty dotyczy jedynie odwrotu. Każdy krok naprzód uważa on za runięcie w przepaść i wyposaża go we wszystkie rodzaje grozy. Dlatego całą siłą, wszystkimi uczuciami, wszystkimi wypróbowanymi przez siebie środkami odwrotu stara się utrzymać w zapleczu. Upiększenie przeżytych

wstrząsów, na których skupia całe swoje zainteresowanie, odwracając się od jedynego ważnego czynnika: od lęku przed poznaniem, jak jest daleki od swojego samolubnego celu wyniosłości, wielki nakład uczuć, przeważnie przybranych retorycznie i rozdmuchanych, jak zwykły jawić się we śnie, by wbrew *common sense* mógł trwać przy swym własnym stylu życiowym, pozwalają mu się trzymać gotowych już zabezpieczeń, by nie być pędzonym ku klęsce. Opinia i sąd drugich, które przy wybuchu neurozy dopuszczają okoliczności łagodzące, ale bez nich nie uznałyby drżącej aureoli neuropaty, stają się największym niebezpieczeństwem. Krótko mówiąc: wyzyskanie przeżyć wstrząsów dla osłony zagrożonej aureoli — oto, czym jest neuroza. Albo jeszcze krócej: stan nastroju neuropaty kształtuje się w „tak - ale". W „tak" tkwi uznanie poczucia spólnoty, w „ale" — odwrót i jego zabezpieczenia. Szkodzi się tylko religii, zrzucając na nią lub na jej brak odpowiedzialność za neurozę. Szkodzi się każdemu politycznemu stronnictwu, zachwalając uznanie go jako uleczenie z newrozy.

Po ukończeniu uniwersytetu próbował nasz pacjent dostać się jako siła pomocnicza do kancelarii adwokackiej. Wytrwał tam tylko kilka tygodni, gdyż pole jego działalności wydało mu się zbyt marne. Po parokrotnej zmianie kancelarii, z tego samego i z innych powodów, postanowił oddać się raczej studiom teoretycznym. Zapraszano go na odczyty o zagadnieniach prawniczych, odmawiał jednak, „gdyż nie potrafi mówić przed liczniejszym audytorium". W tym okresie — liczył wtedy 32 lata — wystąpiły jego objawy. Przyjaciel, pragnąc mu przyjść z pomocą, zaofiarował się, że wygłosi referat równocześnie z nim. Nasz pacjent postawił warunek, że będzie mówił pierwszy. Wszedł na podwyższenie drżący i zmieszany, bojąc się, że straci

przytomność. Przed oczyma migały mu tylko czarne plamy. Niebawem po odczycie pojawiły się jego dolegliwości żołądkowe i wyobraził sobie, że umarłby niechybnie gdyby jeszcze raz musiał mówić przed liczniejszym gronem. W najbliższym czasie zajmował się tylko nauczaniem dzieci.

Lekarz, do którego się zwrócił, oświadczył mu, że w celu wyzdrowienia musi wyżywać się płciowo. Moglibyśmy przewidzieć z góry bezsensowność takiej rady. Pacjent, będący już na drodze odwrotu, odpowiedział na tę radę obawą syfilisu, zastrzeżeniami etycznymi i lękiem, że mógłby zostać oszukany i posądzony o ojcostwo nieprawego dziecka. Rodzice doradzali mu małżeństwo i pozornie się im powiodło, gdy wyszukali mu też narzeczoną. Poczuwszy się brzemienną, żona jego wróciła do swych rodziców, twierdząc, że nie może już dłużej znosić ustawicznego krytykowania jej i traktowania z góry.

Widzimy już, że pacjent nasz potrafił być zarozumiałym, gdy mu się nastręczyła łatwa sposobność — że jednak bezzwłocznie rozpoczynał odwrót, gdy sprawa wydawała się niepewną. O żonę i dziecko wcale nie dbał. Wciąż troszczył się tylko o to, by nie wydawać się niepełnowartościowym, a ta troska była silniejsza od dążenia do tak gorąco upragnionego powodzenia. Załamał się, stanąwszy na froncie życia, porwany przez trwałą falę uczucia najwyższej trwogi i spotęgował swój odwrót stwarzając widma strachu, gdyż ułatwiało mu to odwrót.

Silniejsze dowody? Dostarczymy ich w podwójny sposób. Po pierwsze, cofając się do jego wczesnego dziecięctwa, by stwierdzić, że przywiedziono go do stylu życiowego, jaki odkryliśmy u niego. Po wtóre, podając dalsze, równoległe przyczynki z jego życia. Za najsilniejszy dowód słuszności diagnozy tego rodzaju, uwa-

żałbym w każdym razie całkowitą zgodność dalszych przyczynków do charakterystyki jakiejś jednostki, z poprzednimi. Gdyby się nie zgadzały, należałoby stanowisko badającego odpowiednio zmienić.

Matka, jak opowiada pacjent, była kobietą miękką, do której był bardzo przywiązany i która rozpieszczala go do najwyższego stopnia, spodziewając się też po nim zawsze całkiem wielkich osiągnięć. Ojciec był mniej skłonny do rozpieszczania, ale wśród wszelkich okoliczności zawsze na wszystko przyzwalał, gdy pacjent z płaczem wypowiadał swoje życzenia. Z rodzeństwa lubił najbardziej młodszego brata, który go ubóstwiał, spełniał każde jego życzenie, biegał za nim jak piesek i zawsze mu był posłuszny. Pacjent był nadzieją swoich rodziców i zawsze też potrafił dopiąć wszystkiego u rodzeństwa. Niezwykle łatwa, zatem wygodna sytuacja, która uczyniła go niezdatnym dla świata zewnętrznego.

Okazało się to od razu, kiedy po raz pierwszy miał iść do szkoły. Był najmłodszym w klasie, co dało mu sposobność do ujawnienia niechęci do tej sytuacji zewnętrznej przez dwukrotną zmianę szkoły. Później jednak uczył się z wielką gorliwością, by przewyższyć wszystkich innych uczniów. Jeśli mu się to nie udawało, rozpoczynał odwrót, często nie przychodził do szkoły z powodu bólu głowy czy żołądka, albo się spaźniał. Fakt, że już w owym czasie nie należał do najlepszych uczniów, zarówno on jak rodzice przypisywali jego częstej nieobecności w szkole, a pacjent nasz podkreślał też bardzo silnie, że więcej umie i więcej czytał, niż wszyscy inni uczniowie.

Z najbłahszych powodów rodzice pakowali go zaraz do łóżka i otaczali pieczołowitą opieką. Zawsze był trwożnym dzieckiem i często krzyczał ze snu, by matka zajmowała się nim także w nocy.

Rozumie się, że nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia i związku tych wszystkich zjawisk. Były one wyrazem, wypowiedzeniem jego stylu życiowego. Nie wiedział również, że dlatego czytał w łóżku do rana, by nazajutrz mieć przywilej późnego wstawania i zwolnienia się w ten sposób od części swych zajęć dziennych. Wobec dziewcząt był jeszcze trwożliwszy niż wobec mężczyzn, a to jego zachowanie przetrwało cały okres rozwoju męskiego. Łatwo zrozumieć, że w każdej sytuacji życiowej brak mu było odwagi, że za żadną cenę nie chciał narażać na szwank swojej próżności. Niepewność, czy będzie dobrze przyjęty przez dziewczęta stanowiła silny kontrast z pewnością, z jaką mógł oczekiwać oddania ze strony matki. W małżeństwie chciał stworzyć taką samą władzę, jaką wykonywał nad matką i rodzeństwem i musiał oczywiście ponieść porażkę.

Udało mi się stwierdzić, że w najstarszych wspomnieniach z dziecięctwa można odkryć styl życiowy jednostki, czasem wprawdzie dobrze utajony. Oto najdawniejsze wspomnienie naszego pacjenta. Umarł mały braciszek, a ojciec siedział przed domem i gorżko płakał. Przypominamy sobie, że pacjent przed jednym odczytem uciekł do domu, udając że umiera.

Stanowisko, jakie ktoś zajmuje w przyjaźni, charakteryzuje bardzo dobrze jego uzdolnienie do spółczłowieczeństwa. Nasz pacjent podaje, że zawsze tylko przez krótki czas posiadał przyjaciół i że zawsze chciał nimi rządzić. Można to chyba nazwać jedynie wyzyskiwaniem przyjaźni drugich. Gdy uprzejmie zwrócono mu na to uwagę, odrzekł: „Nie wierzę, by ktokolwiek pracował dla spólnoty, każdy robi to tylko dla siebie". Jego przygotowania do odwrotu ilustrują też następujące fakty: Pragnąłby pisać artykuły lub książkę, ale zabierając się do pisania, wpada w takie zdenerwowa-

nie, że nie może myśleć. Twierdzi, że nie może zasnąć, jeśli wpierw nie czyta, ale czytając, dostaje znów ucisku głowy, który nie pozwala mu zasnąć. Ojciec jego umarł niedawno, właśnie w czasie, kiedy pacjent wyjechał do innego miasta. Niebawem miał tam objąć posadę. Nie przyjął jej, pod pozorem, że umarłby, gdyby musiał tam pojechać. Gdy zaofiarowano mu posadę w jego mieście rodzinnym, odmówił, motywując, że nie mógłby spać pierwszej nocy, wskutek czego byłby nazajutrz niezdolny do pracy. Wpierw musi być całkiem zdrowy. Przykład wykaże, że także we śnie pacjenta znów można odkryć jego prawo ruchu, owe „tak, ale" neuropaty. Dzięki technice psychologii indywidualnej można odkryć dynamikę snu. Nie mówi nam ona nic nowego, nic, czego nie poznaliśmy już także z zachowania pacjenta. Z dobrze zrozumianych środków i z doboru treści można poznać, jak człowiek śniący, wiedziony przez swoje prawo ruchu, usiłuje wbrew common sense utrzymać swój styl życiowy, przy pomocy sztucznego rozbudzenia uczuć i wzruszeń. A często natrafia się też na wskazówki, wyjaśniające, w jaki sposób pacjent wytwarza swoje objawy, pod naciskiem lęku przed porażką. Oto jeden ze snów pacjenta: „Miałem odwiedzić przyjaciół, mieszkających za mostem. Poręcze były świeżo pokostowane. Chcąc spojrzeć na wodę, oparłem się o poręcz, przy czym uderzyłem się w żołądek, który zaczął mnie boleć. Powiedziałem sobie: nie patrz na wodę. Mógłbyś wpaść. Mimo to odważyłem się, podszedłem znów do poręczy, spojrzałem w dół i szybko zawróciłem, przełożywszy sobie, że jednak lepiej dostać się na bezpieczne miejsce".

Odwiedziny u przyjaciół i świeżo pomalowana poręcz wskazują na zapowiedź, odnoszącą się do poczucia spólnoty i zbudowania lepszego stylu życiowego. Lęk pacjenta przed runięciem ze swej wyżyny, jego „tak,

ale", uwydatniają się dość wyraźnie. Dolegliwości żołądka jako skutek uczucia lęku, jawią się, jak wpierw opisałem, zawsze na zawołanie. Sen ten ukazuje nam odmowną postawę pacjenta wobec dotychczasowych usiłowań lekarza, oraz zwycięstwo dawnego stylu przy pomocy dobitnego obrazu niebezpieczeństwa, gdy pewność odwrotu zostaje zakwestionowana.

Neuroza jest to niedostępne zrozumieniu pacjenta, automatyczne wyzyskiwanie objawów, powstałych w wyniku wstrząsów. To wyzyskiwanie bliższe jest takim ludziom, którzy nazbyt się lękają o swój nimb i już w dziecięctwie, przeważnie jako spieszczone dzieci, zostały zwabione na tę drogę wyzysku. Jeszcze parę uwag o zjawiskach fizycznych, gdzie fantazja niektórych autorów święci triumfy. Sprawa przedstawia się tak: organizm jest całością, a jako dar ewolucji ma dążenie do równowagi, które wśród ciężkich warunków w miarę możności dopina celu. Do utrzymania równowagi potrzeba zmienności tętna, głębokości oddechu, pewnej liczby oddechów, krzepliwości krwi, współdziałania gruczołów dokrewnych; tu okazuje się coraz wyraźniej, że zwłaszcza wzburzenia psychiczne wprawiają we wzburzenie układ wegetatywny i dokrewny, spowodowując wzmożenie lub zmienione wydzielanie wewnętrzne. Dziś możemy jeszcze najłatwiej zrozumieć zmiany gruczołu tarczykowego wynikłe wskutek wstrząsów, które niekiedy mogą nawet zagrażać życiu. Widziałem takich pacjentów. Największy badacz na tym polu, Zondek, zapewnił sobie moją pomoc, by stwierdzić, jakie oddziaływania psychiczne wchodzą tu w grę. Nie ulega ponadto wątpliwości, że wszystkie przypadki chorób Basedowa występują jako skutki wstrząsów duchowych. Istnieją ludzie, u których wstrząsy duchowe działają drażniąco na gruczoł tarczykowy.

Badania nad drażliwością nadnercza również posu-

nęły się naprzód. Można mówić o kompleksie współczulno-adrenalinowym; zwłaszcza przy afektach gniewu zwiększa się przymieszka wydzieliny adrenalinowej. Amerykański badacz Gannon wykazał doświadczeniami na zwierzętach, że przy wybuchach gniewu następuje zwiększenie zawartości adrenaliny. Prowadzi to do wzmożenia akcji serca i do innych zmian, co pozwala zrozumieć, że bóle głowy, twarzy, może też ataki epileptyczne mogą być wywołane powodami psychicznymi. Chodzi tu zawsze o ludzi, wciąż od nowa wprawianych w rozdrażnienie przez ich problem. Rzecz jasna, że chodzi o okres trwania problemów. Jeśli się ma do czynienia z dwudziestoletnią nerwową dziewczyną, to można chyba przyjąć, że staje przed nią groźnie kwestia zawodu, jeśli nie zagadnienie miłości. U pięćdziesięcioletniego mężczyzny czy kobiety nie trudno będzie odgadnąć, że chodzi o problem starości, o którym dany osobnik sądzi, że nie potrafi go rozwiązać, a może istotnie nie potrafi tego dokonać. Faktów życia nie odczuwamy nigdy bezpośrednio, lecz tylko przez nasze pojmowanie, które jest zawsze miarodajne.

Uleczenie można osiągnąć jedynie na drodze intelektualnej, gdy pacjent lepiej zrozumie swój błąd i rozwinie w sobie poczucie spólnoty.

XI.

PERWERSJE SEKSUALNE.

Spodziewam się, że niniejsze, tylko schematyczne przedstawienie perwersyj seksualnych [1]) nie wywoła rozczarowania. Mogę spodziewać się tego tym łacniej, że przeważna część moich czytelników jest obeznana z podstawowymi poglądami psychologii indywidualnej, więc lekkie potrącenie znanego problemu będzie przyjęte jako obszerne rozwinięcie go. Znacznie więcej zależy w danym przypadku na wykazaniu zgodności naszego poglądu na świat ze strukturą perwersyj seksualnych. W naszych czasach nie jest to sprawa całkiem bezpieczna, gdyż właśnie dziś rozpanoszył się przemożnie prąd, usiłujący zboczenia płciowe sprowadzić do czynników wrodzonych. Jest to tak znamienne, że nie wolno tego punktu widzenia tracić z oczu; naszym zdaniem chodzi tu o sztuczne wytwory, które wśliznęły się do wychowania bez wiedzy danej jednostki. Z tego widać wielkie przeciwieństwo, w jakim pozostajemy do drugich, oraz trudności, które nie stają się dla nas lżejszymi, jeśli inni, jak np. *Kraepelin* akcentują podobne poglądy.

Celem wyjaśnienia naszego stosunku do drugich,

---

[1]) Patrz: Dreikurs, „Seelische Impotenz", Verlag Hirzel, Lipsk, i Adler, „Das Problem der Homosexualität", Verlag Hirzel, Lipsk, 1930.

opowiem przypadek, nie mający jednak nic wspólnego ze zboczeniami płciowymi, lecz który posłuży jako przykład ilustrujący moje stanowisko w ujmowaniu kwestyj psychologicznych. Sprawa dotyczy pewnej kobiety, która żyje w szczęśliwym małżeństwie i ma dwoje dzieci. Od sześciu lat prowadzi ona walkę ze swoim otoczeniem. Chodzi o problem następujący: kobieta ta twierdzi, że długoletnia przyjaciółka, którą znała od dziecięctwa i podziwiała jej zdolności, od sześciu lat okazuje się despotką, stale zadręczającą drugich. Ona zaś cierpi najwięcej z tego powodu i przytacza na to szereg dowodów, którym inni zaprzeczają. Twierdzi: „Możliwe, że w niektórych rzeczach posunęłam się za daleko, ale zasadniczo mam jednak rację. Przed sześciu laty przyjaciółka ta wyrażała się ujemnie o pewnej nieobecnej przyjaciółce, a w jej obecności udawała zawsze serdeczną". Obawia się więc, że przyjaciółka ta może też robić podobne uwagi o niej. Inny dowód: Przyjaciółka zauważyła: „Pies jest wprawdzie posłuszny, ale głupi". Mówiąc to rzuciła okiem na naszą pacjentkę, a spojrzenie jej zdawało się mówić: „Tak samo jak ty". Otoczenie pacjentki było niezmiernie oburzone z powodu takiego wytłómaczenia, do którego nie przykładało wagi i stanowczo broniło obwinionej.

Wobec innych kobieta ta ukazywała się z najlepszej strony. Dla poparcia swojego poglądu, pacjentka nasza powiedziała: „Przyjrzyjcie się tylko, jak ona się obchodzi ze swoim psem. Męczy go i każe wykonywać sztuczki, które sprawiają mu ogromne trudności". Otoczenie sądziło: „Przecież to tylko pies, więc nie można postępowania z nim porównywać z postępowaniem z ludźmi, dla ludzi jest dobra". Dzieci mojej pacjentki były bardzo przywiązane do przyjaciółki i sprzeciwiały się zdaniu matki. Mąż również przeczył możliwości innego ujęcia. Pacjentka wynajdywała coraz to nowe

dowody despotyzmu przyjaciółki, skierowane głównie przeciw niej. Nie wahałem się oświadczyć pacjentce, że mam wrażenie, iż ma słuszność. Była tym zachwycona. Ujawniło się jeszcze niejedno, świadczące o despotyzmie owej kobiety, a to moje wrażenie zostało ostatecznie potwierdzone przez męża. Okazało się więc nagle: ta biedaczka ma słuszność, tylko że robi z niej zły użytek. Zamiast zrozumieć, że istnieje coś w rodzaju zamaskowanej tendencji obniżania i że należy człowiekowi coś wybaczyć, zwróciła się bezwzględnie przeciw owej kobiecie, uważała, że wszystko u niej zasługuje na naganę i irytowała się. Miała delikatniejszy naskórek, umiała lepiej odgadnąć, jakkolwiek nie zrozumieć, co dzieje się w przyjaciółce.

Chcę przez to powiedzieć, że często jest najfatalniejszą rzeczą mieć rację. Brzmi to zdumiewająco — ale może każdy człowiek doświadczył w swym życiu, że miał rację i że z tego właśnie wynikło nieszczęście. Wystarczy tylko pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby ta kobieta wpadła w ręce kogoś, nie mającego delikatnego naskórka: mówiłby o obłędzie pieniaczym, o paranoi i traktowałby ją tak, że czułaby się coraz gorzej. Trudno jest wyrzec się swego stanowiska, jeśli się ma rację. W tej sytuacji są wszyscy badacze, przekonani że mają słuszność i zmuszeni do obrony. Nie powinno nas dziwić, że także o nasze poglądy rozpala się wielka walka. Musimy się tylko strzec obstawania wyłącznie przy swojej słuszności i robienia z niej złego użytku. Nie pozwolimy się więc rozdrażnić tym, że tylu badaczy zwalcza nasze poglądy. W nauce należy mieć nadzwyczaj dużo cierpliwości. Jeśli dziś w odniesieniu do perwersyj seksualnych przeważa idea dziedziczności, czy to gdy chodzi o zwykłych rzeczników dziedziczności, mówiących o trzecim pokoleniu, lub o tym, że druga płeć jest człowiekowi wrodzona, czy też o takich, co sądzą,

że czynniki wrodzone dochodzą do rozwoju i że nie ma na to żadnej rady, czy też gdy się mówi o składnikach wrodzonych — to wszystkie te czynniki nie zdołają nas skłonić do odstąpienia od naszego poglądu. Okazuje się, że chemicy organiczni, poszukujący organicznych zmian, organicznych anomalij, wychodzą na tym bardzo źle.

Co do homoseksualizmu, to pragnąłbym podać pewną wiadomość, która pojawiła się niedawno i dotyczy problemu, poruszonego przeze mnie w r. 1927 kiedy to *Laqueur* odkrył, że w moczu każdego człowieka znajdują się hormony drugiej płci. Kto tylko powierzchownie obeznany jest z naszym poglądem, na tym fakt ten wywrze zdumiewające wrażenie. Gotów pomyśleć, że jeśli rozwijają się zboczenia, to pochodzą one z dwupłciowości. Badania przeprowadzone przez *Brana* na sześciu homoseksualistach wykazały, że istniały u nich te same hormony co u nie-homoseksualistów. Stanowi to krok naprzód w naszym kierunku. Homoseksualizm nie zależy od hormonów.

Przedłożę tu schemat, podług którego możnaby podzielić wszystkie kierunki psychologii. Istnieją p s y c h o l o g i e p o s i a d a n i a, zajmujące się stwierdzaniem, co człowiek przynosi z sobą na świat i posiada, i usiłujące z tego posiadania wyprowadzić całą duchowość. Ze stanowiska common sense jest to rzeczą fatalną. Zazwyczaj nie jest się w życiu skłonnym do wysnuwania wszystkich wniosków z posiadania, lecz z tego, jaki u ż y t e k człowiek może zrobić z posiadania. Nas interesuje znacznie więcej użytek niż posiadanie. Jeśli ktoś posiada miecz, to wcale jeszcze nie znaczy, że robi z niego właściwy użytek; może go odrzucić, może nim uderzać, ostrzyć go itd. Nas interesuje użytek. Dlatego chciałbym powiedzieć: istnieją inne kierunki psychologii, które należałoby uważać za p s y c h o l o g i e u ż y t k o w a n i a. Psychologia indywidualna uwzglę-

dniająca nastawienie człowieka do zagadnień życiowych, w celu zrozumienia go, uwzględnia użytek. Ludziom logicznie myślącym nie potrzebuję dodawać, że nikt nie może robić użytku przekraczającego jego zdolności, że pozostaje on zawsze w obrębie zdolności ludzkich, o których zasięgu nie możemy powiedzieć nic stanowczego. Jest to godne pożałowania i świadczy o tryumfalnym wkroczeniu ignorancji w dziedzinę psychologii, że trzeba jeszcze mówić o rzeczach ogólnie znanych.

Co do użytkowania zdolności, to należy powiedzieć, że był to właściwie największy krok, jaki uczyniła psychologia indywidualna, uznając prawo ruchu w duchowym życiu człowieka za decydujące dla jego indywidualności. Jakkolwiek musiało się zamrozić ruch, by go ujrzeć jako kształt, to jednak zawsze oglądaliśmy wszystko ze stanowiska, że wszystko jest ruchem, i uważaliśmy, że tak być musi, jeśli się ma dojść do rozwiązania zagadnień i do przezwyciężenia trudności. Nie można tu powiedzieć, że sprzeciwiałaby się temu zasada zaspokojenia instynktów; dążenie do przyjemności jest także przezwyciężeniem braku, albo uczucia nieprzyjemności. Jeśli tak jest, to musimy perwersje seksualne oglądać także w tym świetle. Wtedy dopiero zostanie pole ruchu oświetlone tak, jak tego wymaga psychologia indywidualna. Pragnę podkreślić, że jeśli na tej drodze dojdziemy do formuł, do zasadniczych poglądów na strukturę perwersyj, to daleko nam jeszcze do ujęcia poszczególnego przypadku. Każdy poszczególny przypadek przedstawia coś jednorazowego, coś nigdy niepowtarzalnego. Przystępując np. do terapii, należy odrzucić ogólną frazeologię. Z istnienia psychologii użytkowania wynika, że jednostka, odcięta od normalnego związku społecznego, nie mogłaby ujawnić niczym swojej indywidualności. Dopiero po poddaniu jej

próbie i stwierdzeniu, jaki użytek robi ze swych zdolności, będziemy mogli wypowiedzieć coś o jej indywidualności. W tym sensie zbliża się psychologia indywidualna do znacznie ciaśniejszej psychologii doświadczalnej, tylko że tu życie samo robi doświadczenia. Czynniki egzogeniczne, stające tu przed jednostką, posiadają dla naszych rozważań największe znaczenie; musimy nauczyć się zrozumieć, jaki jest stosunek właśnie tej jednorazowej jednostki do czekającego ją zagadnienia. Musimy rozpatrzyć dwie strony i dowiedzieć się, w jaki sposób jednostka ta porusza się wobec zagadnienia zewnętrznego. Śledzimy, w jaki sposób usiłuje opanować ten problem. Rodzaj chodu, prawo ruchu jednostki wobec zadania zawsze społecznego stanowi pole obserwacyjne psychologii indywidualnej. Stoimy tu przed milionową różnorodnością. Wśród olbrzymiej różnorodności można się zorientować jedynie w ten sposób, że na razie przyjmuje się coś typowego, z całą świadomością, że to, co przyjmuje się jako typowe, wykazuje zawsze odmiany, które następnie muszą zostać stwierdzone. Zrozumienie typowości oświetla jedynie pole badań, a potem dopiero rozpoczyna się trudne zadanie wykrycia tego, co indywidualne. Wymaga to wrażliwego naskórka, który można nabyć. Trzeba następnie należycie zrozumieć indywidualnie ujęty ciężar i wagę danego problemu, co udaje się tylko przy dostatecznym doświadczeniu społecznym i zdolności subtelnego wczucia się w trafnie zrozumiany styl życiowy jednostki, to znaczy w całokształt jej indywidualności. W tym spostrzeganym przez nas prawie ruchu, możemy rozróżnić cztery typowe formy, które opisałem w dwóch pracach w *Zeitschrift für Individualpsychologie* (Patrz: Adler, X. Jahrgang der Zeitschrift für Individualpsychologie, Verlag Hirzel, Lipsk).

Pomijając inne formy ruchu wobec zadań życia mi-

łosnego, konstatujemy przy perwersjach w zdumiewający sposób *zwężoną szerokość wymarszu*. Okazuje się, że szerokość wymarszu nie posiada normalnych wymiarów, że jest niezwykle zwężona, że zostaje rozwiązana tylko część problemu, jak np. przy fetyszyzmie. Ważne jest też zrozumienie faktu, że te wszystkie formy ruchu zmierzają przez wyłączenie normy do przezwyciężenia poczucia niepełnowartości. Obserwując ruch, użytek, jaki ktoś robi ze swoich zdolności, kierując się przy tym swoim mniemaniem, sensem, jaki podsuwa życiu bezwiednie, nie ująwszy tego w słowa i pojęcia — jeśli wyjdziemy z tego stanowiska, to możemy odgadnąć, jaki przed nim majaczy cel przezwyciężenia, jaka satysfakcja, wydająca mu się przezwyciężeniem, gdy nie oddając się całkowicie problemowi miłości, zachowuje pewien dystans lub posuwa się w zwolnionym tempie i marnuje czas. Możnaby tu wskazać na przykład Fabiusa Maximusa kunktatora, który wygrał bitwę, ponieważ długo się ociągał, co jednak znów dowodzi, że nie można trzymać się niewzruszenie jednej reguły. Ten cel przezwyciężenia uwidocznia się też w neurozach seksualnych (oziębłość, Ejaculatio praecox itd.). Problem zostaje poruszony, ale z pewnego dystansu, z ociągliwością, bez współdziałania, co nie prowadzi do rozwiązania go. W tej formie ruchu widzimy także tendencję wyłączania, ujawniającą się najsilniej w czystym homoseksualiźmie. Działa ona też w innych przypadkach, jak w fetyszyzmie i sadyzmie. W tym ostatnim widzimy silną agresywność, nie wiodącą do rozwiązania problemu i możemy zauważyć pewną osobliwą formę ociągliwości, wyłączania, w której podniecenie seksualne prowadzi do gnębienia drugiego, — silny napór, powodujący wadliwe, tj. jednostronne rozwiązanie zagadnienia. Tak samo w masochizmie, w którym cel wyższości należy rozumieć

w dwóch kierunkach. Jest jasne, że masochista wydaje swemu partnerowi rozkazy i że mimo swego poczucia słabości uważa się za jego rozkazodawcę. Równocześnie wyklucza możliwości porażki, istniejące przy normalnej szerokości wymarszu. Przy pomocy fortelu dochodzi do przezwyciężenia t r w o ż n e g o n a p i ę c i a.

Rozważając nastawienie jednostki, dochodzimy do wniosku, że jeśli ktoś trzyma się pewnej określonej formy ruchu, to rozumie się samo przez się, że wyklucza inne formy rozwiązania problemu. To wykluczenie nie jest przypadkowe; podobnie jak ten przebieg ruchu jest wytrenowany, tak samo wytrenowane jest też to wyłączenie. Nie ma perwersji seksualnej bez poprzedniego treningu. Widzi to oczywiście tylko ten, kto zwraca uwagę na ruch. Musimy silnie podkreślić jeszcze drugi punkt widzenia. Normalnym przebiegiem ruchu byłoby podjęcie problemu celem rozwiązania go w całej jego rozciągłości. Nie widzimy wcale tego przygotowania, przyglądając się poprzedniemu ruchowi jednostki. Cofając się aż do pierwszych lat dziecięctwa danej jednostki widzimy, że w tym czasie, pod bodźcem wpływów zewnętrznych powstaje problem z wrodzonych zdolności i możliwości. Nie możemy jednak wiedzieć z góry, co dziecko to zrobi z wszystkich wpływów i przeżyć swoich organów *(S. Holub, „Die Lehre von der Organminderwertigkeit", Verlag Hirzel, Lipsk).* Dziecko pracuje tu w królestwie swobody i swoją własną siłą twórczą. Napotyka się tu całe mnóstwo prawdopodobieństw; zawsze starałem się je uwydatnić, zaprzeczając równocześnie ich warunkowości przyczynowej. Nie jest prawdą, że dziecko, które przyszło na świat ze słabymi organami dokrewnymi, musi stać się neuropatą, istnieje jednak prawdopodobieństwo, że na ogół pewne przeżycia przejawiają się poniekąd w po-

dobnym kierunku, jeśli odpowiednie wpływy wychowawcze nie działają na korzyść kontaktu społecznego. Tak samo wpływy otoczenia nie są tego rodzaju, byśmy mogli przepowiedzieć, co dziecko z nich zrobi. Istnieje tu tysiąc możliwości w królestwie swobody i błędu. Każdy wytworzy błąd, ponieważ nikt nie może posiąść prawdy bezwzględnej. Okazuje się, że prototyp, o ile ma się rozwinąć w człowieka w przybliżeniu normalnego, musi posiadać pewien impuls do współpracy. Cały rozwój człowieka zależny jest od tego, ile poczucia kontaktu rozwinęło się w jego trzecim, czwartym, piątym roku życia. Już w tym okresie przejawia się stopień zdolności do nawiązywania kontaktu. Rozpatrując następnie przypadki chybienia, widzi się, że wszystkie błędne formy ruchu można wyjaśnić brakiem zdolności do nawiązywania kontaktu. Więcej: odrębność danej jednostki zmusza ją do p r o t e s t o w a n i a przeciw wszelkiej innej formie, do której nie jest przygotowana. Musimy w sądzie o tych ludziach być wyrozumiali, ponieważ nie nauczyli się rozwijać w sobie dostatecznej miary zainteresowania społecznego. Kto to zrozumiał, zrozumie też, że zagadnienie miłości jest problemem społecznym, którego nie potrafi rozwinąć człowiek, posiadający mało zainteresowania dla drugich, ani też człowiek, nie mający w sobie poczucia współdziałania w rozwoju ludzkości. Będzie on miał inne prawo ruchu niż człowiek, zdolny do rozwiązania zagadnienia miłości. Możemy tedy stwierdzić o wszystkich zboczeńcach, że nie rozwinęli się w ludzi, kroczących we wspólnym szeregu.

Możemy też odkryć źródła błędów, pozwalające zrozumieć, dlaczego dziecko ugrzęzło błędnie w braku zdolności nawiązywania kontaktu. Zjawiskiem, które w życiu towarzyskim jest najsilniejszym powodem niedostatecznej zdolności do kontaktu, jest r o z p i e s z c z e n i e.

Rozpieszczone dzieci nawiązują kontakt jedynie z osobą, która je rozpieszcza, wskutek czego są zmuszone do wyłączenia wszystkich innych. W każdym poszczególnym zboczeniu można wykazać jeszcze inne wpływy. Można powiedzieć: pod wpływem tego przeżycia dziecko ukształtowało sobie takie prawo ruchu, że kwestię swego stosunku do drugiej płci załatwiło w tym kierunku. Wszyscy zboczeńcy ujawniają swoje prawo ruchu nie tylko w odniesieniu do zagadnienia miłości, lecz przy wszystkich próbach, do których nie są przygotowani. Dlatego w zboczeniach seksualnych odnajdujemy wszystkie cechy charakterystyczne neurozy, jak przewrażliwienie, niecierpliwość, skłonność do wybuchu afektów, chciwość; wszyscy zboczeńcy usprawiedliwiają się też tym, że działają niejako pod przymusem. Jest to pewna chciwość posiadania, zmierzająca do wykonania planu, dyktowanego przez ich indywidualność; odkrywa się tu tak silny protest przeciw innej formie, że dla drugiego nie są też całkiem wykluczone niebezpieczeństwa (morderstwo na tle seksualnym, sadyzm).

Chciałbym wyjaśnić, w jaki sposób daje się wykryć trening w pewnej określonej formie zboczeń seksualnych. Obserwacja ta ukazuje nam, że pewne zboczenia mogą powstać na podstawie takiego treningu. Treningu nie musi się poszukiwać w materiale; trzeba zrozumieć, że trening daje się też przeprowadzić myślowo i we śnie. Jest to doniosła wskazówka psychologii indywidualnej, gdyż wielu sądzi, że np. perwersny sen jest dowodem wrodzonego homoseksualizmu, gdy my, na podstawie naszego ujęcia życia sennego możemy stwierdzić, że ten sen homoseksualny potrzebny jest do treningu, podobnie jak też jest potrzebny do rozbudzenia zainteresowania dla tej samej płci i wykluczenia go w stosunku do drugiej. Ten trening pragnąłbym wy-

kazać na pewnym przypadku, w okresie, kiedy o zboczeniach seksualnych nie może jeszcze być mowy. Przytoczę dwa sny, celem wykazania, że prawo ruchu napotyka się też w życiu sennym. Człowiek obeznany z psychologią indywidualną nie cofnie się przed badaniem całokształtu życia w każdym jego drobnym ułamku. Musimy jednak także w treści snu odnaleźć całokształt życia, nie tylko w myślach sennych, które oczywiście przy należytym zrozumieniu i należytym uwzględnieniu stylu życiowego przyczyniają się nadzwyczajnie do zrozumienia nastawienia jednostki do danego zagadnienia — nastawienia, wymuszonego przez jej ustalony styl życiowy. Chciałbym wypowiedzieć myśl, że wiedzie nam się tak, jak przy jakiejś pracy detektywistycznej. Nie rozporządzamy wszystkimi materiałami, potrzebnymi do naszego zadania, musimy spotęgować niezwykle swą zdolność odgadywania, by stwierdzić jednię człowieka.

Pierwszy sen: „Przenoszę się myślą w przyszły okres wojny. Wszyscy mężczyźni, a nawet chłopcy powyżej dziesięciu lat, muszą stawić się do szeregów...“ Z pierwszego zdania, może psychologia indywidualna wysnuć, że jest to dziecko, kierujące swą uwagę na niebezpieczeństwa życia, na bezwzględność drugich.

„...I oto dzieje się, że pewnego wieczora, zbudziwszy się ze snu, widzę, że leżę na szpitalnym łóżku. Przy łóżku siedzą moi rodzice“.

Wybór tego obrazu świadczy o rozpieszczeniu.

„Zapytałem ich, co się dzieje. Powiedzieli, że jest wojna. Chcieli, bym nie odczuł wojny tak ciężko, więc kazali mnie zoperować, bym się stał dziewczyną“.

Z tego widać, jak bardzo rodzice lękają się o niego. To znaczy: w niebezpieczeństwie trzymam się rodziców. Jest to forma wyrazu rozpieszczonego dziecka. Nie posuniemy się ani krok dalej niż nam bezwarun-

kowo wolno. Jesteśmy zobowiązani zachować przy naszej pracy możliwie największy sceptycyzm. Wyłania się problem przeobrażenia. Abstrahując od prób naukowych, które są jeszcze wątpliwe, należy powiedzieć, że przeobrażenie chłopca w dziewczynę jest poglądem laików. W danym przypadku świadczy o niepewności w odniesieniu do życia płciowego; wykazuje nam, że śniący nie jest całkiem pewny swojej roli, wynikającej z jego płci. Zdziwi to niejednego, gdy się dowie, że chodzi o chłopca dwunastoletniego. Będziemy mogli obserwować, w jaki sposób doszedł do tego wyobrażenia. Ze względu na zadania, nałożone przez wojnę, życie wydaje mu się niemożliwe do przyjęcia; protestuje przeciw niemu.

„Dziewczęta nie muszą iść na wojnę. Gdybym jednak musiał pójść do wojska, nie mogliby mi odstrzelić członka płciowego, bo nie jest taki jak u chłopców".

Na wojnie można stracić członek płciowy. Argument mało przemawiający na korzyść kastracji, a nawet wyrazu poczucia spólnoty, gdyż oznacza uchylenie się od wojny.

„Wróciłem do domu, ale wojna ustała, jakby przez cud".

Operacja okazała się więc zbyteczną. Co zrobi teraz?

„Może nie jest konieczne, bym zachowywał się jak dziewczyna; może nie będzie wojny".

Widać, że nie całkiem porzuca swoją rolę chłopca. Musimy na to zwrócić uwagę w jego prawie ruchu. Stara się pójść trochę dalej po stronie męskiej.

„W domu zrobiło mi się bardzo smutno i dużo płakałem".

Dzieci, które dużo płaczą, są rozpieszczone.

„Gdy rodzice zapytali mnie dlaczego płaczę, powiedziałem, że należąc do rodzaju żeńskiego, boję się, czy nie dostanę bólów porodowych, gdy będę starszy".

Z roli kobiecej również nic. Byliśmy na dobrej drodze określenia jego celu w tym sensie, że chłopiec pragnie się uchylić od wszelkich nieprzyjemności. Stwierdziłem u zboczeńców płciowych, że są to dzieci rozpieszczone, często utrzymane w niepewności, i że czują co najmniej wielką tęsknotę za uznaniem, natychmiastowym powodzeniem, zachłanną wyższością. Może się wtedy zdarzyć, że dziecko nie wie, czy jest chłopcem, czy dziewczyną... Co ma począć? Po stronie męskiej nie ma nadziei, po drugiej tak samo.

„Nazajutrz poszedłem do mojego związku, bo w rzeczywistości należę do związku skautów".

Możemy sobie już wyobrazić, jak się tam będzie zachowywać.

„Śniło mi się, że w naszym związku jest jedna dziewczyna. Odosobniona od chłopców".

Szukanie rozdziału płci.

„Chłopcy wołali mnie do siebie. Powiedziałem, że jestem dziewczyną i podszedłem do tej jedynej dziewczyny. Było mi tak dziwno, że nie jestem już chłopcem i zastanawiałem się, jak powinienem się zachowywać jako dziewczyna".

Nagle wyłania się zrozumienie: *jak powinienem się zachowywać jako dziewczyna.*

Oto trening. Tylko ten, kto obserwował trening u wszelkich zboczeńców seksualnych, wymuszony przez wyłączenie normy — tylko ten zrozumie, że zboczenie seksualne jest sztucznym produktem, który sobie każdy sam stwarza, do którego wiedzie każdego jego konstytucja psychiczna, stworzona przez niego samego, a czasem uwodzi go też przyrodzona konstytucja fizyczna, ułatwiająca mu zwrot.

„Z rozmyślania wyrwał mnie trzask. Zbudziłem się i spostrzegłem, że uderzyłem głową o ścianę".

Pozycja spiącego często odpowiada jego prawu ruchu. (Patrz: Adler, „Schlafstellungen“ w dziele „Praxis und Theorie der Individualpsychologie“, Verlag Bergmann, Monachium, IV wyd.). Głową mur przebić — to powiedzenie ogólnie przyjęte. Takie wrażenie robi na nas jego postępowanie.

„Sen wywarł na mnie takie wrażenie...“

Celem snu było wywarcie wrażenia.

„..., że jeszcze w szkole miałem wątpliwości, czy jestem chłopcem czy dziewczyną. Podczas pauz musiałem wychodzić do ustępu, by zobaczyć, czy jednak nie jestem dziewczyną“.

Drugi sen: „Śniło mi się, że tę jedną dziewczynę spotkałem w naszej klasie. Tę samą dziewczynę, o której śniło mi się poprzednio. Chciała pójść ze mną na spacer. Odpowiedziałem jej: chodzę teraz tylko z chłopcami. A ona powiedziała: ja jestem także chłopcem. Wydawało mi się to niewiarygodne, więc zażądałem, by mi udowodniła. Wtedy pokazała mi, że ma taki członek płciowy jak chłopcy. Zapytałem ją, jak to możliwe. Opowiedziała mi, że jej zrobiono operację. Łatwiej jest zmienić chłopca w dziewczynę, niż dziewczynę w chłopca, bo musiano coś dodać. Przyszyto jej więc z kauczuku członek chłopięcy. Ale w tej chwili rozmowę naszą przerwało głośne: wstawać!“ Zbudzili mnie moi rodzice. Z biedą wyprosiłem sobie jeszcze pięć minut leżenia, ale nie będąc czarownikiem, nie mogłem już przywołać z powrotem swego snu“.

U pewnego typu rozpieszczonych dzieci napotyka się zamiłowanie do czarodziejskich sztuczek; czarodziejstwo wydaje im się czymś najważniejszym, pragną osiągnąć wszystko bez wysiłku i trudu i bardzo się interesują telepatią.

Teraz usłyszymy, jak ów chłopiec próbuje wytłómaczyć ten sen:

„Czytałem w opisach wojny: członki płciowe fruwają w powietrzu. Słyszałem że utrata członka płciowego sprowadza śmierć".

Widzimy, jak wielkie znaczenie chłopiec przypisuje członkowi płciowemu.

Na karcie tytułowej jakiejś gazety wyczytałem: „Dwie pomocnice przy gospodarstwie domowym, w ciągu dwóch godzin przeobrażone w żołnierzy".

Chodziło prawdopodobnie o niewłaściwe ukształtowanie organów płciowych, którego nie rozpoznano.

Na zakończenie pragnę dać wyraz pewnej myśli, która wszystkie dotychczasowe dyskusje na ten temat, stawia na prostszej podstawie. Istnieją prawdziwi hermafrodyci, co do których jest rzeczywiście trudno rozstrzygnąć, czy ma się do czynienia z chłopcami, czy z dziewczętami. Pozostawia się im swobodę co do dowolnego robienia użytku z hermafrodytyzmu. U pseudohermafrodytów napotyka się zniekształcenia, udające podobieństwo z drugą płcią. Jest faktem, że każdy człowiek nosi w sobie ślady cząstek drugiej płci, a także hormony płciowe drugiej płci w moczu. To naprowadza na myśl, która wydaje się śmiałą: że mianowicie w każdym człowieku tkwi bliźniak. Istnieją najrozmaitsze formy wskazujące bliźniactwo, a zagadnienie równoczesnej dwupłciowości w człowieku zostanie w przyszłości rozwiązane jako zagadnienie bliźniactwa. Rozumiemy, że każdy człowiek jest zrodzony z materiału męskiego i kobiecego. Nie jest wykluczone, że przy badaniach nad bliźniactwem natkniemy się na zagadnienia, które odnośnie do hermafrodytyzmu, zaznaczonego w każdym człowieku, wniosą większą jasność.

Co do leczenia: Zawsze się słyszy, że zboczenie jest nieuleczalne. Uleczenie nie jest niemożliwe, ale trudne. Trudność wyleczenia tłómaczy się tym, że chodzi o ludzi, którzy w przebiegu życia ćwiczyli się w zboczeniu,

gdyż mają zacieśnione prawo ruchu, dyktujące im taki przebieg. Muszą iść w tym kierunku, gdyż od najwcześniejszej młodości nie znaleźli kontaktu, by we właściwy sposób robić użytek z ciała i duszy. A właściwy użytek uwarunkowany jest bezwzględnie rozwiniętym poczuciem spólnoty, które daje prawdopodobieństwo uleczenia także większej liczby zboczeń.

XII.

PIERWSZE WSPOMNIENIA Z DZIECIĘCTWA.

Jakkolwiek mało wiemy o jedni naszego ja, to jednak nie możemy się jej pozbyć. Można jednolite życie duszy rozczłonkowywać z rozmaitych, mniej czy więcej bezwartościowych punktów widzenia, można dwa, trzy, cztery poglądy przestrzenne wysuwać razem, czy naprzeciw siebie, pragnąc zrozumieć jednolite ja, można je wyprowadzać z świadomego i nieświadomego, z seksualizmu, z świata zewnętrznego — na ostatek będziemy jednak musieli umieścić je ponownie, niby jeźdźca na koniu, w jego wszechobejmującym działaniu. W każdym razie nie można już zapoznać postępu, zapoczątkowanego przez psychologię indywidualną. „Ja“ wywalczyło sobie swoją godność w poglądach nowoczesnej psychologii, a czy się sądzi, że zostało wyrugowane ze sfery nieświadomego czy z tego, co określa się jako „Ono“ [1]), to ostatecznie „Ono“ zachowuje się układnie lub nieukładnie, podobnie jak „ja“. Tak samo fakt, że t. zw. świadome albo ja przepełnione jest „nieświadomym“, albo, jak dowiodłem, niezrozumiałym, że zawsze wykazuje rozmaite stopnie poczucia wspólnoty — fakt ten coraz bardziej rozumie i wprowadza do swego sztucznego systemu psychoanaliza, która z psychologii indy-

---

[1] Patrz: Z. Freud, „Das Ich und das Es“ (Przyp. tłum.).

widualnej „zrobiła swojego jeńca, od którego nie może się już uwolnić".

Jest rzeczą zrozumiałą, że starając się wyjaśnić nierozerwalną jedność życia duchowego, musiałem natknąć się na czynność i strukturę pamięci. Mogłem potwierdzić stwierdzenia starszych autorów, że pamięci nie należy żadną miarą uważać za miejsce zborne wrażeń i czuć, że nie wrażenia utrwalają się jako „mnemy", lecz że w czynności tej mamy do czynienia z cząstkową siłą jednolitego życia duchowego, z cząstką ja, którego zadaniem, podobnie jak zadaniem postrzegania jest dostosowanie wrażeń do gotowego stylu życiowego i do zużytkowania ich w jego sensie. Gdybyśmy się chcieli posłużyć wyrażeniem kanibalskim, to możnaby powiedzieć, że zadanie pamięci polega na pożeraniu i trawieniu wrażeń. Swoim czytelnikom nie potrzebuję specjalnie tłómaczyć, że nie potrzeba tu wierzyć w jakąś sadystyczną skłonność pamięci. Proces trawienia należy jednak do stylu życiowego. Co mu nie smakuje, zostaje odrzucone, zapomniane, lub też zachowane jako przykład ostrzegawczy. Rozstrzyga styl życiowy. Jeśli ma upodobanie do ostrzeżeń, to używa do tego celu wrażeń niestrawnych. Przypomina to charakterystyczny rys ostrożności. Niejedno zostaje na pół strawione, w czwartej części, w tysiącznej części. Proces trawienia może jednak iść także w kierunku trawienia jedynie uczuć, czy nastawień, które przylgnęły do wrażeń, pomieszanych niekiedy ze wspomnieniami słów czy pojęć, lub ich części. Jeśli zapomnę imię jakiejś znanej mi osoby — nie zawsze musi być niemiła, nie zawsze musi mi przypominać coś niemiłego, zarówno jej imię jak osoba mogą właśnie wtedy lub w ogóle pozostawać poza moim zainteresowaniem, podyktowanym przez styl życiowy — to jednak wiem często wszystko, co u tej osoby uważam za ważne. Stoi mi przed oczyma. Mógłbym ją rozpoznać,

mógłbym o niej dużo powiedzieć. Właśnie dlatego, że nie pamiętam jej imienia, stoi ona wyraźnie i całkowicie w polu widzenia mojej świadomości. To znaczy: moja pamięć może w celu dopiero co opisanym, albo też w innym, kazać zniknąć częściom całego wrażenia albo całemu wrażeniu. Jest to zdolność artystyczna, odpowiadająca stylowi życiowemu człowieka. Całość wrażenia obejmuje zatem znacznie więcej niż przeżycie przybrane w słowa. Indywidualna apercepcja dostarcza pamięci spostrzeżenie, odpowiednio do indywidualności jednostki. Indywidualność jednostki odbiera tak ukształtowane wrażenie i wyposaża je w uczucia i pewne nastawienie. Te są znów posłuszne prawu ruchu jednostki. W tym procesie trawienia pozostaje to, co chcemy nazywać wspomnieniem, bez względu, czy wyraża się w słowach, uczuciach lub nastawieniu do świata zewnętrznego. Proces ten obejmuje w przybliżeniu to, co rozumiemy pod czynnością pamięci. Idealne, obiektywne odtworzenie, niezależne od indywidualności jednostki, wcale więc nie istnieje. Musimy przeto liczyć się z tym, że znajdziemy tyle form pamięci, ile uznajemy form stylów życiowych.

Niechaj następujący fakt wyjaśni jeden z najczęstszych przykładów pewnej określonej formy życiowej i jej pamięci.

Pewien człowiek uskarża się w przykry sposób, że żona jego zapomina o „wszystkim". Jako lekarz pomyślałem przede wszystkim o organicznej chorobie mózgu. Ponieważ w danym przypadku było to wykluczone, zacząłem, usunąwszy na razie objaw — konieczność, której psychoterapeuci często nie rozumieją — zagłębiać się w styl życiowy pacjentki. Okazała się spokojną, miłą, rozumną osobą, która wśród trudności ze strony teściów zdołała przeforsować swoje małżeństwo z człowiekiem żądnym władzy. W ciągu pożycia

małżeńskiego dawał jej często odczuwać jej zależność materialną, a także niskie pochodzenie. Przeważnie znosiła jego karcące pouczenia w milczeniu. Czasem padała też z obu stron kwestia rozwodu, ale możność ustawicznej władzy nad żoną, raz po raz powstrzymywała despotycznego męża od tego kroku.

Kobieta ta była jedynym dzieckiem miłych, kochających ją rodziców, którzy nigdy nie widzieli w córce niczego, zasługującego na zaganę. Że od dziecięctwa wolała zawsze bawić się, czy coś robić sama, tego rodzice nie uważali za błąd, zwłaszcza, że znalazłszy się w miłym towarzystwie, zachowywała się bez zarzutu. Ale także w małżeństwie starała się o to, by, jak mówiła, ani mąż, ani towarzystwo, nie uszczuplali zbytnio jej wolnych chwil, godzin samotności, lektury, gdy mąż pragnął mieć więcej sposobności okazywania jej swej wyższości. Ponadto można było zauważyć u niej nadmierną gorliwość w spełnianiu obowiązków pani domu. Tylko że zdumiewająco często zapominała spełniać zlecenia męża.

Z jej wspomnień dziecięctwa okazało się, że zawsze sprawiało jej ogromną radość, gdy mogła wypełniać swoje obowiązki sama.

Obeznany dokładnie z psychologią indywidualną spostrzeże na pierwszy rzut oka, że jej forma życiowa nadawała się całkiem dobrze do zadań, które mogła spełniać sama. Nie nadawała się natomiast do zadania we dwoje, jak miłość i małżeństwo. Mąż jej wskutek właściwości swojego charakteru nie nadawał się do wyuczenia jej tej zdolności. Jej cel doskonałości istniał po stronie pracy jednostkowej. Tu wywiązywała się nienagannie. A kto zwracał uwagę tylko na tę stronę, nie byłby w stanie odkryć w niej żadnego błędu. Ale do miłości i do małżeństwa nie była przygotowana. Tam nie mogła sprostać. Możemy, poprzestając tylko na

jednym szczególe, odgadnąć z tego formę jej seksualności: oziębłość. Teraz możemy znów zabrać się do rozpatrzenia słusznie usuniętego objawu. Tak, już go rozumiemy. Jej zapominanie było mało agresywną formą protestu przeciw narzuconej współpracy, do której nie była przygotowana i która też leżała poza jej celem doskonałości.

Nie każdy potrafi z tak krótkich opisów poznać i zrozumieć skomplikowane dzieło sztuki jednostki. Natomiast nauka, jaką Freud i jego uczniowie, obeznani z psychoanalizą, starają się wysnuć z psychologii indywidualnej, jakoby pacjent, zgodnie z naszym opisem pragnął „tylko" rzucać się w oczy, zdobyć dla siebie więcej zainteresowania, jest więcej niż wątpliwa i sama wydaje na siebie wyrok potępiający.

Mówiąc nawiasem: często stawia się pytanie, czy jakiś przypadek należy uważać za łatwy lub trudny. Rozumiemy, że rozstrzygnięcie zależy całkowicie od istniejącego poczucia wspólnoty. W danym przypadku łatwo jest zrozumieć, że błąd tej kobiety, jej brak przygotowania do współpracy i współżycia był łatwiejszy do naprawienia, gdyż jakby tylko przez zapomnienie zaniedbała tej najważniejszej rozbudowy. Gdy została przekonana, i przy współpracy lekarza, po przyjaznym rozmówieniu się z mężem, pouczonym przez niego, wydobyła się ze swego kręgu czarownicy (Künkel nazywa go żartobliwie diabelskim kręgiem, Freud kręgiem magicznym) znikło też jej zapominalstwo, gdyż został usunięty jego powód.

Jesteśmy oto przygotowani do zrozumienia, że wszelkie wspomnienie, o ile jakieś przeżycie w ogóle dotyczy jednostki i nie zostaje *a limine* odsunięte, jest wynikiem przetworzenia wrażenia przez styl życiowy, przez ja. Odnosi się to nie tylko do mniej lub więcej zapamiętanych wspomnień, lecz także do niedostatecz-

nych, trudnych do wydobycia, a tak samo do takich, które zatraciły swój wyraz słowny i dają się stwierdzić jedynie jako ton uczuciowy lub nastawienie. Dochodzimy tu do stosunkowo ważnego zrozumienia, mówiącego, że wszelki proces duchowy, dążący do celu doskonałości, należy zbliżyć do zrozumienia rozpatrującego go przez to, że musi on jasno określić myślowe, uczuciowe i sytuacyjne pole we wspomnieniu. Jak już wiemy, ja wyraża się nie tylko w mowie, lecz także w swych uczuciach i swym nastawieniu, a nauka o jedności ja zawdzięcza wszak psychologii indywidualnej stwierdzenie dialektu organów. Kontakt z światem zewnętrznym podtrzymujemy wszystkimi włóknami naszego ciała i naszej duszy. W każdym przypadku interesuje nas sposób, zwłaszcza wadliwy sposób podtrzymywania tego kontaktu. I na tej drodze doszedłem do ponętnego i cennego zadania odkrycia i zużytkowania wspomnień człowieka, jakkolwiek się one ujawnią, jako uchwytnych, wytłómaczalnych części jego stylu życiowego. Powód, dlaczego interesują mnie przede wszystkim wspomnienia, uważane za najdawniejsze, jest ten, że oświetlają one wydarzenia istotne lub urojone, prawdziwe lub zmienione, bardziej zbliżone do twórczej budowy stylu życiowego w pierwszych latach dziecięctwa, a w znacznej mierze zdradzające także przetwarzanie wydarzeń przez styl życiowy. Mniej nam przy tym zależy na wydobyciu treści, którą każdy może przecież rozumieć po prostu jako treść, a raczej na zmierzeniu jej prawodopodobnego tonu uczuciowego, późniejszego nastawienia i przetworzenia, oraz doboru materiału budowlanego. To ostatnie ważne jest z tego względu, że odkrywamy tu główne zainteresowanie danej jednostki, najważniejszy składnik stylu życiowego. Jest nam tu niezwykle przydatne główne pytanie psychologii indywidualnej, pytanie: dokąd zmierza ta

jednostka, jakie mniemanie ma ta jednostka o sobie i o życiu? Przy tym rozważaniu kierujemy się wprawdzie spiżowymi poglądami psychologii indywidualnej na cel doskonałości, na poczucie niepełnowartości, którego poznanie (niestety nie zrozumienie, jak uznał Freud) rozpowszechniło się już na całym świecie, na kompleks niepełnowartości i nadwartości, na poczucie wspólnoty i jego prawdopodobnych przeszkód — jednakowoż wszystkie te związane z sobą poglądy służą nam tylko do oświetlenia pola widzenia, w obrębie którego mamy ustalić indywidualne prawo ruchu danej jednostki.

Przy tej pracy powstaje w nas sceptyczne pytanie, czy w objaśnianiu wspomnień i ich związku ze stylem życiowym, nie możemy się łatwo pomylić, wobec wieloznaczności poszczególnych form wyrazu. Kto z prawdziwym mistrzostwem uprawia psychologię indywidualną, tego nie zawiodą wprawdzie odcienie, ale on również będzie się starał wyłączyć wszelkiego rodzaju pomyłki. Możliwości po temu jest dość. Jeśli we wspomnieniu jednostki odkrył jej prawdziwe prawo ruchu, to będzie musiał to samo prawo ruchu odkryć znów we wszystkich innych formach wyrazu. O ile chodzi o leczenie wszelkiego rodzaju chybień, będzie musiał wykazać tyle potwierdzeń, aż także pacjent zostanie przekonany o słuszności udowodnienia. Lekarz sam zostanie przekonany wcześniej czy później, zależnie od swojej indywidualności. Nie ma jednak innej miary, którą mógłby mierzyć błędy, objawy i błędny bieg życia człowieka, prócz wystarczającej miary należytego poczucia wspólnoty.

Jesteśmy teraz w stanie, oczywiście z największą ostrożnością i na podstawie największego doświadczenia, wykryć błędny kierunek drogi życiowej, brak poczucia wspólnoty, lub nawet jego przeciwieństwo, naj-

częściej przy pomocy najdawniejszych wspomnień. Kierujemy się przede wszystkim naszą wiedzą o braku poczucia wspólnoty, jego przyczyn i następstw. Wiele światła rzuca przedstawienie wydarzeń w sytuacji przeżycia osobistego lub zbiorowego. (Wir - oder Ich - Situation). A wiele także napomknienia o matce. Opowiadanie o niebezpieczeństwach lub nieszczęśliwych przypadkach, a także o chłoście i karze, odsłania nadmierną skłonność do zachowania na oku przede wszystkim wrogości życia. Wspomnienia przyjścia na świat młodszego członka rodzeństwa odsłania sytuację detronizacji, a wspomnienie pierwszego pójścia do freblówki lub do szkoły świadczy o wielkim wrażeniu, wywoływanym przez nowe sytuacje. Wspomnienie choroby i śmierci wiąże się często z lękiem przed nimi, częściej z próbami lepszego uzbrojenia się przed tymi niebezpieczeństwami, w charakterze lekarza, pielęgniarza czy czegoś podobnego. Wspomnienia pobytu na wsi z matką, podobnie jak wspomnienia pewnych ludzi: matki, ojca, dziadków w miłej atmosferze, świadczą często, nie tylko o większej sympatii dla tych ludzi, widocznie rozpieszczających, lecz także o wykluczaniu innych. Wspomnienia popełnionych niegodziwości, kradzieży, przeżyć seksualnych, wskazują zwykle na wielki wysiłek wykluczenia ich z dalszych przeżyć. Niekiedy dowiadujemy się także o innych skłonnościach, które podobnie jak wzrokowa, słuchowa, ruchowa, często mogą spowodować wykrycie niepowodzeń w szkole i mylnego wyboru zawodu, a także wskazać zawód, lepiej odpowiadający lepszemu przygotowaniu do życia.

Spróbuję wykazać na kilku przykładach związek najdawniejszych wspomnień z trwałym planem życia.

Człowiek liczący około 32 lat, najstarszy, rozpieszczony syn wdowy, okazuje się niezdatnym do żadnego

zawodu, gdyż zaraz na początku zapada na ciężkie przejawy lęku, które zmniejszają się natychmiast, skoro go tylko przyprowadzą do domu. Jest to dobroduszny człowiek, który jednak z trudnością przyłącza się do drugich. W szkole okazywał przed każdym egzaminem ogromne zdenerwowanie i często nie przychodził do szkoły, tłómacząc się zmęczeniem i wyczerpaniem. Matka otaczała go najtkliwszą pieczołowitością. Ponieważ był należycie przygotowany tylko do tej macierzyńskiej pieczołowitości, można było jego cel wyższości odgadnąć już z tego, że o ile się dało, unikał wszystkich zagadnień życiowych, a tym samym także wszelkiego niepowodzenia. U matki nie mogło go spotkać niepowodzenie. Ta jego trwała metoda uciekania się pod opiekę matki, nadawała mu cechę człowieka niedorozwiniętego, jakkolwiek pod względem fizycznym nie możnaby go było określić jako niedorozwiniętego. Jego od dzieciństwa wypróbowane sposoby odwrotu do matki, znacznie się spotęgowały po odmowie pierwszej dziewczyny, do której powziął skłonność. Wstrząs, jakiego doznał wskutek tego wydarzenia „egzogenicznego", wzmocnił jego odwrót do tego stopnia, że nie znajdował już nigdzie spokoju, tylko przy matce. Jego najdawniejsze wspomnienie z dzieciństwa brzmiało: „Mając może cztery lata, siedziałem przy oknie, gdy matka moja robiła pończochy i przyglądałem się robotnikom, którzy naprzeciwko budowali dom".

Powie ktoś: dość mało ważne. Wcale nie. Jego w y b ó r p i e r w s z e g o w s p o m n i e n i a — obojętne, czy było najdawniejsze czy nie — dowodzi nam, że kierował się tu jakimś zainteresowaniem. Akcja jego czynności pamięciowej, kierowana przez styl życiowy, wydobywa wydarzenie, silnie zdradzające jego indywidualność. To, że jest to sytuacja obok troskliwej matki, ukazuje nam rozpieszczone dziecko. Ale zdradza nam

jeszcze coś ważnego. Przygląda się jak inni pracują. Jego przygotowanie do życia jest przygotowaniem widza. Czego innego ma niewiele. Jeśli podejmie jakąś próbę, ma wrażenie, że stoi nad przepaścią i pod działaniem wstrząsu — lęk przed faktem bezwartości — rozpoczyna odwrót. Jeśli się go pozostawi w domu, przy matce, pozwalając mu przyglądać się pracy drugich, to zdaje się czuć całkiem dobrze. Jego linia wytyczna zmierza do opanowania matki, jako jedynego celu jego wyższości. Dla widza życiowego istnieje niestety tylko mało szans. Niemniej, po uleczeniu takiego pacjenta należy rozejrzeć się dla niego za zajęciem, pozwalającym mu zużytkować jego lepsze przygotowanie w patrzeniu i oglądaniu. Rozumiejąc to lepiej od pacjenta, musimy wkroczyć tu czynnie o tyle, by mu dać do zrozumienia: możesz sobie dać rady w każdym zawodzie, jeśli jednak chcesz zużytkować swoje lepsze przygotowanie, to wybierz zawód, wymagający przede wszystkim oglądania. Nasz pacjent zabrał się z powodzeniem do handlu przedmiotami sztuki.

W karykaturalnej nomenklaturze opisuje Freud *ciągle chybienia dzieci rozpieszczonych*, nie odkrywszy tej tajemnicy. Spieszczone dziecko chce wszystko mieć, z trudem tylko daje się nakłonić do normalnych czynności ustalonych przez ewolucję, pożąda matki „w swoim kompleksie Edypa" (jakkolwiek przesadzonym, to jednak w rzadkich poszczególnych przypadkach zrozumiałym, gdyż rozpieszczone dziecko odwraca się od każdej innej osoby). Wynikają z tego później najrozmaitsze trudności (nie z powodu usunięcia kompleksu Edypa, lecz z powodu wstrząsu, wywołanego przez inne sytuacje) a w uniesieniu dochodzi nawet do żądzy mordu w stosunku do osób, przeciwstawiających się życzeniom danego osobni-

ka. Jak z tego wyraźnie widać, są to sztuczne wytwory wadliwego, psującego wychowania, pomocne do zrozumienia życia duchowego tylko wtedy, gdy się zna i uwzględnia następstwa rozpieszczenia. Seksualność jest jednak zadaniem dla dwojga ludzi, które może być należycie spełniane tylko przy dostatecznym stopniu poczucia wspólnoty, którego brak dzieciom rozpieszczonym. W jaskrawym uogólnianiu, Freud widzi się więc zmuszonym przenieść sztucznie żywione pragnienia, fantazje i objawy, a także zwalczanie ich przez pozostałą resztę poczucia wspólnoty, do sfery wrodzonych popędów sadystycznych, które, jak widzimy, później dopiero zostały w dziecku sztucznie wyhodowane jako skutki rozpieszczenia. Łatwo przeto zrozumieć, że pierwszy akt niemowlęcia: ssanie piersi matki jest współpracą — a nie kanibalizmem, świadczącym o wrodzonym popędzie sadystycznym, jak sądzi Freud, dla poparcia swej z góry przyjętej teorii — że akt ten przynosi korzyść zarówno matce jak dziecku. Wielka różnorodność form życia ludzkiego znika w mroku rozumowania Freuda.

Dalszy przykład posłuży do wykazania korzyści zrozumienia najdawniejszych wspomnień z dzieciństwa. Ośmnastoletnia dziewczyna żyje w ustawicznej waśni z rodzicami. Chcą ją skierować do studiów, gdyż robi bardzo dobre postępy w szkole. Wzbrania się, gdyż, jak się okazuje, obawia się niepowodzenia, uzasadnionego tym, że nie zdała egzaminu najlepiej z wszystkich uczenic. Jej najdawniejsze wspomnienie z dzieciństwa było takie: Mając cztery lata, widziała na zabawie dla dzieci olbrzymią piłkę w ręku innego dziecka. Jako dziecko bardzo rozpieszczone, uparła się ze wszech sił, że musi również dostać taką piłkę. Ojciec obiegł całe miasto, by znaleźć taką piłkę, ale mu się to nie udało. Krzycząc i płacząc, odrzuciła ofiarowaną jej mniejszą

piłkę. Dopiero gdy ojciec wytłómaczył jej, że cały jego trud był daremny, dziewczynka uspokoiła się i przyjęła mniejszą piłkę. Z tego wspomnienia mogłem wywnioskować, że ta dziewczyna jest przystępna życzliwym wyjaśnieniom; udało się też przekonać ją o jej ambitnym egoiźmie i z dobrym skutkiem.

Jak zawiłe bywają często drogi losu, świadczy przypadek następujący: Człowiek liczący czterdzieści dwa lata, staje się impotentem po długoletnim pożyciu małżeńskim z kobietą o dziesięć lat starszą od niego. Od dwu lat prawie że nie rozmawia ze swoją żoną i dwojgiem dzieci. Poprzednio wiodło mu się dość dobrze w jego zawodzie, ale od owego czasu zaczął zaniedbywać swój interes i pchnął rodzinę w ciężką sytuację. Był ulubieńcem matki i bardzo rozpieszczonym dzieckiem. Gdy miał trzy lata, urodziła się siostrzyczka. Niezadługo potem — przyjście na świat siostry jest jego najdawniejszym wspomnieniem — zaczął moczyć w łóżku. Miewał w dziecięctwie okropne sny, jak to często bywa u dzieci rozpieszczonych. Nie ulega wątpliwości, że moczenie w łóżku i lęk wynikały z jego usiłowań cofnięcia swojej detronizacji, przy czym nie możemy przeoczyć, że moczenie w łóżku było także wyrazem oskarżenia, a może nawet aktem zemsty, skierowanym przeciw matce. W szkole był dzieckiem wybitnie dobrym. Przypomina sobie, że tylko jeden jedyny raz bił się z innym chłopcem, który go obraził. Nauczyciel wyraził wtedy swoje zdumienie, że taki dobry chłopak potrafił się tak unieść.

Możemy zrozumieć, że ćwiczył się w kierunku zdobycia wyłącznego uznania i cel swojej wyższości widział w tym, by go przenoszono nad innych. Jeśli tak nie było, chwytał się środków, oznaczających po części oskarżenie, po części zemstę, jakkolwiek te motywy nie były jasne

ani dla niego, ani dla drugich. Do jego egoistycznie zabarwionego celu doskonałości przyłączyło się staranie, by na zewnątrz nie wydawać się złym. Jak to sam podkreślił, ożenił się ze starszą dziewczyną, ponieważ była dla niego taka serdeczna, jak jego matka. Gdy po pięćdziesiątce zaczęła się więcej zajmować dziećmi, zerwał z nimi wszystkimi, w sposób na pozór nieagresywny. W to zerwanie została też wciągnięta jego niemoc płciowa, jako mowa organu. Już w jego dziecięcych latach można się było spodziewać, że po utracie rozpieszczania, podobnie jak wtedy po przyjściu na świat siostry, raz po raz będzie występował ze swym mało wyraźnym, ale wyraźnie działającym oskarżeniem.

Trzydziestoletni człowiek, starszy z dwojga rodzeństwa, odsiedział dłuższą karę więzienną za wielokrotne kradzieże. Jego najdawniejsze wspomnienia pochodzą z trzeciego roku życia, z okresu, tuż po przyjściu na świat młodszego brata. Brzmią: „Matka zawsze wolała brata. Już jako małe dziecko zawsze uciekałem z domu. Od czasu do czasu, kiedy byłem głodny, popełniałem drobne kradzieże w domu i poza domem. Matka karała mnie w najokrutniejszy sposób. Ale ja uciekałem raz po raz. W szkole byłem do czternastego roku średnim uczniem, ale nie chciałem się dalej uczyć i wałęsałem się po ulicach. Domu nie cierpiałem. Nie miałem żadnego przyjaciela i nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by mnie kochała, do czego zawsze tęskniłem. Chciałem chodzić do lokali rozrywkowych, by zapoznać się z ludźmi, ale nie miałem pieniędzy. Ukradłem tedy auto i sprzedałem je tanio. Odtąd zaczęły moje kradzieże przybierać większe rozmiary, aż dostałem się do więzienia. Możliwe, że byłbym wszedł na inną drogę, gdyby nie to, że nie cierpiałem domu, gdzie zawsze mnie tylko łajano. W kradzieżach umacniało mnie to,

że wpadłem w ręce pasera, który mnie do nich zachęcał".

Zwróciłem na to uwagę, że w dziecięctwie przestępców spotyka się w przeważającej liczbie przypadków dzieci, ongiś rozpieszczane, lub pragnące rozpieszczenia. A równie ważne jest to, że już w dziecięctwie można u nich stwierdzić silniejszą aktywność, której jednak nie można brać za odwagę. Że owa matka była zdolna do rozpieszczania dziecka, okazała to w stosunku do młodszego syna. Z rozgoryczenia tego człowieka po przyjściu na świat młodszego brata możemy wnosić, że on również był poprzednio rozpieszczany. Dalsze jego losy wynikły z rozgoryczonego oskarżania matki i z owej aktywności, dla której w braku dostatecznego stopnia poczucia wspólnoty — ani przyjaciół, ani zawodu, ani miłości — nie znalazł innego zużytkowania, poza zbrodnią. Głoszenie poglądu, jakoby występek był samoukaraniem, idącym w parze z pragnieniem dostania się do więzienia, jak to od niedawna czynią pewni psychiatrzy, zdradza przecież właściwie brak duchowego poczucia wstydu, zwłaszcza gdy łączy się to z jawnym wyszydzaniem common sense i z uwłaczającymi wycieczkami przeciw naszym głęboko uzasadnionym doświadczeniom. Czy tego rodzaju poglądy nie zrodziły się z ducha rozpieszczonych dzieci i nie oddziałują na ducha rozpieszczonych dzieci wśród publiczności — kwestię tę pozostawiam do rozstrzygnięcia czytelnikowi.

XIII.

SYTUACJE W DZIECIĘCTWIE PRZESZKADZAJĄCE WSPÓLNOCIE I USUNIĘCIE ICH.

Poszukując w dziecięctwie sytuacyj spowodowujących i pociągających, natkniemy się ostatecznie zawsze na owe trudne zagadnienia, które już poprzednio wymieniłem jako najważniejsze, mogące najbardziej utrudnić rozwój poczucia wspólnoty i dlatego też przeszkodzić mu bardzo często; są nimi: rozpieszczenie, wrodzona niepełnowartość organów, zaniedbanie. Oddziaływanie tych czynników jest rozmaite, nie tylko z powodu ich rozciągłości i stopnia, a także nie tylko z powodu ich trwania, początku i końca ich wpływu, lecz głównie z powodu prawie że nieobliczalnego podniecenia i odzewu, jakie wywołują w dziecku. Stanowisko dziecka wobec tych czynników zależy nie tylko od „trial und error" (próby i błędu) dziecka, lecz jeszcze więcej, jak da się wykazać, od wzrostu energii dziecka, od jego siły twórczej, jako części procesu życiowego, których rozwój w naszej kulturze, będącej dla dziecka równocześnie udręką i poparciem, jest również prawie że nieobliczalny, a uchwytny jedynie w swych wynikach. Chcąc posuwać się dalej drogą domysłów, musiałoby się wziąć pod uwagę mnóstwo faktów: znane właściwości, światło, powietrze, porę roku, ciepło, hałas, kontakt z osobami, mniej czy więcej odpowiednimi, klimat, jakość gleby, pożywienie, układ dokrewny, mięśnie, tempo rozwoju

organów, stadium embrionalne i jeszcze wiele innych czynników, jak pomoc i opieka osób, sprawujących pieczę. W tym oszałamiającym mnóstwie faktów będzie się skłonnym do przyjmowania czynników, przynoszących to korzyść, to szkodę. Poprzestaniemy na wzięciu pod uwagę, z wielką ostrożnością, prawdopodobieństw statystycznych, nie przecząc możliwości wyników różniących się między sobą. Znacznie pewniejsza jest droga obserwowania wyników, co do których istnieją wielkie możliwości zmiany. Ujawniającą się przy tym siłę twórczą można będzie stwierdzić dostatecznie w większej czy mniejszej aktywności ciała i ducha.

Nie można jednak przeoczać, że od pierwszego dnia wymaga się skłonności do współpracy. Ogromne znaczenie matki występuje pod tym względem całkiem jasno. Stoi ona na progu rozwoju poczucia wspólnoty. Biologiczna spuścizna ludzkiego poczucia wspólnoty czeka na jej opiekę. W drobnych posługach, przy wszelkiej pomocy potrzebnej bezsilnemu dziecku, może ona wzmocnić kontakt dziecka lub zahamować go. Jej stosunek do dziecka, jej zrozumienie i zręczność są tu miarodajnymi środkami. Nie chcemy przeoczać, że także pod tym względem wyższy stopień ludzkiej ewolucji może doprowadzić do wyrównania i że dziecko samo, poprzez istniejące przeszkody zdoła wymusić kontakt przy pomocy krzyku i oporności. Bo w matce również działa i żyje biologiczny dorobek miłości macierzyńskiej, nieprzezwyciężonej części poczucia wspólnoty. Może on leżeć odłogiem wskutek przykrych okoliczności, nadmiernych trosk, rozczarowań, choroby i cierpień lub zdumiewającego braku poczucia wspólnoty i jego następstw. Ewolucyjny nabytek miłości macierzyńskiej jest jednak na ogół tak silny u zwierząt i ludzi, że łatwo przezwycięża potrzebę pożywienia i popęd płciowy. Wolno też stwierdzić, że znaczenie

kontaktu z matką posiada największą wagę dla rozwoju ludzkiego poczucia wspólnoty. Wyrzeczenie się tej przepotężnej dźwigni w rozwoju ludzkości naraziłoby nas na największy kłopot znalezienia na pół wystarczającej namiastki, abstrahując od tego, że macierzyńskie uczucie kontaktu, jako nieutracalne dobro ewolucji, broniłoby się nieubłaganie przed zniszczeniem. Prawdopodobnie zawdzięczamy macierzyńskiemu uczuciu kontaktu największą część ludzkiego poczucia wspólnoty, a tym samym też istotny stan ludzkiej kultury. Wprawdzie wpływ obecny miłości macierzyńskiej często dziś nie zaspokaja potrzeby wspólnoty; daleka przyszłość będzie musiała używanie tego dobra dostosować znacznie bardziej do ideału wspólnoty. Często bowiem jest kontakt matki i dziecka za słaby, a jeszcze częściej za silny. W pierwszym przypadku może dziecko od początku życia mieć wrażenie jego wrogości i pod wpływem dalszych podobnych doświadczeń uczynić to mniemanie wytyczną swojego życia.

Jak to dość często widziałem, ani lepszy kontakt z ojcami, ani z dziadkami nie wystarczy do wyrównania tego braku. Można na ogół stwierdzić, że lepszy kontakt dziecka z ojcem dowodzi niepowodzenia matki, niemal zawsze oznacza drugą fazę w życiu dziecka, które — słusznie czy niesłusznie — przeżyło rozczarowanie do matki. Faktu, że u córek spotyka się często silniejszy kontakt z ojcem, a u synów z matką, nie można sprowadzać do płci, lecz trzeba go zbadać w świetle powyższego stwierdzenia, przy czym ujawnią się dwie rzeczy: że ojcowie często obchodzą się z córkami delikatnie, jak zwykli się obchodzić z kobietami i dziewczętami i że dziewczęta i chłopcy przygotowując się w zabawie w ogóle do przyszłego życia, *(S. Groos,*

Spiele der Kinder) przygotowanie to okazują także w stosunku do rodzica innej płci. Pewną, występującą tu niekiedy przymieszkę popędu płciowego, rzadko wprawdzie w przesadnej formie, jak to przedstawia Freud, napotykałem tylko u dzieci bardzo rozpieszczonych, chcących cały rozwój przebyć w obrębie rodziny, albo nawet w wyłącznym związku z jedyną osobą, która je rozpieszcza. Zgodnie z rozwojem historycznym i obowiązkiem społecznym przypada matce zadanie zrobienia z dziecka możliwie wcześnie współpracownika, współczłowieka, który chętnie pomaga i chętnie też, o ile nie starczy mu sił, przyjmuje pomoc drugich. O „dobrze utemperowanym" dziecku można by pisać tomy. Tu wystarczy zaznaczyć, że dziecko powinno się czuć w domu jako równouprawniony partner, z coraz silniejszym zainteresowaniem dla ojca i rodzeństwa, a rychło też dla wszystkich osób swego otoczenia. W ten sposób będzie już wcześnie nie ciężarem, lecz partnerem w grze. Rychło poczuje się zadomowionym i rozwinie ową odwagę i otuchę, które w nim powstaną z kontaktu z otoczeniem. Zakłócenia, które spowoduje przez rozmyślne lub nierozmyślne błędy swych czynności: moczenia w łóżku, wstrzymywania wypróżnienia, kapryszenia przy jedzeniu bez przyczyn chorobliwych, będą tak dla niego, jak dla jego otoczenia zadaniem rozwiązalnym, pomijając już to, że w ogóle nie wystąpią, jeśli jego skłonność do współdziałania będzie dostatecznie wielka. To samo odnosi się do ssania wielkiego palca i obgryzania paznokci, do dłubania w nosie i połykania wielkich kęsów. Wszystkie te zjawiska występują tylko wtedy, gdy dziecko wzbrania się iść społem i przyjąć kulturę i ukazują się niemal wyłącznie u dzieci rozpieszczonych, które w ten sposób usiłują zmusić otoczenie do wzmożonej pracy, do zadań pilnościowych; zawsze też idą w parze z przekorą,

jawną lub skrytą, będącą wyraźną oznaką niedostatecznego poczucia wspólnoty. Od dawna wskazywałem na te fakty. Jeśli Freud usiłuje dziś złagodzić podstawę swej doktryny: wszechseksualizmu, to na tę korekturę wpłynęły w przeważnej mierze doświadczenia psychologii indywidualnej. Znacznie późniejszy pogląd Karoliny Bühler, odnoszący się do „normalnego" stadium przekory u dziecka, należy chyba zredukować do obrębu naszych doświadczeń. Że błędy dzieci łączą się z takimi cechami charakteru jak przekora, zazdrość, samolubstwo, brak poczucia wspólnoty, egoistyczna ambicja, mściwość itd. że raz występują wyraźniej,. to znów mniej wyraźnie, wynika to z opisanej powyżej struktury, potwierdza też nasze ujęcie charakteru jako linii wytycznej do celu wyższości, jako odzwierciedlenia stylu życiowego i jako nastawienia społecznego, które nie jest wrodzone, lecz kształtuje się równocześnie ze stwarzanym przez dziecko prawem ruchu. Trzymanie się małych prawdopodobnie przyjemności, jak wstrzymywanie wypróżnienia, ssanie palca, dziecinne bawienie się organem płciowym, zapoczątkowanych może niekiedy przez silniejsze ze skazanych na zanik uczuć łaskotliwości, ujawnia właściwość spieszczonych dzieci, nie umiejących sobie odmówić żadnego życzenia i żadnej rozkoszy.

Drugim niebezpiecznym kantem dla rozwoju poczucia wspólnoty jest osobowość ojca. Matka nie powinna odbierać mu sposobności nawiązania możliwie najsilniejszego kontaktu z dzieckiem, co łatwo może nastąpić w razie rozpieszczania przez nią dziecka, albo w razie braku kontaktu, w razie niechęci dziecka do ojca. Nie powinno się też wyznaczać ojca do wykonywania gróźb lub kary. Ojciec musi także oddawać dziecku dość czasu i ciepła, by matka nie wyparła go na dalszy plan. Jako specjalnie szkodliwe mogę jeszcze

wymienić sytuacje, kiedy przez nadmierną czułość ojciec pragnie podważyć stanowisko matki, kiedy w celu skorygowania systemu rozpieszczania przez matkę wprowadza ostry kurs, przez co jeszcze silniej prze dziecko do matki, i kiedy przemocą usiłuje narzucić dziecku swój autorytet i swoje zasady. W ten sposób zdoła może wymusić uległość, ale nigdy współpracę i poczucie wspólnoty. Zwłaszcza pory posiłków posiadają w naszych czasach pośpiechu wielkie znaczenie dla wychowania do współżycia. W porze posiłku konieczny jest wesoły nastrój. Pouczeń co do zachowania się przy stole powinno być jak najmniej. W ten sposób najłatwiej odniosą skutek. Nagana, wybuchy gniewu, zły humor muszą być wtedy wykluczone. Tak samo należy się w czasie posiłków powstrzymywać od lektury i zamyślenia. Pora ta jest też najmniej właściwą do karcenia za złe wyniki w szkole, lub inne braki. I należy się starać o utrzymanie podczas posiłków atmosfery wspólnoty, co uważam za ważne, zwłaszcza podczas śniadania. Ważkim żądaniem jest pozostawienie dzieciom swobody mówienia i zadawania pytań. Wyśmiewanie, wydrwiwanie, zrzędzenie, stawianie innych dzieci jako dobry przykład utrudnia nawiązanie łączności, może zrodzić skrytość, bojaźliwość i inne ciężkie poczucie niepełnowartości. Nie należy dzieciom wypominać ich małości, braku wiedzy i zdolności, lecz przygotowywać im drogę do odważnego treningu, pozostawiać im swobodę, gdy okazują do czego zainteresowanie, nie odbierać im z rąk wszystkiego, zawsze też podkreślać, że tylko początek jest trudny, nie budzić przesadnego lęku przed niebezpieczeństwami, lecz wskazywać potrzebę należytej przezorności i należytej ochrony. Nerwowość rodziców, niesnaski małżeńskie, niezgodność w kwestiach wychowania mogą łatwo zaszkodzić rozwojowi poczucia wspól-

noty. Zbyt bezwzględnego usuwania dziecka z towarzystwa dorosłych należy w miarę możności unikać. Pochwała i nagana musi odnosić się jedynie do udałego lub nieudałego treningu, ale nie do osobowości dziecka.

Choroba dziecka może również stać się niebezpieczną rafą dla rozwoju poczucia wspólnoty. Tym niebezpieczniejszą, podobnie jak inne utrudnienia, jeśli wystąpi w obrębie pierwszych pięciu lat życia. Mówiliśmy o znaczeniu wrodzonej niepełnowartości organów i wykazaliśmy, że statystycznie ujawniają się jako zło uwodzące i jako przeszkoda dla poczucia wspólnoty. To samo da się powiedzieć o wcześnie występujących chorobach, jak rachityzm, które szkodzą fizycznemu, nie duchowemu rozwojowi i mogą też prowadzić do większych czy mniejszych zniekształceń. Wśród innych chorób wczesnego dziecięctwa, najszkodliwsze dla poczucia wspólnoty są te, przy których lęk i troska otoczenia ryją w dziecku silne poczucie jego wartości bez jego współudziału. Do tych chorób należy koklusz, szkarlatyna, zapalenie mózgu i pląsawica, po których przebiegu, często prawidłowym, można zauważyć u dziecka trudności wychowawcze, gdyż także po wyzdrowieniu walczy ono jeszcze o podtrzymanie systemu rozpieszczania. Także w przypadkach, które pozostawiły po sobie uszkodzenia fizyczne, jest wskazane nie składać pogorszeń w zachowaniu się dziecka po prostu na owe uszkodzenia i nie przyjmować ich biernie. Nawet po błędnych diagnozach choroby serca i nerek i po wykazaniu pomyłki, miałem możność obserwować, że trudności wychowawcze nie ustępują po stwierdzeniu doskonałego zdrowia, że miłość własna z wszystkimi jej następstwami, zwłaszcza z brakiem zainteresowania społecznego trwa niezmiennie w dalszym ciągu. Lęk, troska i łzy nie pomagają choremu

dziecku, lecz przywodzą je do upatrywania w chorobie korzyści. Rozumie się samo przez się, że uszkodzenia dziecka, dające się naprawić, należy naprawić lub uleczyć możliwie rychło, a w żadnym razie nie wolno liczyć na to, że dziecko „wyrośnie" ze swego błędu. Tak samo należy też dążyć do ustrzeżenia dziecka, w miarę środków od choroby, bez rozbudzania w nim jednak lękliwości i bez zabraniania mu kontaktu z drugimi.

Obciążanie dziecka rzeczami, zbyt je zaprzątującymi fizycznie i duchowo, może przez wzbudzenie niechęci lub przemęczenia doprowadzić łatwo do nastroju, przeciwnego łączności z życiem. Sztuka i wiedza winny odpowiadać stopniowi pojmowania dziecka *(Patrz: Dr. Deutsch, „Klavierunterricht auf individualpsychologischer Grundlage")*. Z tego samego powodu należy położyć kres fanatyzmowi uświadamiania, stosowanemu przez niektórych pedagogów seksualnych. Należy dziecku odpowiadać, jeśli pyta lub zdaje się pytać, o ile ma się pewność, że dziecko potrafi strawić to wyjaśnienie. We wszystkich innych przypadkach należy jednak pouczyć je wcześnie o równowartości płci i jego własnej roli, wypływającej z jego płci, gdyż w przeciwnym razie — co również przyznaje dziś Freud — mogłoby z naszej zacofanej kultury wysnuć mniemanie, jakoby kobieta przedstawiała niższy stopień; może to chłopców przywieść łatwo do pychy, z jej wszystkimi następstwami, wrogimi wspólnocie, a dziewczęta do opisanego przeze mnie w 1912 „męskiego protestu" *(Patrz: Adler, „Ueber den nervösen Charakter" l. c.)* z równie złymi następstwami, i w wątpliwości co do własnej płci doprowadzić do wadliwego przygotowania do ich roli kobiecej z wszystkimi niekorzystnymi następstwami.

Pewne trudności wynikają ze stanowiska członków

rodzeństwa w obrębie rodziny. Akcentowane, ale także nie akcentowane pierwszeństwo jednego z rodzeństwa we wczesnym dziecięctwie staje się nieraz szkodą dla drugiego. Niezmiernie często napotyka się chybienia jednego dziecka obok zalet drugiego. Większa aktywność jednego może spowodować bierność drugiego, powodzenie jednego może stać się przyczyną niepowodzenia drugiego. Często się widzi, jak bardzo niekorzystnie na przyszłość dziecka oddziałują wczesne niepowodzenia. Tak samo, niełatwe do uniknienia wywyższanie jednego dziecka, może obrócić się na szkodę drugiego, wyzwalając w nim ciężkie poczucie niepełnowartości z wszystkimi cechami kompleksu niepełnowartości. Wielkość, piękność, siła jednego dziecka rzuca także cień na drugie. Nie należy ponadto przeoczać ujawnionych przeze mnie faktów, wynikających ze stanowiska dziecka w szeregu rodzeństwa.

Musimy przede wszystkim wyzbyć się przesądu, jakoby sytuacja każdego poszczególnego dziecka w obrębie rodziny była taka sama. Wiemy już, że gdyby nawet wszystkie miały to samo otoczenie i odebrały to samo wychowanie, to jego wpływy służą dziecku tylko za materiał, który zużytkowuje w sposób, odpowiadający jego sile twórczej. Zobaczymy jak rozmaicie zachowuje się otoczenie każdego poszczególnego dziecka. Zdaje się też być faktem stwierdzonym, że dzieci nie wykazują ani tych samych genów ani tych samych uwarunkowań fenotypicznych. Nawet w odniesieniu do bliźniąt jednojajowych, coraz bardziej budzą się wątpliwości co do ich jednakowej konstytucji fizycznej i psychicznej [1]). Psychologia indywidualna stoi od dawna na gruncie wrodzonej konstytucji fizycznej, stwierdziła jednak, że „konstytucja psychiczna" ujaw-

---

[1]) Patrz: Holub, Internat. Zeitschrift f. Indiv. 1933.

nia się dopiero w pierwszych trzech do pięciu lat życia, w ukształtowaniu prototypu psychicznego, który mieści już w sobie trwałe prawo ruchu jednostki, a swoją formę życiową zawdzięcza twórczej sile dziecka, zużytkowującej dziedziczność i wpływy otoczenia jako kamieni do budowy. Jedynie z tego punktu widzenia mogłem różnice między rodzeństwem przedstawić omal jako typowe, aczkolwiek w każdym poszczególnym przypadku różne. Uważam swoje zadanie za rozwiązane, wykazawszy, że każda forma życiowa dziecka nosi piętno jego pozycji w szeregu rodzeństwa. Fakt ten rzuca silne światło na kwestię rozwoju charakteru. Jeśli bowiem słuszny jest pogląd, że pewne rysy charakteru zgodne są z pozycją dziecka w szeregu rodzeństwa, to w takim razie nie pozostaje już wiele miejsca na rozprawy, podkreślające dziedziczność charakteru, lub jego pochodzenie z tej czy innej sfery odbytniczej.

Jeszcze więcej. Można zrozumieć, w jaki sposób dziecko dochodzi przez swoją pozycję w szeregu rodzeństwa do pewnych cech indywidualnych. Znana jest mniej więcej trudna pozycja jedynego dziecka. Przebywając stale wśród dorosłych, otoczone najczęściej przesadną opieką, wyrastając w atmosferze ustawicznego lęku rodziców, bardzo szybko uczy się czuć i zachowywać jako punkt centralny zainteresowań. Choroba lub słabość jednego z rodziców staje się często okolicznością utrudniającą. Częściej wchodzą w grę niesnaski małżeńskie i rozwody, stwarzając atmosferę niekorzystną dla poczucia wspólnoty dziecka. Dość często, jak to wykazałem, napotyka się przeważnie neuropatycznie wyrażony protest matki przeciw następnemu dziecku, protest, połączony przeważnie z nadmierną troskliwością dla jedynego dziecka i z całkowitym pozbawieniem go wolności. W późniejszym

życiu napotyka się u takich dzieci jedną z odmian, — u każdego inną — wahającą się między potajemnie protestującą uległością a nadmierną żądzą jedynowładztwa. Są to bolesne miejsca, które w zetknięciu z zagadnieniem egzogenicznym zaczynają krwawić i żywo się przejawiać. Silna łączność z rodziną, przeszkadzająca kontaktowi z światem zewnętrznym, okazuje się w wielu przypadkach jako ujemna.

Przy większej liczbie dzieci, pierworodne zajmuje jedyną w swym rodzaju sytuację, jakiej nie przeżywa żadne inne. Jest ono przez pewien czas jedynym dzieckiem i jako takie zaznaje odpowiednich wrażeń. W jakiś czas później zostaje „zdetronizowane". To moje określenie tak dokładnie wyraża zmianę sytuacji, że także późniejsi autorzy, o ile chcą ją należycie wyrazić, jak Freud, nie mogą się wyrzec tego obrazowego wyrażenia. Okres czasu upływający aż do tej „detronizacji" nie jest obojętny dla wrażeń i przetwarzania ich. Jeśli trwa trzy lata lub dłużej, to wydarzenie to natrafia na utrwalony już styl życiowy i wywołuje odpowiedź, zgodną z owym stylem. Dzieci rozpieszczone znoszą tę zmianę na ogół równie źle, jak powiedzmy, odłączenie od piersi. Muszę jednak stwierdzić, że nawet jeden tylko rok przerwy wystarczy, by ślady detronizacji uczynić widocznymi na całe życie. Należy przy tym uwzględnić przestrzeń życiową, zdobytą już przez pierworodne dziecko, jak również zwężenie jej, spowodowane przez drugie dziecko. Widzimy, że bliższe zrozumienie naszego poglądu wymaga uwzględnienia mnóstwa czynników. Przede wszystkim także tego, że cały ten przebieg, o ile przerwa w czasie nie jest wielka, wykonywa się „bezsłownie", bez pojęć, czyli że nie jest też przystępny korekturze na podstawie późniejszych doświadczeń, lecz jedynie indywidualno-psychologicznemu poznaniu

związku. Te bezsłowne wrażenia, których jest tak wiele we wczesnym życiu dziecka, zostałyby przez Freuda i Junga, gdyby się na nie kiedy natknęli, wytłómaczone inaczej — nie jako przeżycia, lecz w ich wnioskowaniach jako popędy nieświadome, albo jako nieświadome atawizmy społeczne. Napotykane jednak niekiedy odruchy nienawiści albo pragnienia śmierci są to dobrze nam znane sztuczne wytwory niewłaściwego rozwijania poczucia wspólnoty, a istnieją jedynie u rozpieszczonych dzieci, skierowane często do drugiego dziecka. Podobne nastroje i rozstroje napotyka się także u późniejszych dzieci, ale także u nich przede wszystkim w wypadkach poprzedniego rozpieszczenia. Pierworodny, o ile był bardziej rozpieszczany, — ma jednak przed nimi pierwszeństwo z powodu swojej wyjątkowej pozycji i przeciętnie odczuwa silniej swoją detronizację. Ale podobne zjawiska u dzieci późniejszych, łatwo dające powód do powstania kompleksu niepełnowartości, są dostatecznym dowodem, że mniemanie, jakoby silniejszy uraz od urodzenia był powodem chybień u pierworodnych, należy przenieść do dziedziny bajek, gdyż jest to założenie, jakie mogło nasunąć się jedynie przy nieznajomości doświadczeń psychologii indywidualnej.

Łatwo też zrozumieć, że protest pierworodnego dziecka przeciw jego detronizacji przejawia się dość często w skłonności uznawania jakiejkolwiek władzy za uprawnioną lub popierania jej. Ta skłonność nadaje czasem pierworodnemu wybitnie „konserwatywny charakter“, posiadający znaczenie nie polityczne, lecz rzeczowe. Wymowny przykład potwierdzający znalazłem w życiorysie Teodora Fontane'a. Kto nie zabawia się rozszczepianiem włosa na czworo, nie może też nie dostrzec w osobowości Robespierra rysu władczego, mimo jego wybitnego udziału w rewolucji.

Wobec stanowiska psychologii indywidualnej, przeciwnej regułom, nie należy atoli przeoczać, że decyduje nie numer porządkowy lecz sytuacja. Dlatego może także później wyłonić się w szeregu dzieci duchowy portret pierworodnego, jeśli takie dziecko jest na przykład więcej uzależnione od młodszego dziecka i reaguje na to. Nie wolno także przeoczać, że nieraz drugiemu z rzędu dziecku przypada rola pierworodnego, jeśli na przykład pierworodne jest dzieckiem niedorozwiniętym, więc w naszym przypadku niezbyt wchodzi w rachubę. Dobry przykład ilustrujący stanowi osobistość Pawła Heysego, który do swego starszego brata odnosił się niemal po ojcowsku, a w szkole stał się prawą ręką nauczyciela. W każdym przypadku znajdziemy jednak gotową drogę badań, gdy rozglądniemy się za specjalnymi formami życia pierworodnego i nie zapomnimy, jak na niego naciska drugie dziecko. Fakt, że czasem znajduje wyjście z tej sytuacji, obchodząc się z tym drugim po ojcowsku lub po macierzyńsku jest tylko inną odmianą jego dążenia do wyższości.

Specjalne zagadnienie zdaje się wyrastać dość często u owych pierworodnych, którzy dość rychło dostają siostrę. Ich poczucie wspólnoty zostaje tu często narażone na silny uszczerbek. Przede wszystkim dlatego, że dziewczęta w pierwszych siedmnastu latach życia rozwijają się niezwykle szybko fizycznie i duchowo, silniej zatem napierają na idącego przed nimi. A często też dlatego, że starszy chłopak usiłuje utrzymać się nie tylko przy swym pierwszeństwie, lecz także przy złej wyższości męskiej roli, gdy dziewczyna wskutek istniejącego jeszcze dzisiaj ucisku kulturalnego, mocno napiera z tyłu w silnym poczuciu niepełnowartości, rozwijając przy tym silniejszy trening, co nadaje jej często wyraźne cechy wielkiej energii. Jest to także

u innych dziewcząt przegrywką do „męskiego protestu“ (Patrz: *„Ueber den nervösen Charakter“* l. c.) mogącego w rozwoju dziewcząt wywołać niezliczone dobre i złe następstwa, mieszczące się wszystkie pomiędzy zaletami i zdrożnościami ludzkimi, aż do usunięcia miłości albo aż do homoseksualizmu. Freud zużytkował później to poznanie psychologii indywidualnej i wcisnął je do swego schematu seksualnego pod nazwą „kompleksu kastracyjnego“ twierdząc, że tylko brak organu męskiego wytwarza owe poczucie niepełnowartości, którego strukturę odkryła psychologia indywidualna. Ostatnio przebłyskuje jednak z jego stanowiska, że także dla społecznej strony tej kwestii ma on pewne uznanie. Że pierworodnego uważano prawie zawsze za reprezentanta rodziny i jej konserwatywnej tradycji, wskazuje to ponownie, że zdolność odgadywania zakłada posiadanie doświadczenia.

Co się tyczy wrażeń, pod których wpływem drugie z rzędu dziecko tak często stwarza sobie samodzielnie prawo ruchu, to należy ich głównie upatrywać w tym, że ustawicznie biegnie przed nim inne dziecko, nie tylko dalej posunięte w swym rozwoju, lecz przez obstawanie przy swym pierwszeństwie zaprzeczające mu też równości. Wrażenia te odpadają przy wielkiej różnicy wieku, a są tym silniejsze, im ta różnica jest mniejsza. Działają przygniatająco, jeśli w odczuciu drugiego dziecka, pierworodne jest nieprzezwyciężone. Znikają niemal, jeśli drugie dziecko jest z góry zwycięskie, czy to z powodu niepełnowartości pierwszego, czy z powodu mniejszej sympatii jaką budzi. Prawie zawsze da się jednak zauważyć gwałtowniejsze dążenie wzwyż drugiego dziecka, wyrażające się to wzmożoną energią, to gwałtowniejszym temperamentem, to po stronie poczucia wspólnoty, to w formie chybienia. Trzeba będzie zbadać, czy nie istnieje u niego najczę-

ściej jakby wyścig, w którym uczestniczy też niekiedy pierwsze dziecko i czy nie robi wrażenia, jakby zawsze pędziło pełną parą. U dzieci różnej płci rywalizacja może się zaostrzyć, nie wyrządzając czasem istotnej szkody poczuciu wspólnoty. Także uroda jednego dziecka pada tu na szalę. Tak samo rozpieszczanie jednego z nich — przy czym różnica pieczołowitości rodziców nie musi nawet być uderzającą dla obserwatora, może jednak być taką w mniemaniu jednego z dzieci. Jeśli jedno jest wybitnie chybione, to drugie bywa często w „dobrej formie", która czasem przy wstąpieniu w życie szkolne lub w okres dojrzałości może się okazać mało utrwaloną. Jeśli jedno z dzieci jest uznane za wybitne, to drugie może się łatwo okazać nieudanym. Czasem zdarza się nawet u jednojajowych bliźniąt, niby pozorne podobieństwo, że postępują tak samo w dobrym i złym, przy czym nie wolno przeoczać, że jedno jest holownikiem dla drugiego. Także w przypadku drugiego z rzędu dziecka mamy sposobność podziwiać pierwotną, widocznie przez ewolucję ustaloną zdolność odgadywania, wyprzedzającą rozumienie. Zwłaszcza biblia odsłania w historii Ezawa i Jakuba fakt przypuszczenia szturmu do nieba przez drugie dziecko. Nie możemy zakładać rozumienia tego faktu, lecz tęsknota Jakuba za pierworodztwem, jego walka z aniołem („Nie puszczę cię, aż mi pobłogosławisz"), jego sen o drabinie niebieskiej mówią wyraźnie o wyścigu drugiego. Nawet ktoś nie skłonny do pójścia za moimi wywodami, będzie bądź co bądź zdumiony, odnajdując w ciągu całego życia Jakuba, jego lekceważenie dla pierworodnego brata. Świadczą o tym uporczywe starania o drugą córkę Labana, mała nadzieja, jaką pokłada w swoim pierworodnym synu i sposób, w jaki, skrzyżowawszy ramiona, prawą ręką udzielił swego większego błogosławieństwa drugiemu synowi Józefa.

Z dwóch starszych córek pewnej rodziny, pierwsza zachowywała się od przyjścia na świat młodszej siostry, w trzy lata po niej, jako dziecko dziko niesforne. Druga „odgadła“ w tym korzyść dla siebie i stając się dzieckiem uległym, zdobyła sobie niezwykłe sympatie. Im większe zdobywała sympatie, tym bardziej miotała się starsza, która aż do późniejszego wieku zachowała swą postawę gwałtownego protestu. Druga, przyzwyczajona we wszystkim do wyższości, doznała wstrząsu, nie zdoławszy sprostać wymaganiom szkoły. Szkoła, a później trzy problemy życiowe zmusiły ją do ustalenia swego odwrotu od punktu niebezpiecznego dla jej ambicji, a tym samym też, wskutek ciągłej obawy klęski, do rozbudowania swego kompleksu niepełnowartości w formie tak zwanego przeze mnie „ruchu ociągliwego“. W ten sposób była poniekąd zabezpieczona przed wszelkimi klęskami. Powracające sny o spóźnieniu się do pociągu świadczyły o sile jej stylu życiowego, podsuwającego jej we śnie trening w kierunku zaniedbywania sposobności. Żadna istota ludzka nie może jednak znaleźć punktu spoczynku w poczuciu niepełnowartości. Ustalone ewolucyjnie dążenie wszystkiego co żyje do idealnego celu doskonałości nie spoczywa nigdy i znajduje swoją drogę wzwyż, w kierunku poczucia wspólnoty lub przeciw niemu, w tysiącznych wariantach. Wariantem, który nasunął się owej młodszej siostrze i po kilku niepewnych próbach został uznany za dogodny, był neuropatyczny przymus mycia, który przez ciągłą konieczność mycia swojej osoby, sukien i sprzętów, występującą zwłaszcza w obecności drugich, uniemożliwiał jej spełnianie obowiązków, a ponadto nadawał się też do zabicia czasu, domagającego się zapełnienia i będącego wielkim wrogiem neuropatów. Poza tym odgadła, nie rozumiejąc, że przez przesadne spełnianie kul-

turalnej czynności, która dawniej zdobywała jej sympatię, prześcignęła wszystkich innych. Tylko ona jedna była czysta, wszyscy inni i wszystko inne było brudne. O braku jej poczucia wspólnoty, braku u pozornie tak udanego dziecka silnie rozpieszczającej matki, nie mam potrzeby dłużej mówić. Tak samo nie potrzebuję też mówić, że jej uleczenie było możliwe jedynie przez wzmocnienie jej poczucia wspólnoty.

Dużo jest do powiedzenia o najmłodszym dziecku w rodzinie. Ono również znajduje się w całkowicie odmiennej sytuacji niż inne dzieci. Nigdy nie jest samo, podobnie jak przez pewien czas najstarsze. Tylko że nie ma ono zaplecznika, którego mają wszystkie inne dzieci. I nie ma też tylko jednego przodownika, jak drugie z rzędu dziecko, lecz często kilku. Jest przeważnie rozpieszczane przez starzejących się rodziców i znajduje się w niemiłej sytuacji, uchodząc stale za najmniejsze i najsłabsze, którego najczęściej nie traktuje się poważnie. Położenie jego nie jest na ogół niekorzystne. A jego dążenie do wyższości nad idącymi przed nim jest każdego dnia podniecane. Pod pewnym względem sytuacja jego podobna jest do sytuacji drugiego dziecka. Jest to sytuacja, w której mogą się też znaleźć dzieci, zajmujące inne miejsce w szeregu rodzeństwa, jeśli przypadkowo wyłonią się podobne rywalizacje. Siła najmłodszego przejawia się często w próbach górowania nad całym rodzeństwem, ujawniając najrozmaitsze stopnie poczucia wspólnoty. Słabość jego przejawia się często w unikaniu bezpośredniej walki o wyższość, co przy większym rozpieszczeniu zdaje się być regułą, oraz w usiłowaniu osiągnięcia swego celu na innej płaszczyźnie, w innej formie życiowej, w innym zawodzie. Patrząc na warsztat duchowego życia człowieka okiem wyszkolonym w psychologii indywidualnej, raz po razu stwierdza się ze

zdumieniem, jak często ten los najmłodszego bywa zwycięski. Jeśli rodzina składa się z przemysłowców, to najmłodszy jest na przykład poetą lub muzykiem. Jeśli rodzeństwo należy do warstwy intelektualistów, to najmłodszy obiera sobie często zawód rzemieślnika lub kupca. Należy też oczywiście wziąć pod uwagę zacieśnienie możliwości u dziewcząt, wynikające z naszej bardzo niedoskonałej kultury.

W odniesieniu do charakterologii najmłodszego, moje wskazanie na biblijnego Józefa spotkało się z ogólną uwagą. Wiem oczywiście równie dobrze jak każdy inny, że najmłodszym synem Jakuba był Beniamin. Urodził się jednak w 17 lat po Józefie i przez najdłuższy czas pozostał mu nieznany. Nie wpłynął więc na rozwój Józefa. Znane są przecież te wszystkie fakty, jak chłopiec ten, marząc o swojej przyszłej wielkości chodził pośród ciężko pracujących braci i mocno ich drażnił marzeniami o swym panowaniu nad nimi, nad światem, marzeniami o swym podobieństwie do Boga. Zapewne ich też drażniło, że ojciec bardziej go lubił niż ich. Stał się jednak kolumną swojej rodziny, swojego plemienia, a co więcej, jednym z tych, co ocalili kulturę. W jego poszczególnych postępkach i czynach przejawia się wielkość jego poczucia wspólnoty.

Odgadująca dusza ludu stworzyła niejedno takie wskazanie. Wiele innych znajduje się również w biblii, jak Saul, Dawid itd. Ale także w powiastkach wszystkich epok i ludów; o ile w nich występuje najmłodszy, zawsze odnosi on zwycięstwo. Wystarczy się tylko rozejrzeć we współczesnym społeczeństwie, wśród największych, by zobaczyć, jak często najmłodszy dochodzi do wybitnego stanowiska. Także jako chybiony należy często do najbardziej zastanawiających, co zawsze da się sprowadzić do jego zależności od osoby rozpieszczającej go lub do zaniedbania. Są to pozycje,

z których mylnie zbudował swoją niepełnowartość społeczną.

Ta dziedzina badań nad dzieckiem, dotycząca jego pozycji w szeregu rodzeństwa, daleka jest jeszcze od wyczerpania. Wykazuje ona ze zniewalającą jasnością, w jaki sposób dziecko zużytkowuje swoją sytuację i jej wrażenia jako kamienie do budowy, by twórczo zbudować swój cel życiowy, swoje prawo ruchu, a tym samym też swoje cechy charakteru. Człowiek, umiejący rozumować, pojął chyba, jak mało przemawia za uznaniem wrodzonych cech charakteru. O innych pozycjach w szeregu dzieci, o ile nie są naśladowaniem już wymienionych, nie potrafiłbym powiedzieć ani w przybliżeniu tyle. Crighton Miller w Londynie zwrócił mi uwagę na swoje stwierdzenie, iż trzecia z rzędu dziewczyna w rodzinie ujawnia silniejszy protest męski. Nieraz miałem sposobność przekonać się o słuszności tego jego stwierdzenia i sprowadzam to do faktu, że taka dziewczyna wyczuwa rozczarowanie rodziców, odgaduje je, czasem też doświadcza jego skutków i w jakikolwiek sposób daje wyraz swemu niezadowoleniu z roli kobiecej. Nie zdziwi nas, jeśli u tej trzeciej dziewczyny odkryjemy silniejszą postawę przekory, która wskazuje, że to, co Karolina Bühler chce uważać za „naturalne stadium przekory“, należy raczej rozumieć jako sztuczny wytwór, jako trwały protest przeciw istotnemu lub rzekomemu upośledzeniu, w sensie wywodów psychologii indywidualnej.

Moje badania nad rozwojem jedynej dziewczyny pośród chłopców i jedynego chłopca pośród dziewcząt, nie są jeszcze ukończone. Na podstawie dotychczasowych obserwacyj spodziewam się dojść do takiego wyniku, że oboje wykazują krańcowości, zmierzające to więcej w kierunku męskości, to znów kobiecości. W kierunku kobiecości wtedy, gdy w dziecięctwie dano im

ją odczuć jako pomyślniejszą, a w stronę męskości, jeśli męskość wydaje się im celem godnym pożądania. W pierwszym przypadku napotka się w spotęgowanym stopniu miękkość i potrzebę oparcia, z wszystkimi zaletami i wadami, w drugim zaś, jawną żądzę władzy, przekorę, ale niekiedy też odwagę i uczciwe dążenie.

XIV.

SNY DZIENNE I NOCNE.

To rozważanie wprowadza nas do krainy fantazji. Byłoby wielkim błędem, gdybyśmy tę czynność, wytworzoną również przez prąd ewolucyjny, chcieli wyrwać z całości życia duchowego i jego związku z wymaganiami świata zewnętrznego, lub nawet przeciwstawić ją całości, naszemu ja. Jest ona raczej częścią indywidualnego stylu życiowego, charakteryzuje go i jako ruch duchowy zaznacza się na wszystkich innych częściach życia duchowego, a tak samo nosi też w sobie wyraz indywidualnego prawa ruchu. W pewnych okolicznościach ma zadanie wyrażać się myślowo, gdy normalnie ukrywa się w sferze uczuć i wzruszeń, lub mieści się w nastawieniu jednostki. Jak każdy inny ruch duchowy kieruje się ku przyszłości, gdyż ona również zdąża w prądzie do celu dokonania. Z tego punktu widzenia staje się całkiem jasnym, jak błahe jest upatrywanie w jej ruchu, lub w ruchu jej pochodnych: snów dziennych i nocnych, spełnienia życzenia, lub nawet mniemanie, że przez to przyczyniamy się w pewnej mierze do zrozumienia jej mechanizmu. Ponieważ każda duchowa forma wyrazu wykonuje ruch od dołu ku górze, od sytuacji minusowej do sytuacji plusowej, można też każdy gest duchowy brać za spełnienie życzenia.

Więcej niż common sense posługuje się fantazja zdol-

nością odgadywania, co nie znaczy, że odgaduje „właściwie“. Mechanizm jej polega na tym, że na chwilę — trwając w psychozie — zrzeka się *common sense,* to znaczy, logiki ludzkiego współżycia, istniejącego obecnie poczucia wspólnoty, nie mając chęci do wykonania najbliższych kroków w duchu spólnoty. Udaje się to łatwiej, gdy istniejące poczucie wspólnoty nie posiada większej siły. Jeśli jednak jest dość silne, to skierowuje spacer fantazji ku celowi wzbogacenia spólnoty. Zawsze jednak, w tysiącorakich odmianach, wszczynający się ruch duchowy pozwala się wyzwolić sztucznie w myślach, uczuciach i gotowości nastawienia. „Właściwe“, „normalne“, „wartościowe“ nastawienia, uznamy jako takie tylko wtedy, gdy, jak przy większych dokonaniach służą powszechności. Pojęciowe interpretacje tych sądów w innym kierunku są logicznie wykluczone, co nie przeszkadza, że obecny stopień *common sense* odrzuca takie dokonania aż do osiągnięcia lepszego zrozumienia dobra ogółu.

Wszelkie poszukiwanie rozwiązania danego zagadnienia wprawia w ruch fantazję, jako że ma się tu do czynienia z „nieznanym“ przyszłości. Siła twórcza, której przyznaliśmy w dziecięctwie wytworzenie stylu życiowego, pracuje w dalszym ciągu.

Także uwarunkowane odruchy, w których tysiącorakim ukształtowaniu działa styl życiowy, mogą w dalszym ciągu służyć jedynie jako kamienie do budowy. Do stworzenia czegoś wciąż całkiem nowego, nie dadzą się zużytkować automatycznie. Ale siła twórcza idzie teraz torem stworzonego przez nią samą stylu życiowego. Tak więc i kierowanie fantazją pozostawione jest stylowi życiowemu. W jej działaniu, niezależnie od tego, czy jednostka uznaje łączność, czy całkowicie ją ignoruje, można znaleźć wyraz stylu życiowego i w ten sposób użyć tych dokonań jako furtki wchodowej dla

uzyskania wglądu w warsztat ducha. Przy właściwym postępowaniu natrafi się jednak zawsze na ja, na całość, natomiast przy niewłaściwym ujęciu zdaje się zawsze istnieć przeciwieństwo, powiedzmy, świadomego do nieświadomego. Freud, przedstawiciel tego niewłaściwego poglądu, zbliża się forsownym biegiem do lepszego zrozumienia, mówiąc dziś o nieświadomym w ja, nadającym oczywiście temu ja całkiem inne oblicze, mianowicie oblicze, które psychologia indywidualna widziała pierwsza.

Każda wielka myśl, każde dzieło sztuki zawdzięcza swoje powstanie niezmordowanie pracującemu, wciąż na nowo twórczemu duchowi ludzkości. Być może, że najliczniejsi odrobinę się do tego przyczyniają. Co najmniej przez przyjęcie i utrzymanie i zużytkowanie nowego tworu. Tu mogą w dużej mierze odgrywać swoją rolę „odruchy uwarunkowane". U twórczego artysty są one tylko kamieniami do budowy, którymi się posługuje, by w swej fantazji wyprzedzić to, co dawne. Artyści i geniusze są niewątpliwie przewodnikami ludzkości i płacą haracz za to zuchwalstwo, płonąc we własnym ogniu, który rozpalili w dziecięctwie. „Cierpiałem — i tak zostałem poetą". Nasze lepsze patrzenie, lepsze spostrzeganie barw, kształtów, linij zawdzięczamy malarzom. Lepsze słyszenie, a tym samym subtelniejszą modulację organu mowy zdobyliśmy od muzyków. Poeci nauczyli nas myślenia, mówienia, czucia. Artysta sam, najczęściej gwałtownie podniecany we wczesnym dziecięctwie, dźwigając wszelakie ciężary: ubóstwa, nieprawidłowości wzroku i słuchu, przeważnie jednostronnie rozpieszczony, wyrywa się w najwcześniejszym dziecięctwie ze swego ciężkiego poczucia niepełnowartości i z wściekłą ambicją zmaga się ze zbyt ciasną rzeczywistością, by ją rozszerzyć dla siebie i drugich — chorąży ewolucji, szukającej postępu poprzez

trudności i ponad przeciętny poziom wynoszącej odpowiednie dziecko, cierpiące najczęściej na wariantę, odpowiednią dla wysokich celów.

To, co już dawno wykazaliśmy o tej uciążliwej, ale błogosławionej wariancie, jest większą podatnością fizyczną, silniejszą wrażliwością na wypadki zewnętrzne — warianty, dające się bardzo często wykazać u nosiciela jako niepełnowartości organów zmysłów, a jeśli nie u niego samego — jako że przy słabszych wariantach nasze środki badania okazują się często zawodne — to w dziedzicznej niepełnowartości organów w genealogii familii. Tam znajdują się często najwyraźniejsze ślady takich niepełnowartości ustrojowych, prowadzących nie rzadko do chorób, wariantów minusowych, które przeforsowały również wzniesienie się ludzkości. (Patrz: między in. *„Studie über Minderwertigkeit von Organen"*, l. c.). W samodzielnej zabawie i w indywidualnym wykonaniu każdej zabawy przejawia się twórczy duch dziecka. Każda zabawa daje pole dążeniu do wyższości. Zabawy wspólne uwzględniają pęd uczucia wspólnoty. Jest całkowicie usprawiedliwione, że obok nich także zajęcie jednostkowe nie musi doznać uszczerbku, zarówno u dzieci jak u dorosłych, a nawet należy je popierać, o ile pozwala na perspektywę późniejszego wzbogacenia wspólnoty. A jedynie technika pewnych prac sprawia, że można się w nich ćwiczyć i wykonywać je tylko zdala od drugich, co jednak wcale nie przeszkadza ich charakterowi społecznemu. Tu działa znów fantazja, w znacznej mierze zasilona przez sztuki piękne. Należałoby wprawdzie z obrębu lektury dziecka usunąć aż do pewnej dojrzałości wszelki niestrawny pokarm duchowy, który może być źle zrozumiany, albo też może zdławić rosnące poczucie wspólnoty. Tu należą między innymi rozmaite okrutne, grozę wywołujące histo-

rie, działające silnie zwłaszcza na dzieci, u których strach pobudza układ moczowy i płciowy. I znów są to dzieci rozpieszczone, nie umiejące się oprzeć wabieniom „zasady zaspakajania instynktów“, których fantazja, a następnie praktyka stwarza sytuacje wywołujące grozę, by z nich wytwarzać podniecenie seksualne. Przy badaniach sadystów seksualnych i masochistów, zawsze obok braku poczucia wspólnoty, odkrywałem takie fatalne skojarzenia tych warunków.

Przeważna część snów dziennych dzieci i dorosłych, do pewnego stopnia oderwanych od *common sense*, idzie w kierunku celu wyższości. Łatwo pojąć, że w celu kompensaty, jakby dla utrzymania równowagi duchowej — co nie udaje się nigdy na tej drodze — zmierza się w fantazji właśnie w tym konkretnym kierunku, mającym służyć do przezwyciężenia odczuwanej słabości. Przebieg jest tu pod pewnym względem podobny do procesu stwarzania przez dziecko jego stylu życiowego. Gdzie czuje trudność, tam fantazja pomaga mu do złudnego wywyższenia własnej osobowości, nie przestając równocześnie przydawać mu bodźca w stopniu słabszym czy silniejszym. Istnieje też oczywiście dość przypadków, pozbawionych podniety, w których fantazja jest niejako jedyną kompensatą. Jasna rzecz, że należy to uważać za stan przeciwny wspólnocie, jakkolwiek wolny od wszelkiej aktywności i agresji wobec świata zewnętrznego. Także tam, gdzie, zawsze zgodnie z kierującym nią stylem życiowym, zwraca się przeciw poczuciu spólnoty, można ją uznać za oznakę wyłączenia ze stylu życiowego poczucia wspólnoty i zwrócić na to uwagę badającego. Tak samo częste, okrutne sny dzienne, które zmieniają się czasami albo też ustępują miejsca fantazjom o własnym okropnym cierpieniu. Fantazje wojenne, bohaterskie czyny, ocalenie osób zajmujących wysokie stanowiska

wskazują z reguły na rzeczywiste uczucie słabości, a w życiu zastępuje je lękliwość i nieśmiałość. Kto w tych i podobnych, pozornie przeciwstawnych formach wyrazu widzi ambiwalencję, rozdwojenie świadomości, życie podwójne, ten nie zna jedni osobowości, w której pozorną sprzeczność wysnuwa się jedynie z porównania sytuacji plusowej i minusowej, drogą analizy i zapoznania związku. Kto zdobył wiedzę o ustawicznym zmierzaniu procesu duchowego wzwyż, ten wie, że trafne scharakteryzowanie jakiegoś procesu duchowego za pomocą słowa czy pojęcia naszej mowy, musi się rozbić o ich ubóstwo, gdyż jest niemożliwością ciągle płynny nurt nazwać kształtem stałym.

Bardzo często napotyka się fantazje na temat, że dane dziecko uważa się za dziecko innych rodziców, co z niejaką pewnością świadczy o jego niezadowoleniu z własnych rodziców. W psychozach, słabiej w innych przypadkach, napotyka się tę fantazję nadaną rzeczywistości, w formie trwałego oskarżenia. Ilekroć ambicja człowieka uważa rzeczywistość za nieznośną, zawsze ucieka on się do czaru fantazji. Nie zapominajmy jednak, że tam, gdzie fantazja łączy się należycie z poczuciem wspólnoty, należy oczekiwać prawdziwie wielkiego dokonania, gdyż fantazja budząc żarliwe uczucia i wzruszenia działa jak wzmożone ciśnienie gazu w maszynie będącej w ruchu: zwiększa jej działanie.

Wartość działania fantazji zależy więc przede wszystkim od tego, w jakim stopniu przenika ją poczucie wspólnoty. Odnosi się to zarówno do jednostki jak do masy. Jeśli mamy do czynienia z niewątpliwym chybieniem, to możemy też oczekiwać równie chybionej fantazji. Kłamca, oszust, chełpliwiec stanowią tu wymowny przykład. Także głupiec. Fantazja nie pozostaje nigdy w stanie zupełnego spoczynku, nawet

wtedy, gdy nie zagęszcza się w dzienne sny. Już samo skierowanie ku celowi wyższości wymusza fantazjowanie w kierunku przyszłości, podobnie jak wszelka chęć przewidywania. Niepodobna przeoczyć, że jest ona treningiem w kierunku stylu życiowego, niezależnie od tego, czy występuje w rzeczywistości, w snach dziennych lub nocnych, czy stwarza dzieła sztuki. Prowadzi do uzewnętrznienia własnej osobowości i na tej drodze podlega to mniej, to więcej wymogom *common sense*. Także człowiek śniący, wie często, że śni. A śpiący, chociażby najbardziej oddalony od rzeczywistości, rzadko spada z łóżka. Poza tym, chyba wszystko, ku czemu skierowuje się fantazja: bogactwo, siła, bohaterskie czyny, wielkie dzieła, nieśmiertelność itd. jest hiperbolą, przenośnią, parabolą, symbolem. Nie należy przeoczać dopingującej siły metafor. Mimo bezrozumu niektórych przeciwników są one jednak fantazyjnym przebraniem rzeczywistości, lecz nigdy się z nią nie utożsamiają. Wartość ich jest niezaprzeczona, jeśli są zdolne do przydania naszemu życiu dodatkowej siły napięcia, a ich szkodliwość musimy zrozumieć, jeśli przez przydanie bodźca naszym uczuciom, służą do wzmocnienia w nas ducha przeciwnego wspólnocie. W każdym razie służą jednak do wywołania i wzmocnienia tonu uczuciowego, należnego jakiemuś obecnemu zagadnieniu wobec stylu życiowego, gdy *common sense* okaże się zbyt słaby, lub pozostaje w sprzeczności z rozwiązaniem problemu, wymaganym przez styl życiowy. Ten fakt pomoże nam też do zrozumienia snu.

Do zrozumienia go trzeba uwzględnić sen, przedstawiający przecież stan nastroju, w jakim możliwy jest senne marzenie. Niewątpliwie jest sen tworem ewolucji, samodzielną regulacją, złączoną naturalnie z fizycznymi zmianami stanu i przez nie wywołaną. Jakkolwiek na razie możemy je tylko przeczuwać (być może, że

swymi badaniami nad przysadką mózgową Zondek rzucił na nie trochę światła) to możemy je jednak uważać za działające wspólnie z impulsem snu. Wobec tego, że spanie służy widocznie spokojowi i wypoczynkowi, więc także wszystkie czynności fizyczne i duchowe zbliża do punktu spoczynku. Forma życiowa ludzkiej jednostki wchodzi przez czuwanie i sen w lepszą harmonię ze zmianą dnia i nocy. Co między innymi odróżnia śpiącego od czuwającego, to właśnie jego konkretny dystans od zagadnień dnia.

Sen nie jest jednak bratem śmierci. Forma życiowa, prawo ruchu jednostki czuwają bez przerwy. Człowiek śpiący porusza się, unika nieprzyjemnych pozycyj w łóżku, może zostać zbudzonym przez światło i hałas, ma wzgląd na śpiące obok dziecko i nosi z sobą radości i troski dnia. Człowiek kieruje się we śnie ku wszystkim zagadnieniom, których rozwiązaniu sen nie powinien przeszkadzać. Niespokojne ruchy niemowlęcia budzą matkę, ranek przynosi obudzenie temu, kto chce się obudzić , prawie regularnie o pożądanej porze. Fizyczna pozycja we śnie, daje często, jak wykazałem (*„Praxis und Theorie der Individualpsychologie“* l. c.) dobry obraz nastawienia duchowego, podobnie jak w stanie czuwania. Jedność życia duchowego zostaje zachowana także we śnie, wobec czego także somnambulizm lub zdarzające się samobójstwo we śnie, zgrzytanie zębami, mówienie, napinanie mięśni, jak kurczowe zaciskanie rąk z następnymi parestezjami, musimy uważać za część całości i możemy posługiwać się nimi przy wysnuwaniu wniosków, które co prawda muszą znaleźć dalsze potwierdzenie w innych formach wyrazu. Wszystkie uczucia i nastroje budzą się podczas spania, nieraz bez akompaniamentu snów.

To, że sen ukazuje się najczęściej jako fakt widzialny, tłómaczy się naszą przeważającą pewnością

w odniesieniu do faktów widzialnych. Zawsze mówiłem swoim uczniom: „Jeśli nie macie pewności co do jakiegoś punktu swych badań, to zatkajcie sobie uszy i patrzcie na ruch". Każdy wie prawdopodobnie o tej większej pewności, jakkolwiek nie ujął tego w jasną myśl. Czyżby sen szukał tej większej pewności? Czyżby z większego dystansu od zadań dnia, skazany sam na siebie, przy całkowitym nienaruszeniu swojej siły twórczej, kierowanej przez styl życiowy, wolniejszy od ograniczenia przez nadającą prawa rzeczywistość, miał silniej wyrażać swój styl życiowy? Czyżby, zdany na swoją fantazję, zakotwiczoną w stylu życiowym, miał zostać odkrytym na owych drogach, gdzie zazwyczaj widujemy też fantazję, walczącą na korzyść stylu życiowego, gdy dany problem przekracza siłę napięcia jednostki? Gdy *common sense*, poczucie wspólnoty jednostki nie mówią, ponieważ nie istnieją w dostatecznej sile?

Nie pójdziemy za tymi, którzy przez przemilczanie i wślizgiwanie się usiłują psychologii indywidualnej zabrać wiatr z żagli. Dlatego przypomnimy tu Freuda, który pierwszy podjął próbę rozwinięcia naukowej teorii snu. Jest to jego trwałą zasługą, której nikt nie może zmniejszyć, podobnie jak niektóre spostrzeżenia, które określa jako należące do „podświadomości". Zdaje się, że wiedział on znacznie więcej niż rozumiał. Zmuszając się jednak do ugrupowania wszystkich zjawisk duchowych dokoła jedynej rządzącej substancji, którą uznaje, dokoła seksualnej libido, musiał zbłądzić, co jeszcze pogorszył tym, że brał pod uwagę tylko złe popędy, pochodzące, jak wykazałem, z kompleksu niepełnowartości rozpieszczonych dzieci. Są one sztucznym produktem chybionego wychowania i chybionego własnego tworu dziecka i nigdy nie pozwalają zrozumieć struktury duchowej w jej istotnym, ewolucyjnym

ukształtowaniu. Jeśli zatem, krótko mówiąc, taki jest pogląd na sen: „Gdyby człowiek mógł zdecydować się na spisanie wiernie i szczegółowo wszystkich swoich snów, bez względu na ich jakość, i z dodatkiem komentarza, obejmującego to, co mógłby sam wyjaśnić w swych snach podług wspomnień ze swego życia i lektury, to zrobiłby ludzkości wielki podarek. Ale spośród ludzkości jaką jest teraz, nikt tego chyba nie zrobi; w cichości i dla własnego rozważania miało by to już pewną wartość", — mówi Freud? Nie, to w swoich wspomnieniach mówi Hebbel —,

to muszę dodać, że w pierwszej linii chodzi o to, czy schemat, którym się posługuje, wytrzymuje krytykę naukową. Schemat psychoanalityczny nie wytrzymywał jej do tego stopnia, że Freud sam, po różnorakich zmianach swojej interpretacji snów oświadczył, iż nigdy nie twierdził, jakoby każdy sen zawierał treść seksualną. Bądź co bądź znowu postęp.

To jednak, co Freud nazywa „cenzorem", nie jest niczym innym jak większym oddaleniem od rzeczywistości podczas snu, celowym pozostawaniem zdala od poczucia wspólnoty, którego niedostateczność przeszkadza normalnemu rozwiązaniu danego problemu. Wobec tego jednostka, jakby pod wpływem wstrząsu, wywołanego spodziewaną klęską, szuka innej drogi do łatwiejszego rozwiązania, w czym ma jej dopomóc fantazja, pozostająca na uwięzi stylu życiowego, na uboczu od *common sense*. Szukając w tym spełnienia życzenia, lub — w zwątpieniu, — pragnienia śmierci, znajdziemy jedynie komunał, nie wyjaśniający niczego w strukturze snu. Cały bowiem proces życiowy, rozważany z jakiegokolwiek punktu, można uważać za poszukiwane spełnienie życzenia.

Przy swych badaniach nad snem miałem wielką pomoc z dwu stron. Jednej użyczył mi Freud swymi

poglądami, niemożliwymi do przyjęcia. Uczyłem się z jego błędów. A jakkolwiek mnie nie poddawano nigdy analizie psychologicznej, — byłbym też a limine odrzucił podobne zaproszenie, gdyż przy ścisłym przyjęciu jego nauki przeszkadza ono bezstronnemu pojmowaniu naukowemu, które i bez tego nie jest przeważnie zbyt wielkie,—to jestem jednak o tyle obeznany z jego nauką, by nie tylko móc rozpoznać błędy, lecz także, by z odzwierciedlenia rozpieszczonego dziecka móc przepowiedzieć, jaki będzie najbliższy krok Freuda. Dlatego zalecałem zawsze wszystkim swym uczniom, by gruntownie zajmowali się nauką Freuda. Freud i jego uczniowie niezmiernie lubią określać mnie, w sposób niezaprzeczenie chełpliwy, jako ucznia Freuda, ponieważ bardzo wiele ścierałem się z nim w pewnym kole psychologicznym, nigdy natomiast nie byłem na żadnym jego wykładzie dla uczniów. Gdy owe koło miano zaprzysiąc na wierność dla poglądów Freuda, byłem pierwszym, który z niego wystąpił. Nie będzie mi można odmówić świadectwa, że znacznie więcej niż Freud przeprowadzałem zawsze ścisłą granicę między psychologią indywidualną a psychoanalizą i że nigdy nie przechwalałem się swoimi dawniejszymi dyskusjami z Freudem. Przykro mi, że rozwój psychologii indywidualnej i jej niezaprzeczalny wpływ na przeobrażenie psychoanalizy odczuwają tam tak dotkliwie. Wiem jednak, jak trudno jest zadowolić pogląd na świat rozpieszczonych dzieci. Ostatecznie, nie może to nawet zbytnio zdumiewać, że po ciągłym zbliżaniu się psychoanalizy — bez całkowitego porzucenia przez nią jej głównej zasady — do psychologii indywidualnej, uprzedzone umysły dopatrują się podobieństw, — widocznego skutku niezniszczalnego *common sense*. Niejednemu wyda się, jakobym w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat bezprawnie wymyślił był z góry roz-

wój psychoanalizy. W danym przypadku ja jestem owym jeńcem, od którego nie mogą się uwolnić.

Druga, znacznie silniejsza pomoc wyrosła mi ze stałej, naukowo ugruntowanej i wielostronnie objaśnionej jedni osobowości. Ta sama przynależność do jedni musi też być właściwością snu. Abstrahując także od wymaganego przez styl życiowy regularnego, większego dystansu od wywierającej wpływ rzeczywistości, — dystansu cechującego fantazję także na jawie, nie wolno było dla poparcia teorii przyjmować we śnie innej formy duchowej poza formami, istniejącymi też w życiu na jawie. Można dojść do wniosku, że sen i życie senne są odmianą życia na jawie, lub także, że życie na jawie jest odmianą snu. Najwyższym prawem obu form życia we śnie i na jawie jest niedopuszczenie do obniżenia poczucia wartości ja. Albo, włączając to do znanej terminologii psychologii indywidualnej: dążenie do wyższości w sensie ostatecznego celu, wyrywa jednostkę z pod ucisku poczucia niepełnowartości. Wiemy, dokąd prowadzi droga, mniej lub więcej zbaczająca od poczucia wspólnoty, to znaczy przeciwna poczuciu wspólnoty, to znaczy przeciwna *common sense*. Ja czerpie pokrzepienie z fantazji sennej, by dojść do rozwiązania danego problemu, do którego to rozwiązania nie posiada dostatecznego poczucia wspólnoty. Rozumie się, że rolę testu, ustalającego stopień poczucia wspólnoty odgrywa tu zawsze subiektywna trudność danego problemu, która może być tak uciążliwa, że nawet... najlepszy zaczyna śnić.

Musimy więc przede wszystkim stwierdzić, że każdy stan senny posiada czynnik egzogeniczny. Oznacza to chyba więcej i co innego niż freudowska „reszta dnia“. Znaczenie tkwi w poddaniu się egzaminowi i szukaniu rozwiązania. Zawiera „naprzód do celu“, „dokąd“ psychologii indywidualnej, w przeciwieństwie do regresji

Freuda i spełnienia infantylnych pragnień seksualnych — to ostatnie jest znów obnażeniem urojonego świata rozpieszczonych dzieci, pragnących mieć wszystko dla siebie i nie rozumiejących, jak może ich życzenie pozostać niespełnione. Wskazuje na dążenie wzwyż drogą ewolucji i ujawnia, jak każdy poszczególny człowiek wyobraża sobie drogę, którą chce iść. Ujawnia jego mniemanie o jego naturze i o naturze w ogóle, o sensie życia.

Odwróćmy się na chwilę od stanu sennego. Oto człowiek, mający przed sobą egzamin, do którego wobec niedostatecznego poczucia wspólnoty nie czuje się dojrzałym. Ucieka się do swojej fantazji. Kto ucieka się do niej? Oczywiście, że ja, w swoim stylu życiowym. Zamierza znaleźć rozwiązanie, odpowiadające stylowi życia. Oznacza to jednak — poza drobnym wyjątkiem snów, posiadających wartość dla wspólnoty — rozwiązanie, niezgodne z *common sense*, przeciwne poczuciu wspólnoty, przynoszące jednak ulgę jednostce w jej niedoli i wątpliwościach. Co więcej, umacniające ją w jej stylu życiowym i w poczuciu wartości jej ja. Sen, a również hipnoza, jeśli jest należycie wykonana, są tylko ulgą służącą temu celowi, podobnie jak udała autosuggestia. Musimy z tego wysnuć wniosek taki, że sen, jako celowy twór stylu życiowego, szuka i przedstawia oddalenie się od poczucia wspólnoty. Czasem jednak, przy większym poczuciu wspólnoty i w groźniejszych sytuacjach zdarza się odwrót, zwycięstwo poczucia wspólnoty nad próbą zboczenia od niego. Znowu przypadek, przyznający rację psychologii indywidualnej, która twierdzi, że życie duchowe nie da się nigdy ująć całkowicie w formuły i reguły, co wszakże nie dotyczy w danym przypadku głównej tezy, mianowicie, że sen ukazuje oddalenie od poczucia wspólnoty.

Tu nasuwa się zastrzeżenie, które od dawna sprawiało mi dużo kłopotu, lecz któremu zawdzięczam głębsze wniknięcie w zagadnienie snu. Jeśli mianowicie mielibyśmy przyjąć opisany tu stan rzeczy, to jak wytłómaczyć, że nikt nie rozumie swych snów, nikt na nie nie zwraca uwagi, a najczęściej je zapomina? Pomijając garstkę ludzi, którzy to trochę rozumieją, zdaje się, że w dziedzinie snu zostaje zmarnowana siła, jak tego w ekonomii ducha nigdy już nie napotykamy. Przychodzi nam tu wprawdzie w pomoc inne doświadczenie psychologii indywidualnej. Człowiek wie więcej aniżeli rozumie. Czy we śnie, gdy rozumienie jego śpi, czuwa wiedza? Gdyby tak było, to także na jawie możnaby wykazać coś podobnego. I w rzeczy samej człowiek nie rozumie nic ze swego celu, a jednak za nim dąży. Nie rozumie nic ze swego celu, a jest w nim stale uwięziony. A jeśli jego styl życiowy w obliczu jakiegoś zagadnienia wskazuje mu pewien kierunek: miejsce pijatyki, pomyślnie zapowiadające się przedsięwzięcie, to zawsze jawią się wtedy myśli i obrazy, zabezpieczenia, jak je nazwałem, by drogę tę uczynić mu ponętną, jakkolwiek nie zawsze muszą być z celem tym złączone widocznie. Gdy mąż jest z żony swej mocno niezadowolony, wtedy inna kobieta wydaje mu się często znacznie bardziej pożądaną, przy czym nie zdaje sobie sprawy z zachodzącego tu związku, nie mówiąc już ze swego oskarżenia lub zemsty. Dopiero w związku z jego stylem życiowym i danym zagadnieniem, jego wiedza o najbliższych sprawach staje się zrozumieniem. Poza tym wskazaliśmy już poprzednio, że fantazja, zatem także sen, muszą się wyzbyć dużej części *common sense.* Byłoby więc niesłusznością pytać sen o jego *common sense,* jak to robiło wielu autorów, by dojść do wniosku, że sen jest niedorzeczny. Tylko w najrzadszych przypadkach sen

zbliża się mocno do *common sense,* ale nigdy się z nim nie pokrywa. Z tego jednak wypływa najważniejsza czynność snu: zaprowadzenie s p i ą c e g o n a b e z d r o ż a, z d a l a o d c o m m o n s e n s e, jak to też wykazaliśmy o fantazji. We śnie dopuszcza się więc spiący samooszustwa. Zgodnie ze swym zasadniczym poglądem możemy dodać: samooszustwa, które wobec zagadnienia, dla którego jego poczucie wspólnoty jest niewystarczające, skazuje go na jego styl życiowy, by zgodnie z nim rozwiązał owe zagadnienie. Odrywając się od rzeczywistości, wymagającej zainteresowania społecznego, zostaje zasilony przez falę obrazów, podsuniętych mu przez jego styl życiowy.

Nic zatem nie pozostaje z minionego snu? Sądzę, że rozwiązałem to najważniejsze pytanie. Pozostaje to, co pozostaje zawsze, gdy ktoś oddaje się fantazjowaniu, więc: uczucia, emocje i nastawienie. Że wszystko to działa w kierunku stylu życiowego, wynika z zasadniczego poglądu psychologii indywidualnej na jednię osobowości. Był to jeden z moich pierwszych ataków na freudowską teorię snów, kiedy w 1918, opierając się na swych doświadczeniach wystąpiłem z twierdzeniem, że sen zmierza naprzód, że „podżega“ śniącego do rozwiązania problemu na własny sposób. Później miałem możność uzupełnienia tego poglądu, stwierdziwszy, że robi to nie na drodze *common sense*, poczucia wspólnoty, lecz w „przenośni“, metaforycznie, w obrazach porównawczych, jakby to zrobił poeta, chcący wzbudzić uczucia i emocje. Stajemy tedy na gruncie stanu na jawie i możemy dodać, że także ludzie całkowicie niedorośli do poetyckości, chcąc zrobić wrażenie, posługują się porównaniem, chociażby tylko w obelgach, jak „osioł“, „stara baba“ itd. co robi też nauczyciel, gdy zrozpaczony, nie może wyjaśnić jakiejś kwestii w prostych słowach.

Wywołuje to skutek dwojaki. Po pierwsze: porównania nadają się lepiej do wywołania uczuć, niż do wypowiedzeń rzeczowych. W poezji, w podniosłej mowie, metafora święci wręcz tryumfy. Opuściwszy jednak dziedzinę sztuk pięknych, zauważamy niebezpieczeństwo, tkwiące w posługiwaniu się porównaniami. „Chromają", jak słusznie uważa lud, chcąc przez to powiedzieć, że w posługiwaniu się nimi tkwi niebezpieczeństwo złudzenia. Dochodzimy tu przeto do tego samego zdania co wpierw, biorąc pod uwagę porównawcze posługiwanie się obrazami we śnie. Służą one, zdala od praktycznego rozumu, samoułudzie śniącego i rozbudzaniu uczuć, a tym samym także nastawieniu w duchu stylu życiowego. Możliwe, że sen bywa zawsze poprzedzony przez stan nastroju, zbliżony do wątpienia, lecz zagadnienie to wymaga jeszcze bliższego zbadania. Później jednak wybiera nasze ja, zgodnie ze swym stylem życiowym, z tysiąca możliwości właśnie te obrazy, które sprzyjają jego celowi, zmierzającemu do usunięcia praktycznego rozumu na korzyść stylu życiowego.

Stwierdziliśmy więc, że fantazja śniącego, podobnie jak w innych swoich ukształtowaniach, idzie też we śnie po liniach stylu życiowego, naprzód i w górę, także wtedy, gdy jak całe nasze myślenie, czucie i działanie posługuje się obrazami wspomnień. Że te obrazy wspomnień w życiu rozpieszczonego dziecka pochodzą z błędów, zrodzonych przez rozpieszczenie, niemniej jednak wyrażają przeczuwanie przyszłości — nie powinno to wieść do błędnego wniosku, jakoby infantylne pragnienia znajdowały tu zaspokojenie, jakoby dokonywała się tu regresja do stadium dziecięctwa. Następnie musimy się też liczyć z faktem, że styl życiowy wybiera obrazy służące jego celowi, że zatem na podstawie tego wyboru możemy zrozumieć

styl życiowy. Dostosowanie obrazu sennego do sytuacji egzogenicznej daje nam możność odkrycia wytycznej, jaką, mocą swego stylu życiowego wybiera śniący wobec problemu, domagającego się rozwiązania, by uczynić zadość swemu prawu ruchu. Słabość jego pozycji możemy dostrzec w tym, że pomaga sobie porównaniami i podobieństwami, budzącymi w fałszujący sposób uczucia i emocje, których wartości i sensu nie można zbadać, powodując wzmocnienie, przyspieszenie ruchu zgodnego ze stylem, jak gdyby ktoś, powiedzmy, przydał gazu pędzącemu motorowi. Niezrozumiałość snu, niezrozumiałość, jaką w wielu przypadkach można tak samo stwierdzić na jawie, gdy ktoś przy pomocy naciągniętych argumentów pragnie umocnić swój błąd, jest zatem koniecznością, a nie przypadkiem.

Śniący rozporządza, całkiem tak samo jak na jawie, jeszcze innym środkiem pominięcia praktycznego rozumu, traktując mianowicie dany problem od strony ubocznej, lub eliminując z niego w ogóle to, co najważniejsze. To postępowanie wykazuje podobieństwo z tamtym, pozwala też niekiedy wnioskować o swym wielkim rozpowszechnieniu, co w zeszytach *Zeitschrift für Individualpsychologie* (Verlag Hirzel, Leipzig) przedstawiłem w r. 1932 jako częściowe, niedostateczne rozwiązanie problemu, jako oznakę kompleksu niepełnowartości. Uchylam się ponownie od podawania reguł do wyjaśniania snów, gdyż do tego potrzebna jest znacznie więcej artystyczna intuicja niż, powiedzmy, systematyka Beckmessera. Sen nie daje niczego, czego nie można by też wyprowadzić z innych form wyrazu. Służy tylko badaczowi do poznania, jak silnie działa jeszcze stary styl życiowy, by mógł na to zwrócić uwagę badanego, co niewątpliwie przyczynia się do przekonania go. W wyjaśnianiu snu należy iść tak daleko, aż pacjent

zrozumie, że podobnie jak Penelopa pruje on w nocy to, czego wyuczył się we dnie. Nie wolno też zapominać o owym stylu życiowym, który w nadmiernym, pozornym posłuszeństwie, niby zahipnotyzowany, sam wtłacza swoją fantazję w orbitę posłuszeństwa dla lekarza, nie przeprowadzając jednak wynikającego stąd nastawienia. Jest to również pewien rodzaj przekory, w której w ten potajemny sposób ćwiczył się już w dziecięctwie.

Powtarzające się sny wskazują na zgodny ze stylem wyraz prawa ruchu wobec kwestyj, odczuwanych w swym ukształtowaniu jako podobne. Krótkie sny świadczą o ścisłej, szybkiej odpowiedzi na pytanie. Sny zapomniane nasuwają przypuszczenie, że ich ton uczuciowy jest silny w stosunku do równie silnego praktycznego rozumu, i że celem lepszego obejścia tego rozumu, materiał myślowy musi się skondensować, by pozostało tylko wzruszenie i nastawienie. Bardzo często można stwierdzić, że sny połączone z uczuciem lęku, odzwierciadlają wzmożony lęk przed klęską, a sny przyjemne są odbiciem wzmożonego „fiat", albo kontrastu z obecną sytuacją, w celu wywołania tym silniejszych uczuć niechęci. Sny o umarłych nasuwają myśl, wymagającą co prawda potwierdzenia przez inne formy wyrazu, że śniący nie pogrzebał jeszcze umarłego całkowicie i że pozostaje pod jego wpływem. Sny o spadaniu, najczęstsze chyba ze wszystkich, świadczą o trwożnej przezorności jednostki, by nic nie utracić ze swego poczucia wartości, lecz równocześnie ukazują też w wyobrażeniu przestrzennym, że w swym poczuciu śniący uważa się za „górującego". Sny o lataniu napotyka się u ambitnych ludzi jako osad dążenia do wyższości, do dokonania czegoś, co wyniosłoby śniącego ponad drugich. Snowi temu, niejako dla ostrzeżenia przed ambitnym ryzykownym dążeniem,

towarzyszy nierzadko sen o spadaniu. Szczęśliwe wylądowanie po upadku we śnie, wyrażające się często nie myślowo, lecz tylko uczuciowo, wskazywałoby najczęściej na poczucie pewności, jeśli nie predestynacji, wskutek którego jednostka upewnia się, że nie może się jej stać nic złego. Spóźnienie do pociągu, pominięcie jakiejś sposobności dadzą się najczęściej stwierdzić jako wyraz wyćwiczonego rysu charakteru: unikanie obawianej klęski przez spóźnienie się, zaniedbywanie sposobności. Sny o niedostatecznym ubraniu, i wywołanym przez to strachu, dadzą się najczęściej sprowadzić do lęku, by danej jednostki nie przychwycono na jakimś braku. Skłonności ruchowe, wzrokowe, słuchowe wyrażają się często w snach, zawsze jednak w związku z nastawieniem do danego zadania, którego rozwiązanie, jak świadczą poszczególne przykłady, zostało nawet przez to w rzadkich wypadkach ułatwione. Rola śniącego jako widza wskazuje z niejaką pewnością, że jednostka ta także w życiu poprzestaje chętnie na roli widza. Sny seksualne wykazują rozmaity kierunek; raz sprowadzają się do stosunkowo słabego treningu w obcowaniu płciowym, to znów do odwrotu od partnera i ograniczenia do siebie. W snach homoseksualnych uwydatniłem dość silnie trening przeciw drugiej płci, nie zaś popęd wrodzony. Sny okrutne, w których jednostka występuje czynnie, wskazują na złość i mściwość, podobnie też sny plugawiące. Częste sny szczochów, że oddają mocz na właściwym miejscu, ułatwiają im w sposób mniej odważny ich oskarżenie i zemstę za uczucie upośledzenia. W moich książkach i pismach znajduje się bezlik wytłómaczonych snów, więc mogę sobie odmówić przytoczenia tu konkretnych przykładów. W związku ze stylem życiowym omówię sen następujący:

Pewien człowiek, ojciec dwojga dzieci, żył w ciągłej

niezgodzie z żoną, o której wiedział, że nie wyszła za niego z miłości, a niezgodę tę podsycały obydwie strony. Początkowo był rozpieszczonym dzieckiem, później został zdetronizowany przez inne dziecko; w twardej szkole nauczył się jednak opanowywać dawne wybuchy gniewu, nawet do tego stopnia, że często w niekorzystnej sytuacji robił może zbyt długie próby pojednania z przeciwnikami, co oczywiście, rzadko mu się udawało. Także wobec żony zajął postawę, będącą mieszaniną wyczekiwania, prób znalezienia sytuacji serdecznej, pełnej zaufania, oraz powtarzających się wybuchów gniewu w chwilach, gdy poddawał się poczuciu niepełnowartości i nie wiedział co począć. Żona nie rozumiała zgoła tej sytuacji. Do swoich dwu synków odnosił się z niezwykłą miłością, którą odwzajemniali, gdy matka, nie mogąc oczywiście w swej poprawnej powolności współubiegać się z mężem o miłość dzieci, coraz bardziej zatracała kontakt z nimi. Mąż uważając to za zaniedbywanie dzieci, często z tego powodu robił żonie zarzuty. Pożycie małżeńskie trwało w dalszym ciągu wśród uciążliwych warunków, ale oboje małżonkowie starali się zapobiec dalszemu błogosławieństwu dzieci. Taki był przez długi czas wzajemny stosunek obojga partnerów: mężczyzna, uznający w miłości tylko silne uczucia, uważający się tedy za krzywdzonego w swych prawach, i kobieta, czyniąca słabe wysiłki podtrzymania małżeństwa, oziębła i dzięki swemu stylowi życiowemu nie mająca wymaganego ciepła dla męża i dzieci. Pewnej nocy śniło mu się o krwawiących ciałach kobiecych, którymi rzucano bez wszelkich względów. W rozmowie ze mną przypomniał sobie scenę widzianą w sali prosektorium, do której zabrał go przyjaciel, studiujący medycynę. Łatwo można było jednak zauważyć, — co człowiek ten zresztą potwierdził — że także akt porodu, który współ-

przeżywał dwukrotnie, zrobił na nim straszne wrażenie. To dało wyjaśnienie snu: „Nie chcę u mojej żony dożyć trzeciego porodu“.

Inny sen był taki: „Zdawało mi się, że szukam swego trzeciego dziecka, które zginęło lub zostało skradzione. Byłem w wielkim strachu. Ale wszystkie moje wytężone starania pozostały daremne“. Wobec tego, że człowiek ten nie miał trzeciego dziecka, łatwo było zrozumieć, że ciągle się lękał, iż trzecie dziecko, z powodu niezdolności żony czuwania nad dziećmi, byłoby w największym niebezpieczeństwie. Sen ten datował się z okresu tuż po ukradzeniu dziecka Lindbergha i ukazywał ten sam, egzogeniczny problem wstrząsu, odpowiadający stylowi życiowemu i mniemaniu pacjenta; zerwanie z człowiekiem, nie darzącym serdecznością i jako część tego zamiaru, niepłodzenie więcej dzieci. Przy przesadnym podkreślaniu opieszałości żony, sen ten zmierzał w tym samym kierunku co pierwszy: ujawniał przesadny strach przed aktem porodu.

Pacjent przyszedł się leczyć z powodu niemocy płciowej. Dalsze ślady zawiodły do jego dziecięctwa, kiedy po dłuższych wytężonych próbach nauczył się godzić z upośledzeniem przez usunięcie osoby, rzekomo chłodnej, uważając równocześnie także dalsze porody swej matki za niemożliwe do zniesienia. Główna część jego stylu życiowego, wybór pewnych obrazów, samoułuda i autointoksykacja porównaniami, wykraczającymi znacznie poza praktyczny rozum i przydającymi stylowi życiowemu nowego napięcia i wzmożonej siły, odwrót od zagadnienia życiowego, wynikający z trwałego działania wstrząsu, raczej osiągnięty chyłkiem niż zdobyty w duchu common sense, niedostateczne, odpowiadające miękkości tego człowieka, połowiczne rozwiązanie

jego problemu nie dają się przeoczyć i wyraźnie uwidoczniają się w swym związku.

Jeśli trzeba jeszcze dodać parę słów na ów temat, opisany jako freudowska symbolika we śnie, to mogę ze swego doświadczenia powiedzieć, co następuje: Prawdą jest, że od dawna ludzie są skłonni do porównywania w sposób żartobliwy nie tylko spraw seksualnych i innych z faktami praktycznego życia. Przy pijatykach i w sprośnych dowcipach robiono to chyba zawsze. W znacznej mierze pociąga zapewne okoliczność, że obok tendencji poniżania, żądzy dowcipkowania i samochwalstwa, można tu także dać wyraz akcentom wzruszeniowym, wziętym ze symbolu. Nie potrzeba wielkiej bystrości umysłu do zrozumienia tych zwyczajnych symboli, mieszczących się w folklorze i w ulicznych piosenkach. Ważniejsze to, że występują we śnie, co prawda zawsze w pewnych celach, które należy dopiero odkryć. Zasługą Freuda pozostanie, że zwrócił na to uwagę. Uważanie jednak wszystkiego, czego się nie rozumie, za symbol seksualny, by następnie odkryć, że wszystko pochodzi z seksualnej libido, nie wytrzymuje rozumnej krytyki. Równie słabymi dowodami są t. zw. „doświadczenia udowodniające“, przeprowadzone na osobach w hipnozie, którym wpierw zasuggerowano sny seksualne, by z następnych ich powiedzeń wysnuć, że one również śnią w symbolach freudowskich. Że osoby te wybierają dobrze im znane symbole, zamiast nagich wyrażeń seksualnych, świadczy co najwyżej o naturalnej wstydliwości. Ponadto trudno dziś uczniowi Freuda znaleźć do takich eksperymentów kogoś, kto, hipnotyzowany, nie wiedziałby, z kim ma do czynienia. Pomijając już to, że „symbolika Freuda“ ogromnie wzbogaciła skarbnicę słownictwa ludowego i gruntownie unicestwiła prostotę, z jaką rozpatrywano sprawy, całkiem zresztą niewinne. Często też można zauważyć

u pacjentów, leczonych poprzednio psychoanalizą, że w swoich snach robią szeroki użytek z symboliki Freuda. Moja replika wypadłaby jeszcze silniej, gdybym jak Freud mógł wierzyć w telepatię i przypuszczał, podobnie jak jego płytcy poprzednicy, że przenoszenie myśli dokonuje się tak samo jak odczyt radiowy. Ten argument zbijający nie wchodzi więc dla mnie w rachubę.

XV.

SENS ŻYCIA.

Pytanie o sens życia posiada tylko wtedy wartość i znaczenie, jeśli się ma na oku system wzajemnej zależności: człowiek - kosmos. Łatwo tu zrozumieć, że w tej korelacji kosmos posiada moc kształtującą. Kosmos jest, żeby tak rzec, ojcem wszystkiego, co żyje. A całe życie pozostaje w ciągłym stanie walki, by sprostać żądaniom kosmosu. Nie jakoby istniał pęd, który później w życiu byłby w stanie doprowadzić wszystko do końca, który musiałby się tylko rozwinąć, lecz jest to pęd wrodzony, jako coś przynależnego do życia, dążenie, parcie, rozwijanie się, coś, bez czego nie można sobie w ogóle wyobrazić życia. Żyć, znaczy rozwijać się. Umysł ludzki jest aż nazbyt przyzwyczajony do ujmowania wszystkiego płynnego w kształt, do patrzenia nie na ruch, lecz na ruch zakrzepły, na ruch, który stał się kształtem. My, wyznawcy psychologii indywidualnej dawno już weszliśmy na drogę rozkładania na ruch tego, co ujmujemy jako kształt. Że gotowy człowiek pochodzi z komórki jaja, o tym wie każdy; powinien jednak także dobrze zrozumieć, że w tej komórce jaja mieszczą się podwaliny rozwoju. Jest rzeczą problematyczną, w jaki sposób powstało na ziemi życie; ostatecznego rozwiązania nie znajdziemy może nigdy.

Rozwój życia z maleńkiej żywej jedni mógł się do-

konać tylko za zgodą wpływu kosmicznego. Spróbujmy przypuścić, jak to na przykład zrobił *Smuts* w swej genialnej próbie („Wholeness and Evolution“) że życie istnieje także w martwej materii, które to pojęcie mocno nam nasuwa współczesna fizyka, ukazująca, jak elektrony poruszają się dokoła protonu. Czy pojęcie to okaże się też słuszne w dalszym ciągu, tego nie wiemy; pewne jest natomiast, że nasze pojęcie o życiu nie może już budzić wątpliwości, że tym samym zostaje też stwierdzony ruch — ruch, dążący do samozachowywania, do zwiększenia, do kontaktu z światem zewnętrznym, do kontaktu zwycięskiego, by nie zginąć. W świetle, które zapalił Darwin, rozumiemy dobór tego wszystkiego, co mogło sprostać wymaganiom zewnętrznym. Pogląd Lamarcka, jeszcze bardziej zbliżony do naszego, wskazuje nam siłę twórczą, zakotwiczoną w każdej żyjącej istocie. Zbiorowy fakt twórczej ewolucji wszystkiego co żyje, może nas pouczyć, że kierunek rozwoju każdego gatunku ma wyznaczony cel, cel doskonałości, czynnego dostosowania do wymagań kosmicznych.

Musimy nawiązać do tej drogi rozwoju, do ustawicznego czynnego dostosowania do wymagań świata zewnętrznego, jeśli chcemy zrozumieć, w jakim kierunku życie dąży i porusza się. Musimy pamiętać, że chodzi tu o coś pierwotnego, co tkwiło w życiu pierwotnym. Zawsze chodzi o przezwyciężenie, zawsze o zachowanie jednostki, rasy ludzkiej, zawsze o wytworzenie sprzyjającego stosunku między jednostką a światem zewnętrznym. Ten przymus osiągnięcia lepszego dostosowania, nie może się nigdy skończyć. Rozwijałem tę myśl już w 1912. (Patrz: *„Heilen und Bilden“*, l. c.) podkreślając mocno, że zaniechanie tego czynnego dostosowania stale jest zagrożone przez tę „prawdę“ i że zagładę ludów, rodzin, jednostek, gatun-

ków zwierząt i roślin należy przypisać chybieniu tego czynnego dostosowania.

Mówię o czynnym dostosowaniu, przez co wykluczam fantazje, upatrujące to dostosowanie albo w związku z istniejącą sytuacją albo ze śmiercią wszelkiego życia. Chodzi raczej o dostosowanie *sub spece aeternitatis*, ponieważ „właściwy“ jest tylko ten rozwój fizyczny i duchowy, który można uważać za właściwy dla najdalszej przyszłości. Pojęcie czynnego dostosowania mówi również, że ciało i dusza, i cała organizacja życia muszą dążyć do tego ostatniego dostosowania, do opanowania wszystkich korzyści i niekorzyści, ustanowionych przez kosmos. Pozorne wyrównania, utrzymujące się może przez pewien czas, wcześniej czy później ulegają potędze prawdy.

Znajdujemy się w samym prądzie ewolucji i nie dostrzegamy tego, tak samo jak nie dostrzegamy obrotu ziemi. W tym związku kosmicznym, w którym życie poszczególnej jednostki stanowi część, dążenie do zwycięskiego dostosowania do świata zewnętrznego jest warunkiem. Gdybyśmy nawet chcieli wątpić, że już na początku życia istniało dążenie do wyższości, to przebieg bilionów lat stawia nam jasno przed oczy, że dziś dążenie do doskonałości jest faktem przyrodzonym, istniejącym w każdym człowieku. Rozważanie to może nam ukazać jeszcze coś innego. Wszak nikt z nas nie wie, która droga jest jedynie właściwą. Ludzkość próbowała wielokrotnie przedstawić sobie ten ostateczny cel rozwoju ludzkiego. Mniemanie, że wszechświat miałby być zainteresowany w zachowaniu życia, jest już chyba tylko pobożnym życzeniem, lecz jako takie może znaleźć zastosowanie i znalazło je też w religii, moralności i etyce, jako silny motor, przyspieszający ogólne dobro ludzkości. Tak samo kult fetysza, jaszczurki, fallusa jako fetysza w obrębie jakiegoś szczepu

przedhistorycznego, wydaje nam się ze stanowiska naukowego nieusprawiedliwiony. Nie wolno nam jednak przeoczać, że ten prymitywny pogląd na świat sprzyjał współżyciu ludzkości, jej poczuciu wspólnoty, gdyż każdy, pozostający w mocy tej samej żarliwości religijnej, uważany był za brata, za tabu, poruczone opiece wielkiego szczepu.

Najlepsze wyobrażenie, jakie zdobyliśmy dotąd o tym idealnym wzniesieniu ludzkości, to pojęcie Boga [1]). Nie ulega wątpliwości, że pojęcie Boga zawiera w sobie właściwie ów ruch do doskonałości jako cel, i że jako konkretny cel doskonałości najlepiej odpowiada niejasnej tęsknocie człowieka do osiągnięcia doskonałości. Zdaje mi się, co prawda, że każdy wyobraża sobie swojego Boga inaczej. Istnieją zapewne wyobrażenia, z góry niedorosłe do zasady doskonałości, ale o jej najczystszym ujęciu możemy powiedzieć: oto udało się konkretne ujęcie doskonałości. Prasiła, która była tak skuteczna w ustanowieniu wytycznych celów religijnych, mających prowadzić ludzkość do zespolenia, nie była niczym innym jak poczuciem wspólnoty, które należy uważać za zdobycz ewolucji i dążenia wzwyż w prądzie ewolucji. Istnieje oczywiście wśród ludzi bezlik prób wyobrażenia sobie tego celu doskonałości. My, wyznawcy psychologii indywidualnej, a zwłaszcza, my lekarze w duchu psychologii indywidualnej, mający do czynienia z chybieniami, z ludźmi, cierpiącymi na neurozę, na psychozę, którzy stali się przestępcami, pijakami itd., widzimy także w nich ten cel wyższości, ale w innym kierunku, o tyle przeciwny rozumowi, że nie możemy w nim uznać właściwego celu doskonałości. Jeśli ktoś na przykład próbuje sobie

---

[1]) Patrz: Jahn i Adler: Religion und Individualpsychologie. Verlag Dr. Passer, Wien 1933.

skonkretyzować ten cel przez to, że chce panować nad drugimi, to ten cel doskonałości wydaje nam się już dlatego niezdolny do kierowania poszczególnym człowiekiem i masą, ponieważ nie każdy mógłby postawić sobie za zadanie ten cel doskonałości, gdyż byłby zmuszony popaść w sprzeczność z przymusem ewolucji, pogwałcić rzeczywistość i pełen trwogi bronić się przeciw prawdzie i jej wyznawcom. Gdy napotkamy ludzi, którzy jako cel doskonałości postawili sobie opieranie się na innych, to także ten cel doskonałości wydaje nam się sprzeczny z rozumem. Jeśli ktoś widzi może cel doskonałości w pozostawieniu zadań życiowych nierozwiązanych, by ustrzec się od pewnych klęsk, które byłyby przeciwieństwem celu doskonałości, to także ten cel wydaje nam się bezwzględnie niewłaściwym, jakkolwiek wielu ludziom wydaje się możliwym do przyjęcia.

Jeśli rozszerzymy swój krąg widzenia i rzucimy pytanie: co stało się z tymi istotami, które postawiły sobie niewłaściwy cel doskonałości, których czynne dostosowanie nie udało się, ponieważ weszły na niewłaściwą drogę, które nie znalazły drogi popierania ogółu? — to zagłada gatunków, ras, szczepów, rodzin i tysięcy poszczególnych ludzi, z których nic nie pozostało, pouczy nas, jak konieczne jest dla jednostki znalezienie drogi bodaj na wpół właściwej do celu doskonałości. Dla naszych czasów i dla każdej poszczególnej jednostki jest zrozumiałe samo przez się, że cel doskonałości nadaje kierunek rozwojowi całej osobowości, wszystkim jej gestom, patrzeniu, myśleniu, uczuciom, poglądowi na świat. A jest równie jasne i dla każdego wyznawcy psychologii indywidualnej zrozumiałe, że kierunek, zbaczający poniekąd od prawdy, musi wyjść na szkodę danej jednostki, a nawet może spowodować jej upadek. Byłoby więc właściwie szczęśliwym odkryciem,

gdybyśmy dowiedzieli się czegoś bliższego o kierunku, w jakim należy się zwrócić, jako że tkwimy przecież w prądzie ewolucji i musimy za nim podążać. Tu również psychologia indywidualna dokonała wielkiej pracy, tak samo jak przez stwierdzenie powszechnego dążenia do doskonałości. Z tysiącorakiego doświadczenia zdobyła pogląd, zdolny do zrozumienia w pewnej mierze kierunku ku idealnej doskonałości, a mianowicie przez ustanowienie norm p o c z u c i a w s p ó l n o t y.

Poczucie wspólnoty oznacza przede wszystkim dążenie do formy wspólnoty, która musi być obmyśloną na wieki i która dałaby się na przykład obmyślić po osiągnięciu przez ludzkość celu doskonałości. Nie chodzi nigdy o obecną wspólnotę lub społeczność, ani też o formy polityczne lub religijne, gdyż cel, najlepiej nadający się do doskonałości, musiałby być celem, oznaczającym idealną spólnotę całej ludzkości, ostatnie dokonanie ewolucji. Zapytają oczywiście, skąd o tym wiem. Z pewnością nie z bezpośredniego doświadczenia i muszę też przyznać, że mają rację ci, którzy w psychologii indywidualnej widzą coś z metafizyki. Jedni to pochwalają, inni ganią. Istnieje niestety wielu ludzi, mających błędne pojęcie o metafizyce, pragnących z życia ludzkości wyłączyć wszystko, czego nie mogą ująć bezpośrednio. W ten sposób przeszkodzilibyśmy możliwościom rozwoju, powstaniu wszelkiej nowej myśli. Wszelka nowa myśl istnieje bowiem poza bezpośrednim doświadczeniem. Doświadczenia bezpośrednie nie przynoszą nigdy czegoś nowego, a czyni to dopiero wszechogarniająca myśl, łącząca owe fakty. Można to nazwać spekulacją lub transcendentalizmem: nie ma jednak nauki, która nie musiałaby znaleźć ujścia w metafizyce. Nie widzę powodu obawy przed metafizyką, która najsilniej oddziałała na życie i rozwój ludzkości. Nie zostaliśmy obdarzeni absolutną prawdą, dlatego jesteśmy

zmuszeni troskać się o ową przyszłość, o wynik naszych czynów itd. Nasza idea poczucia wspólnoty, jako ostatniej formy ludzkości, stanu, w którym wyobrażamy sobie wszystkie nasze zagadnienia życia, wszystkie stosunki do świata zewnętrznego jako rozwiązane, ideał kierujący, cel, nadający kierunek — ten cel doskonałości musi w sobie mieścić cel idealnej wspólnoty, ponieważ wszystko, co w życiu uważamy za wartościowe, co istnieje i pozostanie, jest na zawsze wytworem tego poczucia wspólnoty.

Opisałem poprzednio fakty, skutki i braki istniejącego obecnie poczucia wspólnoty u jednostki i u masy, i w interesie znajomości człowieka, charakterologii, starałem się przedstawić swoje doświadczenia, ukazać w jaki sposób można stwierdzić prawo ruchu jednostki i masy, oraz ich chybienia. Psychologia indywidualna rozpatruje i rozumie wszystkie niezbite doświadczenia z punktu widzenia tej wiedzy, której system naukowy rozwinął się pod naciskiem tych doświadczeń. Zdobyte wyniki nie wykazują między sobą sprzeczności i są usprawiedliwione przez *common sense.* To, co jest nieodzowne do spełnienia żądań teorii ściśle naukowej, zostało osiągnięte w psychologii indywidualnej: olbrzymie mnóstwo doświadczeń bezpośrednich, system, liczący się z tymi doświadczeniami i nie pozostający z nimi w sprzeczności, oraz trenowaną zdolność odgadywania zgodnie z *common sense* — zdolność wcielania do systemu doświadczeń, pozostających z nim w związku. Zdolność ta jest tym konieczniejsza, jako że każdy przypadek przedstawia się inaczej, dając powód do coraz to nowych wysiłków artystycznego odgadywania. Jeśli więc teraz zaczynam bronić także prawa psychologii indywidualnej do uchodzenia za pogląd na świat, posługując się nią do wytłómaczenia sensu życia ludzkiego, to muszę się wyzbyć wszelkich

poglądów moralnych i religijnych, ustanawiających cnotę i występek, jakkolwiek byłem od dawna przekonany, że obydwa prądy, zarówno jak ruchy polityczne zmierzają zawsze do dostosowania się do sensu życia i wyrosły pod naciskiem poczucia wspólnoty jako prawdy absolutnej. Stanowisko psychologii indywidualnej wobec tych prądów wypływa z jej poznania naukowego, a zapewne także z jej bardziej bezpośredniej próby w kierunku silniejszego rozwoju poczucia wspólnoty jako poznania. Stanowisko to brzmi: Uznałbym za usprawiedliwiony każdy prąd, którego kierunek dostarcza niezbitego dowodu, że zmierza do celu dobra zbiorowej ludzkości. Uważałbym za chybiony każdy prąd, sprzeciwiający się temu stanowisku, lub przepojony formułą Kaina: „Dlaczego mam kochać swego bliźniego?"

W oparciu o poprzednie stwierdzenia, wolno mi, niby w krótkim dowodzie ukazać fakt, że wstępując w życie zastajemy tylko to, co nasi przodkowie wnieśli jako wkład do ewolucji, do wyższego rozwoju zbiorowej ludzkości. Już ten jeden fakt mógłby nam wytłómaczyć, w jaki sposób życie toczy się dalej, jak zbliżamy się do stanu większych wkładów, większej zdolności współpracy, w którym każda poszczególna jednostka, więcej niż dotychczas przedstawia część całości. W dążeniu do tego stanu, formy naszego ruchu społecznego są próbami, przedpróbami, spośród których zachowują się jedynie te, co mieszczą się na drodze do tej idealnej wspólnoty. Że dzieło to, świadczące niejednokrotnie o górującej sile ludzkiej, okazuje się też pod wieloma względami niedoskonałym, a nieraz także chybionym, dowodzi tylko, że „absolutna prawda", kroczenia naprzód drogą ewolucji jest dla ludzkiej możności niedostępna, jakkolwiek zdołamy się do niej zbli-

żyć, i że istnieje całe mnóstwo dokonań społecznych, pożądanych tylko na pewien czas, w pewnej sytuacji, by po niejakim czasie okazać się nawet szkodliwymi. Jedynie gwiazda przewodnia dobra ogółu, pod której wskazaniem zdołamy lepiej i bez nawrotów znaleźć drogę, zdoła nas ustrzec od zginięcia na krzyżu szkodliwej fikcji, od trzymania się szematu szkodliwej fikcji.

Dobro ogółu, wyższy rozwój ludzkości opierają się na nigdy nieprzemijających żądaniach naszych przodków. Duch ich pozostaje wiecznie żywy. Jest nieśmiertelny, jak inni są nieśmiertelnymi w swych dzieciach. Na jednym i drugim zasadza się trwanie rodzaju ludzkiego. Duch ten wcale nie musi o tym wiedzieć. Znaczenie posiadają fakty. Zagadnienie właściwej drogi wydaje mi się rozwiązane, pomimo, że często posuwamy się po omacku. Nie chcemy rozstrzygać, lecz możemy powiedzieć jedno: ruch jednostki i ruch mas możemy uważać za wartościowy tylko wtedy, gdy stwarza wartości wieczne, dla wyższego rozwoju zbiorowej ludzkości. Dla osłabienia tej tezy nie należy powoływać się na głupotę własną lub cudzą. Rozumie się samo przez się, że chodzi nie o posiadanie prawdy, lecz o dążenie do niej.

Jeszcze bardziej uderzającym, aby już nie powiedzieć, samo przez się zrozumiałym staje się ten fakt, gdy spytamy: co stało się z ludźmi, którzy nie przyczynili się niczym do dobra ogółu? Odpowiedź brzmi: zginęli bez śladu. Nic z nich nie pozostało, zniknęli cieleśnie i duchowo. Ziemia ich pochłonęła. Stało się z nimi to, co z wymarłymi gatunkami zwierząt, które nie mogły wejść w harmonię z danymi warunkami kosmicznymi. Istnieje tedy właściwie utajona prawność, jak gdyby pytający kosmos rozkazał: Precz

z wami! Nie zrozumieliście sensu życia. Nie możecie sięgnąć w przyszłość.

Jest to niewątpliwie prawo okrutne. Można je porównać jedynie z okrutnymi bóstwami starożytnych ludów i z ideą tabu, grożącą zniszczeniem wszystkim, którzy zawinili przeciw wspólnocie. W ten sposób podkreśla się trwanie, wieczne trwanie wkładu ludzi, którzy zdziałali coś dla ogółu. Jesteśmy oczywiście dostatecznie rozsądni, by nie przypuszczać, że posiadamy klucz, przy pomocy którego moglibyśmy wypowiedzieć dokładnie w każdym przypadku, co obliczone jest na wieczność, a co nie. Jesteśmy przekonani, że możemy się mylić, że rozstrzygające może być tylko całkiem dokładne, obiektywne badanie, a często też dopiero bieg rzeczy. Stanowi to już może wielki krok, że potrafimy uniknąć tego, co nie przyczynia się do dobra wspólnoty.

Nasze uczucie wspólnoty sięga dziś znacznie dalej. Nie rozumiejąc, staramy się jednak w wychowaniu, w nastawieniu jednostki do masy, w religii, w nauce i polityce doprowadzić rozmaitymi, często fałszywymi drogami, do harmonii z przyszłą pomyślnością ludzkości. Rozumie się, że bliższym zrozumienia przyszłej harmonii jest ten, kto posiada lepsze poczucie wspólnoty. A na ogół utorowała sobie drogę zasada społeczna, nakazująca potykającemu się pomagać, a nie obalać go.

Jeśli pogląd swój zastosujemy do obecnego życia kulturalnego, obstając przy przekonaniu, że dziecko ustanawia już na całe życie wymiar swego poczucia wspólnoty, który pozostaje niezmienny, o ile nie ulegnie późniejszemu wpływowi korygującemu, to spojrzenie nasze skieruje się na pewne stosunki ogólne, mogące oddziałać niszczycielsko na rozwój dziecięcego poczucia wspólnoty. Tak na przykład fakt wojny i gloryfi-

kowanie jej w szkole. Dziecko, może jeszcze niewyrobione, może posiadające słabe poczucie wspólnoty, przygotowuje się bezwiednie do świata, w którym jest możliwe rozkazać ludziom, by walczyli z maszynami i trującymi gazami, zmuszać ich do tego i odczuwać jako zaszczyt, gdy zabiją możliwie najwięcej współludzi, niewątpliwie także wartościowych dla przyszłości. W mniejszych rozmiarach oddziaływa fakt kary śmierci, którego szkodliwość dla dziecięcego umysłu niewiele zmniejsza świadomość, że chodzi tu nie o współludzi, lecz raczej o wrogów ludzi. Nawet zbyt nagłe zapoznanie z zagadnieniem śmierci może u dzieci mniej skłonnych do współpracy, spowodować raptowne zerwanie z poczuciem wspólnoty. To samo niebezpieczeństwo zagraża dziewczętom, uświadomionym przez nierozważne otoczenie o zagadnieniu miłości, płodzenia i rodzenia, jako o czymś strasznym. Na rozwijającym się poczuciu wspólnoty ciąży nadmiernie nierozwiązany problem ekonomiczny. Samobójstwo, występek, złe obchodzenie się z kalekami, starcami, żebrakami, przesądy i niesprawiedliwe postępowanie z ludźmi, funkcjonariuszami, rasami i związkami religijnymi, poniewieranie słabszych i dzieci, niesnaski małżeńskie i próby przedstawiania kobiety w jakikolwiek sposób za niepełnowartościową, wynoszenie się z powodu pieniędzy lub pochodzenia, duch koterii i jego oddziaływanie, sięgające najwyższych sfer, obok rozpieszczania i zaniedbywania dzieci, wcześnie już kładą kres rozwojowi na współczłowieka. W naszych czasach, jedynym środkiem zaradczym może być obok ustanowienia współpracy dziecka, odpowiednie, dość wczesne pouczenie go, że dotąd osiągnęliśmy dopiero stosunkowo niski poziom poczucia wspólnoty i że prawdziwy współczłowiek musi uważać za swoje zadanie współpracę nad rozwiązaniem tego złego stanu na ko-

rzyść ogółu, a nie oczekiwać tego rozwiązania od legendarnej tenedencji rozwoju, ani od drugich. Próby, chociażby podejmowane w najlepszym zamiarze, w celu osiągnięcia wyższego rozwoju przez wzmocnienie któregoś z tych czynników zła: wojny, kary śmierci, albo nienawiści rasowej i religijnej, sprowadzają zawsze w następnym pokoleniu zanik poczucia wspólnoty, a tym samym wydatne pogorszenie innych form złego. Jest to zastanawiające, że niemal regularnie prowadzą one do bagatelizowania życia, koleżeństwa i stosunków miłosnych, który to fakt ujawnia wyraziście obniżenie poczucia wspólnoty.

W poprzednich wywodach nagromadziłem dość materiału, by czytelnik mógł zrozumieć, że chodzi tu o wyłuszczenie naukowe, jeśli podkreślam, że jednostka tylko wtedy postępuje we właściwym rozwoju, gdy żyje i dąży jako cząstka całości. Płytkie zastrzeżenia systemów indywidualistycznych posiadają wobec tego ujęcia dość błahe znaczenie. Mógłbym powiedzieć o tym jeszcze więcej i wykazać, że wszystkie nasze czynności obliczone są na to, by nie zakłócać wspólnoty ludzi, lecz łączyć jednostkę z ogółem. Patrzeć, znaczy przyjmować, zapładniać to, co pada na siatkówkę. Jest to czynność nie tylko fizjologiczna, gdyż ukazuje człowieka jako część całości, biorącą i dającą. Widzeniem, słyszeniem, mówieniem łączymy się z drugimi. Człowiek widzi, słyszy, mówi należycie tylko wtedy, gdy swoim zainteresowaniem łączy się z światem zewnętrznym, z drugimi. Jego rozum, jego *common sense* podlegają kontroli współludzi, prawdy absolutnej i zmierza do słuszności wiecznej. Nasze uczucia estetyczne i poglądy, posiadające może największą siłę odśrodkową, prącą do działania, mają wartość wieczną tylko wtedy, gdy ich przebieg dokonywa się w prądzie ewolucji ku dobru ludzkości. Wszystkie nasze

czynności fizyczne i duchowe są właściwe, normalne, zdrowo rozwinięte, o ile posiadają dość poczucia wspólnoty i nadają się do współpracy.

Mówimy o cnocie i rozumiemy przez to, że ktoś współdziała; mówimy o występku i rozumiemy, że ktoś przeszkadza we współpracy. Mógłbym jeszcze wskazać, że wszystko, co oznacza chybienie, jest chybieniem dlatego, ponieważ przeszkadza rozwojowi wspólnoty, niezależnie od tego, czy chodzi o dzieci trudne do wychowania, czy o neuropatów, przestępców, samobójców. We wszystkich tych przypadkach widzi się brak wkładu. W całej historii ludzkości nie napotyka się ludzi izolowanych. Rozwój ludzkości był możliwy tylko dlatego, że ludzkość była wspólnotą i dążyła ku doskonałości w wytworzeniu wspólnoty idealnej. We wszystkich ruchach, we wszystkich czynnościach człowieka wyraża się, czy dana jednostka znalazła lub nie znalazła ów kierunek w prądzie ewolucji, nacechowanym przez ideał wspólnoty, gdyż człowiekiem kieruje niezłomnie ideał wspólnoty, przeszkadza mu, karze go, chwali, popiera, wobec czego każda jednostka nie tylko musi być odpowiedzialną za każde zboczenie, lecz musi je też odpokutować. Jest to prawo twarde, wręcz okrutne. Ci, którzy już w sobie rozwinęli silne poczucie wspólnoty, pracują niepowstrzymanie nad złagodzeniem surowości kary, grożącej tym, którzy postępują błędnie, jak gdyby wiedzieli: oto człowiek, który zmylił drogę, z powodów, które dopiero psychologia indywidualna potrafi wykazać. Gdyby człowiek rozumiał, że zeszedł z prawej drogi, zbaczając od kierunku ewolucji, to porzuciłby tę drogę i przyłączyłby się do ogółu.

Wszystkie problemy życia ludzkiego wymagają, jak wykazałem, zdolności i przygotowania do współpracy, widomego znaku poczucia wspólnoty. W tym nastawie-

niu mieści się odwaga i szczęście, których gdzie indziej nie znaleźć.

Wszystkie rysy charakteru wykazują stopień poczucia wspólnoty, biegną zgodnie z linią, która w mniemaniu jednostki wiedzie do celu wyższości, są wytycznymi, zespolonymi ze stylem życiowym, który je wytworzył i raz po raz je ujawnia. Nasza mowa jest zbyt uboga, by najsubtelniejsze twory życia duchowego mogła wyrazić jednym słowem, jak to robimy, określając rysy charakteru i przeoczając przez to różnorodność, zasłoniętą przez to określenie. Stąd dla ludzi trzymających się słów, przezierają sprzeczności, nie pozwalając im nigdy ujrzeć jasno jedni życia duchowego. Niejednego przekona może najsilniej prosty fakt, że wszystko, co określamy jako chybienie, wykazuje brak poczucia wspólnoty. Wszystkie błędy w dziecięctwie i w życiu dorosłych, wszystkie złe cechy charakteru, w rodzinie, w szkole, w życiu, w stosunku do drugich, w zawodzie i w miłości wykazują swe pochodzenie z braku poczucia wspólnoty, są przemijające lub trwałe, w tysiącznych odmianach.

Dokładne rozważanie życia jednostki i życia mas, przeszłości i teraźniejszości ukazuje nam walkę ludzkości o silniejsze poczucie wspólnoty. Niepodobna chyba przeoczyć, że ludzkość wie o tym problemie i jest nim przeniknięta. To, co na nas ciąży w chwili obecnej, pochodzi z braku wyrobienia społecznego. Co nas prze do osiągnięcia wyższego stopnia, do wyzwolenia się od chybień naszego życia publicznego i naszej osobowości, to właśnie owo dławione poczucie wspólnoty. Żyje w nas i usiłuje dojść do swego prawa, wydaje się jednak nie dość silne, by ostać się, mimo wszystkich oporów. Istnieje usprawiedliwione oczekiwanie, że w znacznie późniejszych czasach, gdy pozostawi się ludzkości dość

czasu, siła poczucia wspólnoty odniesie zwycięstwo nad wszelkimi oporami zewnętrznymi. Wtedy będzie człowiek przejawiać poczucie wspólnoty w sposób równie naturalny jak oddychanie. Aż do tego czasu nie pozostaje chyba nic innego, jak tylko zrozumieć ten konieczny bieg rzeczy i tego zrozumienia uczyć drugich.

Przyczynek:

STANOWISKO WOBEC DORADCY.

Nasz zasadniczy pogląd na kształtowaną od najwcześniejszego dziecięctwa jedność stylu życiowego, o której wiedziałem już na początku swojej działalności, jakkolwiek jej nie rozumiałem, upoważniał mnie z góry do przypuszczenia, że żądający porady przedstawia się doradcy w pierwszej chwili jako osobowość, którą jest, nie bardzo o tym wiedząc. Porada jest dla pacjenta zagadnieniem społecznym. Jest nim każde zetknięcie jednego człowieka z drugim. Każdy przedstawi się więc zgodnie ze swoim prawem ruchu. Znawca potrafi często na pierwszy rzut oka powiedzieć coś o jego poczuciu wspólnoty. Wobec doświadczonego wyznawcy psychologii indywidualnej nie na wiele przyda się udawanie. Pacjent oczekuje od doradcy dużo poczucia wspólnoty. Wobec tego, że na podstawie doświadczenia nie można spodziewać się po pacjencie wiele zainteresowania społecznego, nie będzie się też wiele żądać. W poglądzie tym utwierdzają nas istotnie dwa momenty. Pierwszym jest ten, że skala wspólnoty nie jest w ogóle wysoka, a drugim, że ma się przeważnie do czynienia z rozpieszczonymi dziećmi, które także później nie rozstają się ze swym urojonym światem. Nie należy się też dziwić, jeśli wielu czytelników przyjęło bez wstrząsu czyjeś pytanie: „Dlaczego mam

kochać swego bliźniego?“ Podobne pytanie postawił ostatecznie Kain.

Spojrzenie, chód, siła lub słabość zbliżenia mogą wiele zdradzić. Jeśli się jest przyzwyczajonym do reguł, do wskazywania na przykład pewnego stałego miejsca, sofy, do przestrzegania pewnej określonej pory, to wiele może ujść uwagi. Pierwsze spotkanie powinno już być egzaminem, przy zachowaniu pełnej swobody. Już sam sposób uściśnienia ręki może skierować wzrok na pewne określone zagadnienie. Nieraz można widzieć, że ludzie rozpieszczeni lubią się na czymś opierać, dzieci na towarzyszącej im matce. Jak zawsze jednak, gdzie potrzebna jest zdolność odgadywania, tak samo i w tych przypadkach należy pominąć sztywne reguły i zbadać ponownie, a to, co się myśli, zachować raczej dla siebie, by później w odpowiedniej formie zużytkować w sposób zrozumiały, nie raniąc stale istniejącej nadwrażliwości pacjenta. Przy sposobności można spróbować nie wskazać pacjentowi określonego miejsca, lecz poprosić, by usiadł, gdzie chce. Dystans, dzielący go od lekarza lub doradcy zdradza — podobnie jak u dzieci szkolnych — dużo z istoty pacjenta. Ważne też jest, by owa „aha - psychologia“, grasująca przy takich poradach, a nawet w obcowaniu towarzyskim, była surowo zakazana, i aby na początku unikać ścisłych odpowiedzi na pytania pacjenta, a także jego krewnych. Wyznawca psychologii indywidualnej nie powinien zapominać, że abstrahując od swojej wyćwiczonej zdolności odgadywania, musi jej dowieść także innym, nie wyćwiczonym w niej. Wobec rodziców i krewnych pacjenta, nie należy nigdy występować w roli krytyka; przeciwnie, należy dany przypadek określić jako godny zastanowienia, a nie jako stracony, nawet jeśli doradca nie ma chęci zająć się nim; chyba, że w przypadku bezwzględnie straconym, ważne oko-

liczności wymagają powiedzenia prawdy. Upatruję korzyść w nieprzerywaniu ruchów pacjenta. Może wstawać, przychodzić, odchodzić, palić, jak mu się podoba. Nieraz pozwalałem nawet pacjentom spać w mojej obecności, jeśli to zaproponowali w celu utrudnienia mi zadania. Postawa ta była dla mnie równie jasna, jak gdyby się byli wypowiedzieli we wrogich słowach. Zwrócone w bok spojrzenie pacjenta świadczy wyraźnie o jego słabej chęci do łącznej współpracy. Może się to narzucić także w inny sposób, gdy pacjent nie mówi lub mówi mało, gdy wymyka się i kołuje, albo przez ustawiczne mówienie nie pozwala doradcy przyjść do słowa. W przeciwieństwie do innych psychoterapeutów, wyznawca psychologii indywidualnej będzie się strzegł okazywać senność lub spać, ziewać, przejawiać brak zainteresowania, używać twardych słów, udzielać przedwczesnych rad, uchodzić za ostatnią instancję, być niepunktualnym, wdawać się w sprzeczkę, albo też pod jakimkolwiek pozorem uznać stan za beznadziejny. W ostatnim przypadku, jeśli zachodzą nadmierne trudności, wskazane jest raczej uznać siebie samego za zbyt słabego i polecić innych, którzy są może silniejsi. Wszelka próba autorytatywnego zachowania przyspiesza niepowodzenie, wszelkie samochwalstwo przeszkadza leczeniu. Doradca musi od samego początku starać się wyjaśnić, że odpowiedzialność za wyleczenie jest sprawą pacjenta, gdyż, jak słusznie mówi angielskie przysłowie: „Możesz zaprowadzić konia do wody, ale nie możesz go zmusić do picia“.

Należy się ściśle trzymać tego, by w leczeniu i uleczeniu widzieć nie powodzenie doradcy, lecz pacjenta. Doradca może tylko wskazać błędy, pacjent musi prawdę uczynić żywą. Wobec tego, że we wszystkich przypadkach chybień jakie widzieliśmy, chodzi o brak

współpracy, należy posłużyć się wszystkimi środkami w celu poparcia przede wszystkim współpracy pacjenta z doradcą. Jest to oczywiście możliwe tylko wtedy, gdy pacjent czuje się pewnym u lekarza. Dlatego właśnie posiada ogromne znaczenie ta wspólna praca, jako pierwsza poważna, naukowo podjęta próba podniesienia poczucia wspólnoty. Między innymi należy surowo unikać, czego często żądają inni doradcy, a mianowicie, przy niezmienionym stanie poczucia niepełnowartości i mniejszej pewności pacjenta w stosunku do lekarza, należy unikać wywołania — zwłaszcza przez ciągłe wskazywanie na gnębione komponenty seksualne — owego prądu psychicznego, który Freud nazwał pozytywnym przenoszeniem, wręcz wymaganym w leczeniu psychoanalitycznym, dla którego jednak wyrasta stąd tylko nowe zadanie: usunięcia w najlepszym razie tego sztucznie wywołanego stanu. Jeśli pacjent nauczył się brać na siebie pełną odpowiedzialność za swoje zachowanie się, to doradca z łatwością ustrzeże prawie zawsze rozpieszczone dziecko, albo dorosłego, łaknącego rozpieszczania, od zsunięcia się do owej pułapki, zdającej mu się przyrzekać łatwe i bezpośrednio osiągalne zaspokojenie niezaspokojonych życzeń. Ponieważ rozpieszczonej na ogół ludzkości, każde niespełnione lub nieziszczalne pragnienie wydaje się gnębieniem, pragnę tu stwierdzić ponownie: Psychologia indywidualna nie żąda gnębienia pragnień ani uprawnionych, ani nieuprawnionych. Uczy jednak, że nieuprawnione pragnienia należy uznać za wykraczające przeciw poczuciu wspólnoty i że przez pewne zwiększenie zainteresowań społecznych można je doprowadzić nie do zgnębienia, lecz do zaniku. Raz zdarzyło mi się spotkać z czynną pogróżką człowieka słabego na umyśle, który cierpiał na *dementia praecox* i już na trzy lata przed zgłoszeniem się do mnie został uznany za nieuleczal-

nego, a którego następnie całkowicie uleczyłem. Wiedziałem już wtedy, że zgłaszając się do mnie, liczył z całą pewnością, że również mu odmówię i wyrzucę go za drzwi, co od dziecięctwa majaczyło przed nim, jako czekający go los. W ciągu trzechmiesięcznej kuracji zachowywał milczenie. Wziąłem to za powód do udzielenia mu ostrożnych wyjaśnień, opierając się na pewnej znajomości jego życia. Zrozumiałem też jego milczenie i podobnie skierowane przejawy jako skłonności obstrukcyjne i ujrzałem się wobec kulminacyjnego punktu jego akcji, gdy podniósł rękę i zamierzył się na mnie. Szybko postanowiłem nie bronić się. Wykonał dalszy atak, przy którym rozbił szybę. Krwawiącą rankę pacjenta obandażowałem z najuprzejmiejszą miną. Wolno mi polegać na moich przyjaciołach, że także z tego przypadku nie zrobią stałej reguły. Gdy fakt wyleczenia był całkiem pewny, zapytałem pacjenta: „Co pan sądzi, jakim sposobem mogło się nam obu udać uleczenie?" Odpowiedź, jaką usłyszałem, miała wywrzeć najsilniejsze wrażenie we wszystkich zainteresowanych kołach, a mnie nauczyła się uśmiechać z wszelkich napaści mniej bystrych psychologów i psychiatrów, walczących z wiatrakami. Odpowiedź ta brzmiała: „To całkiem proste. Straciłem wszelką odwagę do życia. W naszych naradach odzyskałem ją". Kto poznał prawdę psychologii indywidualnej, że odwaga jest tylko jedną stroną poczucia wspólnoty, ten zrozumie przeobrażenie tego człowieka.

Szukający porady musi bezwarunkowo dojść do przekonania, że co do kuracji posiada całkowitą swobodę. Może robić i nie robić, co mu się podoba. Należy jednak unikać podsunięcia mu myśli, że z rozpoczęciem kuracji zaczyna się też uwolnienie go od objawów. Krewnym pewnego epilektyka przyrzeczono gdzieś po pierwszej poradzie, że jeśli go pozostawią

samego, to nie będzie już miał ataków. Wynikiem tego był już następnego dnia gwałtowny atak na ulicy, który naraził pacjenta na strzaskanie dolnej szczęki. Inny przypadek miał przebieg mniej tragiczny. Jakiś chłopak przyszedł do psychiatry z powodu popełnienia kradzieży i po pierwszych poradach zabrał mu parasol.

Mogę zalecić dalszą propozycję. Niech doradca zobowiąże się wobec pacjenta, że z nikim nie będzie mówić o dyskusjach z nim prowadzonych — i niech dotrzyma tego zobowiązania. Pacjentowi natomiast niech będzie wolno mówić, jeśli chce, o wszystkim. Ryzykuje się przy tym co prawda, że pacjent może przy sposobności zużytkować objaśnienia, by w towarzystwie wpaść w „aha - psychologię", czemu jednak można odjąć ostrze przez przyjazne rozmówienie się z nim. Albo też nastąpią obwinienia, skierowane przeciw rodzinie, co również należy przewidzieć, by przedtem stwierdzić wobec pacjenta, że jego krewni winni są tylko dopóty, dopóki on czyni ich winnymi przez swoje postępowanie. Natychmiast jednak stają się niewinnymi, z chwilą gdy on uczuje się zdrów. Że następnie nie można od krewnych wymagać więcej wiedzy niż jej posiada sam pacjent, i że on na własną odpowiedzialność używał wpływów swego otoczenia jako kamieni do budowy, w celu rozwinięcia swego błędnego stylu życiowego. Dobrze też wskazać na to, że jego rodzice mogliby z powodu ewentualnych błędów powołać się na swoich rodziców, tamci na dziadków itd. Że przeto nie istnieje wina w tym sensie, w jakim on ją pojmuje.

Wydaje mi się też ważną rzeczą, nie dopuścić u pacjenta do powzięcia mniemania, jakoby praca na polu psychologii indywidualnej miała służyć do zdobycia sławy i majątku. Zapobiegliwość i nadmierny zapał w gromadzeniu pacjentów, przynosi tylko szkodę.

A tak samo lekceważące, lub nawet nienawistne wypowiedzenia o innych doradcach.

Niechaj wystarczy jeden przykład: Zwrócił się do mnie pewien osobnik, bym go wyleczył z nerwowego zmęczenia, które, jak się okazało, wynikało z lęku przed porażkami. Powiedział mi, że polecono mu też innego psychiatrę, do którego pragnie się również zwrócić. Dałem mu adres tego psychiatry. Nazajutrz przyszedł do mnie i opowiedział mi o wizycie u niego. Psychiatra, po wysłuchaniu historii jego choroby, polecił mu hydropatię. Pacjent powiedział, że już pięć razy przebył taką kurację, i bez skutku. Lekarz radził mu, by poddał się jej po raz szósty, w dobrze prowadzonym zakładzie, który specjalnie polecał. Chory powiedział mu, że już dwa razy leczono go tam hydropatią bezskutecznie i dodał, że ma zamiar zwrócić się do mnie. Psychiatra sprzeciwił się temu i oświadczył, że dr Adler mu tylko coś zasuggeruje. Pacjent odrzekł: „Może zasuggeruje mi coś, co mnie uzdrowi" i pożegnał go. Gdyby ów psychiatra nie był opętany pragnieniem nie dopuszczenia do uznania psychologii indywidualnej, byłby z pewnością zmiarkował, że nie potrafi powstrzymać tego pacjenta od przyjścia do mnie, i byłby lepiej zrozumiał jego trafne uwagi. Proszę jednak swoich przyjaciół, by unikali ujemnych uwag wobec pacjentów, nawet gdyby były usprawiedliwione. Prostowanie niesłusznych mniemań i obrona słusznych poglądów winny się dokonywać na wolnej arenie nauki, przy pomocy środków naukowych.

Jeśli w pierwszej rozmowie z doradcą pacjent ma wątpliwości, czy ma się u niego leczyć, to należy pozostawić mu rozstrzygnięcie do następnych dni. Na zwykłe pytanie co do czasu trwania leczenia, odpowiedź nie jest łatwa. Pytania te uważam za uzasadnione, gdyż większa część pacjentów słyszała o kura-

cjach, które ciągnęły się aż do ośmiu lat i pozostały bez skutku. Odpowiednie leczenie metodą psychologii indywidualnej powinno w ciągu trzech miesięcy doprowadzić przynajmniej do częściowego, dostrzegalnego wyniku dodatniego, przeważnie nawet wcześniej. Że jednak wynik dodatni zależy od współpracy pacjenta, dobrze jest podkreślić — zaraz na początku otwierając przez to bramę poczuciu wspólnoty — że okres ten zależny jest od współpracy pacjenta, że lekarz, o ile zna gruntownie psychologię indywidualną już w ciągu pół godziny orientuje się w sytuacji, musi jednak czekać, by także pacjent zrozumiał swój styl życiowy i tkwiący w nim błąd. W każdym razie można dodać: „Jeśli po upływie tygodnia lub dwu tygodni, pan nie przekona się, że jesteśmy na dobrej drodze, to zrzeknę się dalszego leczenia".

Trudność stanowi nieunikniona kwestia honorarium. Miałem mnóstwo pacjentów, których znaczny nieraz majątek stopniał w poprzednich kuracjach. Należy się stosować do przyjętych honorariów miejscowych, wolno też wliczać przy każdej kuracji większy trud i stratę czasu, ale w interesie wymaganego poczucia wspólnoty należy unikać wygórowanych honorariów, zwłaszcza gdyby pacjentowi mogły wyrządzić szkodę. Bezpłatne leczenie wymaga owej ostrożności, nie pozwalającej biednemu pacjentowi odczuć na przykład niedostatecznego zainteresowania, na co najczęściej skierowuje baczną uwagę. Nie należy się godzić na kwotę ryczałtową, nawet gdyby się wydawała korzystną, ani też na przyrzeczenie wypłaty honorarium po wyleczeniu, nie dlatego, że to ostatnie może być niepewne, lecz dlatego, że wprowadza to do stosunku lekarza do pacjenta nowy sztuczny motyw, utrudniający skuteczne leczenie. Honorarium ma być płacone tygodniowo lub miesięcznie, zawsze z końcem tego okresu. Jakiekolwiek

żądania czy oczekiwania szkodzą leczeniu. Należy się uchylić nawet od drobnych przysług, zaofiarowanych często dobrowolnie przez pacjenta, uprzejmie odmówić przyjęcia podarków lub odłożyć ich przyjęcie do pomyślnego zakończenia kuracji. Nie należy w okresie leczenia przyjmować wzajemnych zaproszeń ni odwiedzin. Leczenie krewnych lub znajomych kształtuje się nieco trudniej, gdyż leży to w naturze rzeczy, że ewentualne poczucie niepełnowartości staje się bardziej ciążące wobec znajomych. Także leczącemu udziela się ta odraza do wyraźnego odczuwania poczucia niepełnowartości pacjenta, winien też wszelkimi siłami ułatwić stanowisko pacjenta. Jeśli się ma szczęście, jak w psychologii indywidualnej, wskazywać zawsze tylko na błędy, nie na wady wrodzone, zawsze na możliwości wyleczenia i na równowartość, i zawsze też na ogólny niski stan poczucia wspólnoty, to są to znaczne ułatwienia, pozwalające zrozumieć, daczego psychologia indywidualna nigdy nie napotyka wielkiego oporu, napotykanego przez inne kierunki. Zrozumie się z łatwością, że w leczeniu indywidualno-psychologicznym nigdy nie dochodzi do kryzysów, a jeśli nie całkiem pewny swego rzecznik psychologii indywidualnej w rodzaju Künkla, uważa kryzysy, wstrząs i skruchę pacjenta za konieczne, to niewątpliwie tylko dlatego, że sztucznie i niepotrzebnie sam je poprzednio wywołał. A może też dlatego, że całkiem fałszywie sądzi, iż przysłuża się tym kościołowi. (Patrz: *Jahn und Adler, „Religion und Individualpsychologie", Verlag Dr. Passer, Wiedeń 1933).* Uważałem zawsze za ogromnie korzystne utrzymanie przy kuracji możliwie niskiego poziomu napięcia i wprost rozwinąłem metodę mówienia prawie każdemu pacjentowi, że istnieją żarty, całkiem podobne do struktury jego osobliwej newrozy, że można ją przeto traktować lżej niż on to robi. Mniej bystrym

krytykom muszę całkiem zbytecznie powiedzieć to, co oni mieli właśnie na języku, że takie żarty nie powinny oczywiście pozwolić odżyć poczuciu niepełnowartości (co Freud uważa za tak nadzwyczajnie wyjaśniające). Powoływanie się na bajki, na osoby historyczne, na powiedzenia poetów i filozofów przyczyniają się do wzmocnienia zaufania do psychologii indywidualnej i jej poglądów.

W każdej rozmowie należy baczyć na to, czy pacjent wchodzi na drogę współpracy. Każda mina, każdy wyraz, materiał przyniesiony lub nie przyniesiony świadczą o tym. Gruntowne zrozumienie snów daje również sposobność do obliczenia powodzenia, niepowodzenia i współpracy. Specjalną ostrożność zaleca się jednak w pobudzaniu pacjenta do jakiejkolwiek pracy. Jeśli rozmowa zejdzie na te tory, to po zrozumiałym samo przez się wykluczeniu przedsięwzięć ogólnie niebezpiecznych, nie należy ani doradzać, ani odradzać, lecz stwierdzić, że jest się najzupełniej przekonanym o ewentualnym powodzeniu, lecz nie można twierdzić z całą stanowczością, czy pacjent jest już naprawdę całkiem do nich gotów. Przydawanie bodźca do jakiegokolwiek działania, zanim pacjent zdobędzie większe poczucie wspólnoty, mści się najczęściej w formie spotęgowania lub nawrotu objawów.

W kwestii wyboru zawodu można postępować energiczniej. Nie przez żądanie decyzji co do jakiegoś zawodu, lecz przez wskazanie, że pacjent jest najlepiej przygotowany do tego czy innego zawodu i potrafiłby w nim czegoś dokonać. Jak w ogóle przy każdym kroku w leczeniu, musi być zachowany kierunek przydawania otuchy, zgodnie z przekonaniem psychologii indywidualnej, — które bezpodstawna próżność odczuwa tak często jako deptanie jej po nagniotkach — „że (pomijając zdumiewające najwyższe dokonania, o których

strukturze niewiele potrafimy powiedzieć), każdy potrafi wszystko".

Co do pierwszego egzaminu dziecka, potrzebującego porady, to za najlepszy z wszystkich dotychczasowych kwestionariuszów uważam załączony poniżej, a ułożony przeze mnie i moich współpracowników. Rozumie się, że tylko ten potrafi posługiwać się nim należycie, kto rozporządza dostatecznym doświadczeniem, zna dokładnie żelazną sieć poglądów psychologii indywidualnej i posiada dość wprawy w zdolności odgadywania. Tu natknie się znów na postrzeżenie, że wszelka sztuka rozumienia indywidualności ludzkiej polega na zrozumieniu życiowego stylu jednostki, ukształtowanego w dziecięctwie, na dostrzeżeniu wpływów, które oddziaływały na jego powstanie i na umiejętności widzenia, w jaki sposób ten styl życiowy uzewnętrznia się w walce z zagadnieniami wspólnoty ludzkości. Do kwestionariusza pochodzącego z dawniejszych lat należałoby jeszcze dodać, że trzeba skonstatować stopień agresji i aktywność, a nie wolno też zapomnieć, że ogromna większość dziecięcych chybień wynika z rozpieszczenia, które stale potęguje emocjonalne dążenie dziecka i w ten sposób wystawia je ciągle na pokusę, wobec czego trudno mu się oprzeć najrozmaitszym przynętom, podsuwanym także przez złe koleżeństwo.

KWESTIONARIUSZ PSYCHOLOGII INDYWIDUALNEJ.

do zrozumienia dzieci trudnych do wychowania i postępowania z nimi. Ułożony i zaopatrzony objaśnieniami przez *Verein für Individualpsychologie*. (Związek dla badań pschologii indywidualnej).

I. Odkąd datują się skargi? Jaka była zewnętrzna i duchowa sytuacja dziecka, w okresie ujawnienia się chybień?

Ważne są: zmiany otoczenia, początki nauki szkolnej, zmiana szkoły, zmiana nauczycieli, przyjście na świat młodszego rodzeństwa, niemożność podołania w szkole, nowe przyjaźni, choroby dziecka i rodziców itd.

2. Czy już przedtem w jakikolwiek sposób rzucało się w oczy? Słabością fizyczną lub duchową? Tchórzostwem? Niedbalstwem? Odosobnianiem się? Niezręcznością? Zazdrością? Niesamodzielnością przy jedzeniu, ubieraniu się, myciu, układaniu się do snu? Czy bało się samotności? Ciemności? Czy zdaje sobie sprawę z roli swojej płci? Pierwszo - drugo - trzeciorzędne znamiona płci? Jak odnosi się do drugiej płci? Jak daleko sięga jego uświadomienie seksualne? Sierota? Dziecko nieprawe? Wychowanek? Jacy byli jego opiekuni? Czy istnieje jeszcze kontakt? Czy w porę nauczyło się mówić i chodzić? Należycie? Ząbkowanie w należytym czasie? Uderzające trudności przy nauce pisania? Ra-

chunków? Rysunków? Śpiewu? Pływania? Czy było nadmiernie przywiązane do jednej osoby? Do ojca? Matki? Dziadków? Piastunki?

Należy zwracać uwagę na stwierdzenie wrogiego nastawienia do życia, na przyczyny rozbudzenia uczuć niepełnowartości, na tendencje wyłączania trudności i osób, na rysy egoizmu, drażliwości, niecierpliwości, spotęgowanych afektów, aktywności, chciwości, ostrożności.

3. Czy sprawiało dużo kłopotu? Czego i kogo boi się najbardziej? Czy w nocy wydawało krzyki? Moczyło w łóżku? Czy jest despotyczne? Także wobec silnych, czy tylko wobec słabych? Czy okazywało specjalną skłonność do leżenia w łóżku któregoś z rodziców? Jest niezgrabne? Inteligentne? Czy dużo je drażniono i wyśmiewano? Czy przejawia próżność zewnętrzną, z powodu włosów, ubrania, obuwia? Dłubie w nosie? Obgryza paznokcie? Je żarłocznie? Kradło? Cierpiało na zaparcie?

Chodzi o wyświetlenie, czy z większą lub mniejszą aktywnością zmierza do zdobycia pierwszeństwa? Następnie o to, czy przekora powstrzymała kultywowanie jego czynności popędowych.

4. Czy łatwo nawiązywało stosunki, czy było niezgodne i dręczyło ludzi i zwierzęta? Czy szuka towarzystwa młodszych, starszych, dziewcząt, (chłopców)? Czy ma skłonność do przewodzenia? Czy też się odosabnia? Lubi gromadzić? Jest skąpe? Chciwe pieniędzy?

Dotyczy jego zdolności nawiązywania kontaktu i stopnia zniechęcenia.

5. Jak przedstawia się teraz pod tymi wszystkimi względami? Jak zachowuje się w szkole? Czy chętnie chodzi do szkoły? Czy się spaźnia? Czy przed pójściem do szkoły jest podniecone, czy się spieszy? Czy gubi książki, torbę na książki, zeszyty? Czy jest pod-

niecone przed zadaniami szkolnymi i egzaminami? Czy zapomina robić zadania, czy wzbrania się je robić? Czy marnuje czas? Jest leniwe? Ospałe? Mało, lub wcale nie skupione? Przeszkadza innym w nauce? Jaki jest jego stosunek do nauczyciela? Krytyczny? Arogancki? Obojętny? Czy robiąc zadania zwraca się o pomoc do innych, czy czeka zawsze, by mu ją zaofiarowano? Czy przy gimnastyce i sporcie okazuje ambicję? Czy uważa się za przeciętnie zdolne czy za całkiem niezdolne? Czy czyta zdumiewająco dużo? Jaką lekturę lubi najbardziej? Zły postęp we wszystkich przedmiotach?

Te pytania umożliwiają wgląd w przygotowanie dziecka do szkoły i w wynik eksperymentu szkoły w stosunku do dziecka. A także w jego nastawienie do trudności.

6. Dokładne wykazy dotyczące domowych stosunków, chorób w rodzinie, alkoholizmu, skłonności zbrodniczych, neuroz, niemocy, luesu, epilepsji, stopy życiowej. Wypadki śmierci? W jakim wieku dziecka? Czy jest sierotą? Kto rządzi w rodzinie? Czy wychowawca jest surowy, gderliwy, rozpieszczający? Czy budzi się w dzieciach lęk przed życiem? Jaki jest nadzór? Ojczym, macocha?

Widzi się dziecko w jego sytuacji rodzinnej i można z tego wywnioskować, jakich wrażeń mu dostarczano.

7. Które z rzędu miejsce zajmuje w szeregu rodzeństwa? Jest najstarsze, drugie z rzędu, najmłodsze, jedyne, jedynak, jedynaczka? Rywalizacje? Częsty płacz? Złośliwy śmiech? Ślepy popęd do poniżania drugich?

Ważne dla charakterologii, wyjaśniające ze względu na nastawienie dziecka do innych.

8. Co dziecko myślało dotychczas o wyborze zawodu? Co myśli o małżeństwie? Jaki zawód wykonują człon-

kowie jego rodziny? Jakie jest pożycie małżeńskie rodziców?

Umożliwia wnioski co do odwagi i otuchy dziecka na przyszłość.

9. Ulubione zabawy? Ulubione opowiadania? Ulubione postaci z historii i poezji? Czy lubi drugim przeszkadzać w zabawie? Oddaje się fantazjom? Myśli trzeźwo i usuwa fantazje? Sny na jawie?

Wskazuje na wzory w kierunku dążenia do wyższości.

10. Najdawniejsze wspomnienia? Sny, robiące wrażenie, czy powtarzające się często? (O lataniu, spadaniu, przeszkodach, spaźnianiu się do pociągu, wyścigu, uwięzieniu, sny wywołujące lęk).

Odkrywa się w tym często skłonność do odosobniania się, głosy ostrzegawcze, wyrażające nadmierną ostrożność, odruchy ambicji, pierwszeństwo przyznawane poszczególnym jednostkom, bierność itd.

11. Pod jakim względem jest dziecko zniechęcone? Czy czuje się upośledzone? Czy reaguje korzystnie na wyróżnianie go i na pochwałę? Ma zabobonne wyobrażenia? Ucieka przed trudnościami? Zabiera się do rozmaitych rzeczy, by je rychło porzucić? Czy jest niepewne co do swojej przyszłości? Wierzy w ujemne skutki dziedziczności? Czy było systematycznie zniechęcane przez otoczenie? Czy ma pesymistyczny pogląd na świat?

Wynikają stąd ważne punkty widzenia, że dziecko utraciło wiarę w siebie i szuka drogi w fałszywym kierunku.

12. Dalsze narowy: Czy stroi grymasy? Zachowuje się głupio, dziecinnie, śmiesznie?

Mało odważne próby zwrócenia na siebie uwagi.

13. Czy ma wadliwą wymowę? Jest brzydkie? Niezgrabne? Ma szpotawą nogę? Rachityzm? Nogi w kształ-

cie litery X, lub O? Nienormalny wzrost? Nadmiernie grube? Nadmiernie wielkie? Nadmiernie małe? Wady wzroku czy słuchu? Umysłowo niedorozwinięte? Mańkut? Chrapie w nocy? Jest uderzająco piękne?

Chodzi tu o trudności życiowe, najczęściej wyolbrzymiane przez dziecko. Może to wywołać w nim stały nastrój zniechęcenia. Podobny wadliwy rozwój napotyka się często także u dzieci bardzo pięknych. Poddają się one suggestii, jakoby wszystko musiały otrzymać za darmo, bez żadnego wysiłku, wskutek czego zaniedbują należyte przygotowanie do życia.

14. Czy mówi otwarcie o swojej niezdolności, o „braku uzdolnienia“ do szkoły? Do pracy? Do życia? Myśli o samobójstwie? Czy istnieje związek czasowy między jego niepowodzeniami i błędami? (Zaniedbanie, organizowanie band). Czy przecenia powodzenie zewnętrzne? Jest służalcze? Świętoszkowate? Buntownicze?

Przejawy daleko posuniętego zniechęcenia. Często dopiero po bezowocnych próbach wybicia się, które zawiodły wskutek cechującej je nieodpowiedniości, ale także z braku dostatecznego zrozumienia ze strony otoczenia. Następnie szukanie zaspokojenia zastępczego na bocznej widowni wojny.

15. Pozytywne działanie dziecka. Typ wzrokowy, słuchowy, ruchowy?

Ważne wskazówki, gdyż zainteresowania, skłonności i przygotowanie dziecka wskazują może inny kierunek, niż ten, w którym podąża.

Na podstawie tych pytań, których nie należy nigdy zadawać punkt za punktem, lecz w formie rozmowy, nigdy szablonowo, lecz równocześnie konstruktywnie, otrzymuje się zawsze obraz osobowości, pozwalający niepowodzenia danej jednostki uznać za zrozumiałe, jakkolwiek nie za uprawnione. Odkryte błędy należy zawsze wyjaśniać uprzejmie, cierpliwie i bez pogróżek.

Przy chybieniach u dorosłych, ten szemat badań okazał mi się cennym; trzymając się go, wprawny interlokutor zdobywa już w ciągu pół godziny rozległy wgląd w styl życiowy danej jednostki.

Moje badania, nie zawsze wprawdzie podług reguły, prowadzone w poniżej podanym kolejnym następstwie, przy którym biegły nie odczuje braku zgodności z medycznym stawianiem pytań, a wyznawcy psychologii indywidualnej ujawni się dzięki jego systemowi całe mnóstwo postrzeżeń, zazwyczaj przeoczanych. To kolejne następstwo jest w przybliżeniu takie:

1. Na co się pan (pani) uskarża?

2. W jakiej pan (pani) był sytuacji, gdy zauważył objawy?

3. Jaka jest obecna sytuacja?

4. Jaki zawód?

5. Proszę określić mi swoich rodziców, pod względem charakteru, zdrowia, ewentualnych chorób śmiertelnych i w stosunku do pana (pani).

6. Ile pan (pani) ma braci i sióstr, którym jest z rzędu, jak odnosiło się do pana (pani) rodzeństwo, jak powodzi się tamtym, czy są także cierpiący?

7. Kto był ulubieńcem ojca, matki? Jakie było wychowanie?

8. Pytania co do oznak rozpieszczania w dziecięctwie (bojaźliwe, nieśmiałe, trudne do zawierania przyjaźni, nieporządne itd.).

9. Zachorzenia i zachowanie się w czasie chorób w dziecięctwie.

10. Najstarsze wspomnienia z dziecięctwa?

11. Czego się pan (pani) najbardziej boi czy bał?

12. Jak się pan (pani) odnosi do drugiej płci, od czasów dziecięctwa i później?

13. Jaki zawód najbardziej pana (panią) intereso-

wał, a w razie nie oddania mu się, czemu tego nie zrobił?

14. Ambitny, drażliwy, skłonny do wybuchów gniewu, pedantyczny, żądny władzy, nieśmiały, niecierpliwy?

15. Jakie są osoby z obecnego otoczenia? Niecierpliwe? Skłonne do gniewu? Przychylne?

16. Jak pan (pani) sypia?

17. Sny? (O spadaniu, lataniu, sny powtarzające się, prorocze, o egzaminach, spóźnieniu się do pociągu itd.).

18. Choroby w rodzie.

Na tym miejscu pragnąłbym swoim czytelnikom dać pewną ważną wskazówkę. Kto dotarł aż do tego miejsca, lecz niezupełnie rozumie znaczenie tych pytań, powinien zacząć czytać od początku i zastanowić się, czy książki tej nie czytał z niedostateczną uwagą lub — Boże broń! — z wrogim zamiarem. Gdybym tu musiał wyjaśniać znaczenie tych pytań dla budowy danego stylu życiowego, to musiałbym również jeszcze raz powtórzyć całą książkę. Byłoby to przecież niesprawiedliwością. Wobec tego ta kolejność pytań i ten kwestionariusz dla dzieci mogą całkiem dobrze być uważane za egzamin na podstawie testów, którego wynik okaże, czy czytelnik szedł z nami, to znaczy, czy nabył dość poczucia wspólnoty. A to jest przecież najważniejszym zadaniem tej książki: ma ona nie tylko uzdolnić do zrozumienia drugich, lecz także do pojęcia ważności poczucia wspólnoty i ożywienia go w sobie.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Termin zwrotu lub zgłoszenie prolongaty.

20 IX 71

9 V 79